

Tobiasz W.

Lipny

KURLANDZKI

TROP *Niektóre dramatis personae*

Wymienione niżej postaci pojawiły się już w mojej poprzedniej powieści, *Barocco*. Tym, którzy jej (niestety) jeszcze nie znają, polecam rozpoczęcie lektury od poniższego glosariusza; tych, którzy czytali *Barocco*, zapraszam na powtórkę i powitanie znanych im postaci, nawet tych nieżyjących...

BANDURA, FRANCISZEK, PROFESOR - pochodzący z Wisły, historyk sztuki o międzynarodowej sławie, specjalista od malarstwa; opiekun, promotor, mentor i *cicerone* narratora w świecie sztuki. Profesor taki, jakim wszyscy profesorowie w Polsce powinni być, a rzadko są. Wnikliwy i ironiczny komentator polskiej rzeczywistości. W sferze intelektualnej (i częściowo duchowej) zastępczy ojciec narratora. Zasłynął medialnie jako odkrywca *Madonny z konwalią* Passerotta w zapyziałym wiejskim kościółku.

6

BARANIECKA, ANTONINA, HRABIANKA - świadek dwóch powstań narodowych, bystra obserwatorka, autorka arcyciekawego pamiętnika, stanowiącego cenne źródło historyczne.

BĄCZEK - kumpel Gerwazego (kumpla narratora) z politechniki. Komputerowy magik, jeden z pierwszych polskich hakerów. Mizantrop, audiofil i abnegat, obsesyjny krytyk kultury amerykańskiej.

BIBIANA ...CKA - wielka miłość narratora. Ruda Wenus, wspaniała kochanka, według fachowego określenia Bandury-, najwyższa, „zerowa” klasa kobiety.

Chodząca zagadka. Spotkana przypadkiem, ale czy na pewno? Wraz z odkrywaniem jej kolejnych mrocznych tajemnic narrator pożałował, że w ogóle zaczął się nimi interesować... Z drugiej strony, czy ta czcicielka Boskiego Markiza istniała naprawdę? Policja stwierdziła, że osoba o tej tożsamości zmarła w dzieciństwie.

BŁAWAT - gangster, posiadacz paskudnego uśmiechu i równie paskudnego psa. Konkurent narratora o względy Bibiany; bardzo się zdziwił, gdy kulka kalibru 6 mm przebijała mu czoło, wątpliwe jest jednak, czy zdążył te sprawy jakoś ze sobą powiązać. Zresztą nie ma pewności, czy taki związek faktycznie istniał.

DĘBICKI, ANTONI, DZIADEK - ojciec matki narratora, stary kawalerzysta; w czasie kampanii wrześniowej

7

miał iść pod sąd wojenny, ale zrehabilitował się nadzwyczajną odwagą i skutecznością na polu bitwy. Jako ojciec chyba specjalnie się nie sprawdził, jako dziadek był OK. Kawaleryjski pociąg do płci pięknej i nalewek zachował do późnego wieku.

DĘBICKI, ANTONI B, WUJ - późno przez narratora poznany brat jego matki, marnotrawny syn dziadków Dębickich. Niepozbawiony uczuć rodzinnych emigrant mieszkający przez lata w Brukseli i prowadzący jakieś nader tajemnicze interesy w całej Europie. Po przejściu na emeryturę powrócił do kraju.

GERWAZY - serdeczny przyjaciel narratora z czasów szkolnych. Dziwkarz epicki, zdecydowanie *He dancep*. Erotoman gawędziarz o sporej praktyce. Z zawodu inżynier od kanalizacji, niepozbawiony jednak pewnej wrażliwości. Autor kilku niebanalnych obserwacji. Zginął poniekąd od miecza, którym

wojował. Jeżeli oszczędził tak, jak zapowiadał, lądują dziś na nim samoloty.

GRUBY - kolega z wydziału, swego czasu konkurent narratora o względy Olgi.

Przejął po nim bezpańską Małgosię, była narzeczoną. Może niezbyt sympatyczny typ, ale jako historyk nader dla narratora pożyteczny.

GUSTAW ...WICZ - wyrefinowany miłośnik sztuki, który przeszedł na ciemną stronę. Elegancki handlarz

8

starymi meblami, podobno międzynarodowy alfons i szantażysta. Narrator poznał go jako romantyka i człowieka honoru. Zapalony szachista, którego ostatni przeciwnik zakończył partię brutalnym strzałem w szachownicę.

MAŁGOSIA - jedna z dawnych narzeczonych narratora. Porządnicka, domatorka. Ciepła, poczciwa i absolutnie przewidywalna. Jakie więc miała szanse w starciu z fascynująco tajemniczą Bibianą? Odeszła z hukiem, żegnana bez odrobiny żalu, ale nie bez wyrzutów sumienia.

MAREIKE VAN R. - atrakcyjna pani doktor historii sztuki z Uniwersytetu w Lejdzie. Kobieta bujna, którą Bandura określiliby jako sztukę wybitnie użytkową, gdyby nie była jego osobistą przyjaciółką.

MIROSLAVA - była trenerka pływania synchronicznego, imigrantka z sąsiedniego kraju, gdzie stała się bohaterką skandalu obyczajowego. Ze względu na nader obfite owłosienie obiekt pożądania Gerwazego. W Polsce właścicielka pubu o irlandzkiej nazwie.

MYSZ - czyli nieszczęsny generał kirasjerów napoleońskich, Jean Souris. Może i miał w plecaku marszałkowską buławę, ale pchnięty kozacką piką, owego awansu Jaś ten nie doczekał. Pochowano go pod kupą kamieni w pałacowym parku w Praszo-wicach.

OLGA - pospolita dziwka o niepospolitej urodzie, trafnie nazwana niegdyś przez Gerwazego „wydmuszką”. Zero temperamentu, fizyczne obcowanie z nią było frajdą wyłącznie ze względów estetycznych.

PAWLAK, LUCYNA - była diabelska studentka narratora. Wyjątkowo bezczelna. Jak by się niegdyś powiedziało: zagięła na niego parol. I nie spoczęła, dopóki nie dopięła swego - czytaj: uwiodła go. Później złagodniała i udomowiła się, ale diabelstwo cały czas się w niej tli. Przypuszczalna autorka wątpliwej maksymy *naoigare et amare necesse est*.

PUŁKOWNIK - ojciec narratora. Były oficer Ludowego Wojska Polskiego ze wszystkimi tego konsekwencjami, obecnie łagodny alkoholik. Wychowywał narratora na twardziela, żeby zrównoważyć wpływ matki, wychowującej go - jego zdaniem - na mięczaka. Dopiero teraz narrator zaczyna odkrywać, ile mu naprawdę zawdzięcza.

ŻABA - goryl Bławata o groźnym wyglądzie i tchórzliwej naturze. Naturalny bywalec siłowni, ot taki drobny polski opryszek.

Grom z jasnego nieba

To stało się pewnego dnia w połowie października. Siedziałem na uczelni, w pokoju, który dzieliłem z profesorem Bandurą, i niespiesznie wybierałem slajdy do wykładu. Wykład, o którego poprowadzenie poprosił mnie Profesor, dotyczył symboliki martwych natur, a większość materiału ilustracyjnego mieliśmy wciąż na przezroczach. Ja sam coraz częściej sięgałem do zasobów inter-netu i zgromadziłem niezły zbiór najróżniejszych zdjęć na CD, ale głównie z dziedziny meblarstwa i architektury; specjalistą od malarstwa był u nas Profesor. Ze swoim ostrożnym podejściem do techniki cyfrowej własnego archiwum zdigitalizowanych ilustracji do dziejów malarstwa jeszcze się nie dorobił.

Dzień był ładny, słoneczny, jesień w tej części kraju onego roku się

spóźniała. Był czwartek, w perspektywie miałem piątek, u mnie dzień bez zajęć na uczelni. Na wieczór zapowiedziała mi się studentka Pawlak, w torbie miałem zakupione

12

już na tę okoliczność niezłe czerwone wino i opakowanie prezerwatyw. Życie nie było pozbawione uroku.

Stało się to w momencie, kiedy włożyłem do przeglądarki kolejny slajd, z jedną z wersji *Vanitas* de Saint-Andre. Kiedy przyglądałem się przedstawionej tam trupiej czaszce, okolonej laurowym wieńcem i leżącej na opatrzonym łąkową pieczęcią dokumencie, rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wsadził swoją łysą głowę Koszałka-Opałka profesor Kozłowski, odwieczny konkurent mojego mentora; był w wyraźny sposób poruszony.

- Słyszał pan, panie kolego? Bandura nie żyje.

W moim mózgu na moment zapanowała pustka, a potem chaos. Siedziałem, próbując pozbierać myśli. Bandura wyjechał przed tygodniem do Wrocławia w sprawie jakiegoś obrazu, którego autentyczność miał potwierdzić. Właściwie planował zaraz wrócić, ale coś go zatrzymało. Przypuszczałem, że w ciągu kilku dni się zjawi, ponieważ za niecały tydzień miał jechać na sympozjum do Berlina.

- Jak to się stało? - spytałem wreszcie, nie poznając własnego głosu.
- Nie wiemy. Dziekan właśnie zadzwonił z tą wiadomością.

Siedziałem nieruchomo, w końcu Kozłowski poszedł sobie. Spojrzałem jeszcze raz na *Vanitas*,

13

wciąż tkwiącą w przeglądarce. Fruwające nad trupią czaszką bańki mydlane symbolizowały kruchość życia i stanowiły nachalny, wręcz kiczowaty komentarz do usłyszanej wiadomości.

„Jak to?”, myślałem. „To już nigdy nie zajdzie z fasonem na parking tym swoim roverem 75, nie wejdzie do naszego pokoju różnym krokiem, nie skomentuje sarkastycznie ostatnich poczynań wybrańców narodu?”

Poprzedni rok oswoił mnie ze śmiercią. W końcu straciłem kochankę i najlepszego przyjaciela, a przy okazji Thanatos zgarnął swoim skrzydłem parę innych osób. Ale z Bibianą żegnałem się długo, wręcz za długo, w nieodwołalność śmierci Gerwazego irracjonalnie nigdy chyba do końca nie uwierzyłem, Gustawa z kolei prawie nie znałem... Teraz zła wiadomość spadła na mnie z siłą młota parowego.

W końcu wyszedłem na korytarz. W Instytucie Historii Sztuki panowało poruszenie. Profesorowie szeptali po kątach. Zastanawiali się pewnie, jak to teraz będzie... Bandura to była nasza gwiazda, dzięki niemu instytut znany był nie tylko w kraju, ale też za granicą. Może większość z nich odczuła pewną ulgę, lecz i oni przecież mieli świadomość, że bez Bandury instytut osunie się w naukowy i medialny niebyt.

14

Poszedłem do dziekanatu, ale tam niewiele wiedziano. Mówiono tylko, że Bandura zmarł tragicznie, a nie pospolicie na zawał, jak większość profesorów odchodzących w jego wieku; został jakoby pchnięty nożem na ulicy, przed hotelikiem w miejscowości Soból, gdzieś na wschód od Wrocławia, przy czym nikt nie wiedział, co Bandura tam robił. W dziekanacie dowiedziałem się też, że zawiadomiono jego siostrę. Nie miałem pojęcia, że Profesor miał siostrę.

W ogóle niewiele o moim mistrzu wiedziałem, jak się nagle okazało. Czytałem jego książki i artykuły, znałem jego osiągnięcia naukowe i wydawało mi się, że poznałem już jego poglądy, zarówno te estetyczne, jak i te polityczne, ale o nim jako osobie wiedziałem zdumiewająco mało. Na przykład nigdy nie doszedłem, dlaczego chłopski syn spod Wisły zajął się w życiu czymś tak niepraktycznym jak dzieje sztuki...

Wróciłem do instytutu, czując się coraz bardziej zagubiony. Zapukałem do gabinetu przyjaciela Bandury, poczciwego profesora Dąbrowy, i wszedłem. Nie było go tam, w gabinecie zastałem tylko profesor Dziubińską, zwaną przez Bandurę - z racji szczególnej umiejętności wkręcania się do wszelkich możliwych fachowych gremiów - Glizdą. Siedziała przy biurku Dąbrowy, jej okulary leżały na blacie. Twarz miała ukrytą w dłoniach, a kiedy je opuściła, by na mnie spojrzeć,

15

ukazały się spod nich czerwone, zapuchnięte od płaczu oczy. Nawet w stanie, w którym się znajdowałem, mocno się zdziwiłem. Albowiem Glizda i Bandura nie znosili się nawzajem.

List z zaświatów

List przyszedł dwa dni później. Wysłany z owego Sobola, miasteczka na tyle małego, by tamtejsza poczta nie odkryła jeszcze ani faktu wkroczenia w XXI wiek, ani przynależności kraju do Stanów Zjednoczonych Europy. W takich miejscach czas wolniej płynie i mało komu się spieszy; dzień czy dwa różnicy nie stanowi dla nikogo problemu.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy zobaczyłem inicjały nadawcy. Kto wie, może zamordowano go, kiedy wracał do hotelu po wrzuceniu do skrzynki tego właśnie listu? Przypomniałem sobie przezrocze z motywem *Vanitas*. Trupia czaszka spoczywała na czymś, co mogło być listem. Znów poczułem dreszcz.

Nie otworzyłem koperty od razu. Bandura pisywał do mnie niekiedy w różnych sprawach. Mimo że z wynalazkami utrudniającymi życie takimi jak komputer był obeznany, używał ich z niezwykłym umiarem. Telefonu komórkowego nie miał i mieć nie zamierzał. Wyjątek zrobił dla fotografii

cyfrowej, której możliwości go zafrapowały. Jeśli jednak chodzi o przekazywanie informacji, był zdeklarowanym tradycjonalistą: należał do ginącego pokolenia, które nie odczuwa bólu nadgarstka po napisaniu jednej stroniczki, i chętnie komunikował się z otoczeniem w ten sposób. Kilka razy próbowałem go namówić na używanie poczty elektronicznej, ale stawiał opór.

- Kolego, dlaczego pan chce mi to zrobić? Te wszystkie gadzety zwiększają tempo życia, a ja próbuję je sobie zwolnić - powiedział kiedyś.

Tak więc mój mistrz używał komputera jako maszyny do pisania i z rzadka do poszukiwania informacji, a ja obsługiwałem jego skrzynkę pocztową, na którą przychodziły wiadomości z zagranicy, i odpowiadałem w jego imieniu.

Nie otworzyłem koperty od razu, miałem niejasne przeczucie, że w ten sposób odwlekam coś, co zmieni moje życie.

Kolego!

Jak Pan wie, pojechałem do W-ocławia, żeby potwierdzić autentyczność pewnego obrazu. Nie powiedziałem Panu jednak wszystkiego. Do Wrocławia zaprosił mnie znajomy ze studiów, który tam prowadzi sklep z antykami. Przyniesiono do niego mianowicie obraz, który mocno przypominał „Śmiejącego się pasterza” Flincka. Jak Pan może pamiętać, wisiał on do 1944 roku w galerii obrazów Kurlandisches

17

Museum w Mitawie, zresztą razem z jednym Tycja-nem, dwoma Rubensami i tuzinem innych znakomitości. Żadnego z nich po wojnie nie odnaleziono.

Obejrzałem ten obraz i mam prawie stuprocentową pewność, że to ten.

Wyobraża Pan sobie, co to oznacza? Być może ocalały gdzieś wszystkie!

Wydostałem od antykwariusza adres gościa, który przywiózł to płótno, i dlatego jestem w Sobolu. Okazuje się, że gość nie żyje, bo właśnie ktoś go zarżnął.

Potrzebuję Pana pomocy, bo będę musiał jednak pojechać do tego Berlina, a

czuję, że jestem blisko wyjaśnienia sprawy. Czy mógłby Pan szybko zebrać dostępne dane na temat zniknięcia obrazów z Kurlandisches Museum i przyjechać tu? Stanąłem w tutejszym hoteliku. Poza mną i jednym takim tajemniczym Mefistem nikogo tu nie ma. Wilgoć jak cholera i grasują różne drobne gryzonie, ale poza tym dość czysto. Czekam na Pana niecierpliwie.

Bandura

Tej nocy długo nje mogłem zasnąć. Myślałem o Profesorze i jego prośbie o pomoc. Przewracałem się z boku na bok, aż obudziła się Pawlak, która tego dnia nocowała u mnie.

- Co jest? - spytała.
- Nic, dostałem dziś list zza grobu - odpowiedziałem. Przyłgnęła do mnie całym swoim dużym, gładkim, pachnącym ciałem, a ja po raz kolejny podziękowałem Stwórcy, że ją mam.

- **18**

- Nie mów takich rzeczy. Duchów przecież nie ma - szepnęła.
- Są, kochanie, są. **I to bardzo blisko** nas - powiedziałem.

Pogrzeb

Pojechaliśmy do Wisły wczesnym pociągiem we trzech: dziekan Wydziału Historii, poczciwy profesor Dąbrowa i ja. Dąbrowa reprezentował dyrektora naszego instytutu, który pod jakimś pretekstem wykręcił się z uczestnictwa w pogrzebie. Nie znosił Bandury i nie mam wątpliwości, że zgon Profesora nie przepełnił go smutkiem. Inna sprawa, że Bandura otwarcie lekceważył dyrektora, a raz nawet z premedytacją upokorzył go publicznie. Było to kilka lat wcześniej, kiedy instytut obchodził pięćdziesięciolecie swojego istnienia. Z tej okazji odbył się uroczysty wykład dyrektora poświęcony historii naszej firmy,

w trakcie którego ów wymieniał europejskie uniwersytety, skąd przyjeżdżali do nas uczeni z gościnnymi wykładami. Kiedy powiedział: „...mieliśmy także wielu gości z Niemiec, w tym wykładowców z Regensburga, Trieru, Meinz i Aachen”, Bandura podniósł rękę, ku zdziwieniu wszystkich przerywając wykład. Gdy zaskoczo-

19

ny dyrektor udzielił mu głosu, Bandura powiedział: „Ponieważ pan profesor, jak widzę, ma luki w wykształceniu ogólnym, chciałbym wyjaśnić zgromadzonemu, że miał on na myśli uniwersytety w Ratyzbonie, Trewirze, Moguncji i Akwizgranie”. I usiadł. Nigdy go nie spytałem, za co tak zwalcza dyrektora. Mogłem się tylko domyślać, że sprawa ma swoje korzenie w zamierzchłych czasach, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

Brak dyrektora na pogrzebie Bandury był oczywiście obciachem, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: poczciwy Dąbrowa, specjalista od malarstwa akademickiego, był przyjacielem i wielkim adoratorem Bandury i pewnie jedynym z profesorów w instytucie, któremu po odejściu mojego mentora nie ulżyło, więc jego żal był autentyczny. Ale może jestem niesprawiedliwy.

Dziekan był historykiem i na historii sztuki się nie znał; niemal całą drogę czytał materiały o Bandurze.

Historycy na wydziale traktowali nas podejrzliwie. Patrzyli spod oka, rozmawiali ostrożnie, spodziewali się po nas najgorszego. Sam dziekan był szacowną pozostałością dawnej epoki. Był ponoć swego czasu działaczem partyjnym, ale nikt mu tego nie wypomniał. Na uczelniach polskich nigdy nie zdarzyły się polowania na czarownice: nikt nie miał w tym interesu, bo spora część pro-

20

fesury była mniej lub bardziej umoczone. Bandura - który jeszcze za komunizmu

nie krył się ze swoimi poglądami - cytując podobno publicznie fragmenty Herbertowskiej *Potęgi smaku* przy każdej okazji, wyrażał się o dziekanie elegancko: „ten politruk”.

Zamknięta trumna ze zwłokami Profesora stała w kaplicy miejscowego zboru. Do pogrzebu pozostało jeszcze sporo czasu, ale nie byliśmy jedynymi żałobnikami - tuż przy katafalku siedziała elegancka kobieta w czerni, z twarzą zasłoniętą woalką. Pomyślałem sobie, że to owa tajemnicza siostra Profesora.

Siedzieliśmy w skupieniu. Patrzyłem na wielką, prostą trumnę w niemodnym czarnym kolorze i myślałem z bólem o człowieku, który w niej leżał. I o sobie. O tym, że już nieodwołalnie wkroczyłem w smugę cienia, ponieważ w mojej karierze zdany byłem od teraz wyłącznie na siebie. Rozejrzałem się dookoła. Było jasne, że to wcale nie surowe w swej elegancji wnętrze zboru zaszczerpiło niegdyś w młodym Bandurze zainteresowanie malarstwem.

Przybywali kolejni żałobnicy, a wśród nich pojawiła się wysoka, chuda kobieta w czerni i woalce. Przywitała się z tą, która siedziała przy trumnie Profesora, i kiedy tamta uniosła woalkę, by nadstawić policzek, zobaczyłem jej zapłakaną twarz: była to Mareike z Lejdy. Przytyła nieco,

21

odkąd widziałem ją po raz ostatni, ale pozostała atrakcyjną kobietą.

Zrobiło mi się cieplej na sercu. Pomyślałem, że Profesor zasłużył na to, żeby żegnali go wszyscy najbliżsi, a zwłaszcza jego bujna przyjaciółka.

Przyszędł pastor, odprawił nabożeństwo, po czym udaliśmy się do grobu rodzinnego Bandu-rów. Tam duchowny powiedział parę słów i spojrzął na nas. Wtedy z boku podszedł nagle elegancki facet, który chwilę wcześniej zajechał pod cmentarz lancją z kierowcą, i zaczął w te słowa: „Szanowni państwo. Nauka polska poniosła oto niepowetowaną stratę. Odszedł od nas...”. Mowa jego była krótka i równie gładka i bez wyrazu jak on sam. Domyśliliśmy się, że gość reprezentuje ministerstwo, a może Polską Akademię Nauk.

Następnie do trumny zbliżył się dziekan i wygłosił dość eleganckie przemówienie, w którym streścił naukowe osiągnięcia Profesora. Lekcję odrobił dobrze: zdumiewająco mało faktów przekręcił. Wspomniał, naturalnie, o *Madonnie z konwalia* i o roli Bandury w odkryciu jej dla świata. Był dobrym mówcą: zaczął cicho, stopniowo jego głos nabrał siły, a słowa - wyrazu, i zakończył mocno, wręcz *pastoso*, jak mówią muzycy.

Dalej zaczął przemawiać poczciwy Dąbrowa, ale rychło wzruszenie go pokonało i odwrócił się, zakrywając twarz chustką. Pastor spojrzął na

22

mnie, ale pokręciłem przecząco głową. Gardło miałem ściśnięte i wiedziałem, że nie wydusiłbym z siebie słowa.

Z głuchym łoskotem grud spadających na trumnę, wciąż pobrzmiewającym w uszach, udaliśmy się w kierunku cmentarnej bramy. Bo w pobliskiej restauracji czekała nas stypa.

Kątem oka zauważyłem, jak dupek z ministerstwa (czy też PAN-u) zapakował się do swojej lancii i odjechał, nie żegnając się z nikim. A przez boczną furtkę chyłkiem wymknęła się znajoma postać kobieca. Glizda?! Tu? W Wiśle?

Glizda

Profesor Aurelia Dziubińska była jedną z tych kobiet, które dość szybką karierę naukową zawdzięczają mało absorbującemu życiu prywatnemu. Profesorem „podwórkowym” została w wieku lat czterdziestu, a teraz, kilka lat później, coraz głośniej mówiło się, że jej nominacja na profesora pełną gębą, „belwederskiego”, jest kwestią miesięcy. Odwrotnie niż w życiu prywatnym, w życiu naukowym Glizda była osobiście aktywna i nad wyraz płodna. Była między innymi autorką popularnego podręcznika historii architektury, tak dobrze znanego wszystkim

historykom sztuki.

23

Zarzucała też czasopisma naukowe artykułami i brała udział we wszystkich konferencjach, zawsze jako prelegentka. Była niekwestionowanym ekspertem od zabytków Śląska Opolskiego, skąd pochodziła.

Z racji moich zainteresowań architektonicznych często się z nią kontaktowałem, na co Bandura patrzył niechętnie. Z kolei Glizda uważała, że powinienem być jej asystentem i doktorantem, jako że Bandura jest specjalistą od malarstwa. Ja sądziłem natomiast, że mogę się uczyć od nich obojga, choć konflikt lojalności dawał czasem o sobie znać.

Mimo że daleko jej było do naukowej błyskotliwości Profesora, szanowałem Glizdę jako solidnego fachowca od architektury. Trudno mi jednak było szanować ją jako człowieka po tym, kiedy jako świeżo upieczony doktorant odkryłem jej słabość do alkoholu i zobaczyłem całkowitą dezintegrację Glizdy na konferencji w Zamościu, zaraz po zatwierdzeniu jej habilitacji.

Na zwyczajowym bankiecie kończącym konferencję Glizda unietrzeźwiła się mocno i ujawniła drzemiące w sobie pokłady swawolności. Siadała na kolanach wszystkim obecnym, z wyjątkiem Bandury (którego omijała szerokim łukiem), młodszym pracownikom oraz doktorantom mierzwiła włosy i szczypała ich w policzki, upierała się wypić z wszystkimi bruderszaft i była

24

ogólnie nieznośna. Z rozmazanym makijażem, wymiętą bluzką, przekrzywioną spódnicą i oczkiem w pończosze wyglądała żałośnie. Bandura, który przyglądał się jej z coraz większym niesmakiem, poprosił mnie, żebym ją odwiózł jego samochodem do hotelu. Byłem absolutnie trzeźwy, bo jednym z moich zadań jako asystenta Profesora było powstrzymywanie się od alkoholizowania się i wożenie go po suto zakrapianych kolacjach do domu lub hotelu, czyli do „miejsca

dyslokacji", jak mawiał. Nie było to zadanie wdzięczne (choć samo prowadzenie wypasionego auta Bandury sprawiało mi przyjemność), ale uważałem, że nie jest to wygórowana cena za honor tak częstego przebywania w jego towarzystwie.

Nie bez trudności wyprowadziłem wtedy Glizdę i zapakowałem na tylne siedzenie samochodu Profesora. Przez całą drogę, wczepiona w oparcie mojego fotela, ziała mi alkoholowym oddechem w ucho, nazywała „słodkim Karolkiem" i narzekała, że nie urodziłem się piętnaście lat wcześniej. Kiedy doprowadziłem ją do hotelu, wciągnęła mnie za sobą do pokoju i zaczęła na mnie rozpinąć koszulę. Wywinąłem się jej wężowym ruchem i dałem drapak.

Choćby ze względu na jej wiek zupełnie nie widziałem w Gliździe kobiety i pamiętam, jak zadziwił mnie mój przyjaciel Gerwazy, któremu ją swego czasu pokazałem w uniwersyteckiej ka-

25

feterii. Zaglądał tam niekiedy, żeby zjeść ze mną lunch i popatrzeć na dziewczyny.

- To kobieta z potencjałem, Charles - powiedział. - To nie jest jedna z tych raszpli z zasuszoną pizdą - dodał. - Ją posuwano, i to nieźle. Popatrz, jak się rusza. To ciało, o które kiedyś dbano, i ono to pamięta. Jakiś gość nieźle uprawiał to poletko. Orał równo i często nawoził.

Ja tego wszystkiego naturalnie nie widziałem, ale nie miałem powodu, by nie wierzyć: Gerwazy był w końcu fachowcem od tych spraw.

Animoszja między Glizdą a Bandurą była czymś w rodzaju instytutowego folkloru, a ich utarczki słowne znano na całym wydziale. Kiedy oboje brali udział w jakimś zebraniu, prędzej czy później zaczynali przerzucać się uszczypliwymi uwagami. Te przeradzały się w docinki i o ile prowadzący nie przywołał obojga do porządku, nieuchronnie kończyło się na inwektywach, po czym jedno z nich opuszczało zebranie, trzaskając drzwiami. Oboje potrafili być złośliwi nad wyraz błyskotliwie i reszta towarzystwa słuchała ich kłótni z

satysfakcją przemieszaną z podziwem.

Dyskretne uczestnictwo Glizdy w pogrzebie Profesora zdało mi się początkowo szokujące i całkowicie niezrozumiałe. Ale zaraz przypomniałem sobie jej spuchniętą od płaczu twarz w dniu, w którym przysłała wiadomość o śmierci Bandury.

Stypa

W restauracji profesorowie wzięli doktor Marei-ke van R. między siebie i jęli zabawiać ją rozmową, mnie zaś posadzono przy kościstej siostrze zmarłego. Okazała się osobą wykształconą i elo-kwentną. Mimo braku fizycznego podobieństwa jej pokrewieństwo z Bandurą nie ulegało wątpliwości: miała ten sam sposób widzenia świata i ten sam sarkastyczny do niego stosunek. Ku mojemu zdziwieniu wyszło na jaw, że Profesor opowiadał jej sporo o mnie.

- Powiedział mi kiedyś, że chciałby mieć takiego syna - zauważyła.

Zaczerwieniłem się.

Bandura nigdy nie zmniejszył dystansu między nami, w zasadzie mnie nie chwalił, często za to werbalnie podszczypywał. Nigdy nie dał mi poznać, że szczególnie mnie lubi i ceni. Czasem tylko wydawało mi się, że cieszy się na mój widok.

- Czy pan pisze wiersze? Franciszek w pana wieku jeszcze chyba pisywał - powiedziała w pewnym momencie.

Zaskoczyło mnie to. Bandura poetą? A więc jego wrażliwość na sztukę była częścią ogólnej wrażliwości, a nie zaskakującym i przypadkowym rysem charakteru.

Trochę później siostra Bandury spojrzała na mnie z lekkim wahaniem i powiedziała:

- Nie chciałby pan przypadkiem kupić samochodu Franciszka? Ja sama nie prowadzę, a poza tym myślę, że spodobałoby mu się, gdyby to właśnie pan nim jeździł. Może pan go mieć za... dziesięć tysięcy.
- Ależ to jest prawie nowy rover 75, on jest wart dużo więcej - zaprotestowałem.
- Proszę się ze mną nie kłócić, młody człowieku. Dziesięć tysięcy i ani grosza więcej. - Czyż miałem się nie zgodzić?

Tymczasem podano alkohole i wkrótce potwierdziła się banalna prawda, że stypa ma za zadanie odwrócić uwagę ludzi od nieznośnej myśli o własnej śmiertelności, myśli, która jeśli przybierze postać natrętną, może niektórych sparaliżować i odebrać im całkowicie wolę działania.

Najszybciej alkohol podziałał na rustykalnych z wyglądu żałobników miejscowych. Musieli być jakimiś pociotkami Bandurów, ale siostra Profesora nie wydawała się zainteresowana kontaktem z nimi. Bawili się więc we własnym gronie. Również twarze moich uczonych kolegów zaróżowiły się i po jakiejś godzinie profesorowie wyraźnie przeszli od fazy zabawiania rozmową do fazy emablowania. Holenderka siedziała nieporuszona, a na jej ładnej, pobladłej twarzy, okolonej burzą kręconych włosów, nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Było oczywiste, że mimo dzielących

28

ich granic i rzadkich spotkań Bandura był dla niej kimś bardzo ważnym.

Kiedy rozmowa z panią Matyldą zamierała, oddawałem się obserwacji żałobników. Błyszczały im teraz oczy, ich twarze były coraz czerwiejsze, humor coraz lepszy. Przedstawiali ciekawą scenę rodzajową, pełną malowniczych typów ludzkich; artysta nie żałował tu farby.

Tak, pewne sceny nachalnie jawiły mi się jako dzieła sztuki. Łapałem się na tym coraz częściej i nic nie mogłem na to poradzić. Skrzywienie zawodowe czy początek obłędu?

Kiedy wyszliśmy z restauracji, był już zmierzch. Pożegnaliśmy się z siostrą Profesora i udaliśmy się na długi spacer, wdychając rześkie górskie powietrze, w którym czuć było zapowiedź nadciągającej zimy. Ja nie mówiłem nic, Mareike odzywała się monosylabami, moi koledzy z uniwersytetu tokowali zaś nieustannie, niemiłosiernie katując przy tym szlachetny język Byrona i Blackaddera.

- Wydawało mi się, że widziałem na cmentarzu profesor Dziubińską - powiedziałem w pewnym momencie do Dąbrowy. - Ale to chyba nie możliwe.

Dąbrowa spojrzał na mnie bystro.

- No... wcale bym się nie zdziwił - odparł w końcu. - Wie pan, oni byli kiedyś parą.

- Coooo!?! - wykrzyknąłem oszołomiony. Glizda i Bandura?

- **29**

- To było jakieś piętnaście lat temu - powie dział Dąbrowa. - Trzymali to w tajemnicy. Chyba byłem jedyny w instytucie, który wiedział. To był bardzo burzliwy związek, trwał pewnie ze dwa lata. Potem coś się stało, ale nie wiem co. No i sam pan potem słyszał na zebraniach...

Kiedy dotarliśmy do pracowniczego domu wczasowego przerobionego na hotel, z okolicznych domostw dał się słyszeć sygnał telewizyjnych „Wiadomości”. Profesorowie wyraźnie nie chcieli rozstać się z Mareike, ale ona wyraźnie nie miała ochoty na kontynuację wieczoru w hotelowym barze. Ale kiedy żegnała się ze mną, szepnęła:

- *Come to me later.*

Tego się nie spodziewałem. Siadłem potem na łóżku w swoim pokoju i

zaczęłam się zastanawiać. Zaproszenie od Mareike mogło być oczywiście zaproszeniem na nocną rozmowę o Bandurze, ale coś mi mówiło, że nie o to chodzi. Pomyślałem o Pawlak. Nigdy nie wymagała ode mnie wierności i wyraźnie sygnalizowała, że sama też chce mieć zostawiony margines wolności. Nigdy jej na niczym nie przyłapałem, ale miałem niejasne wrażenie, że traktując mnie jak bezpieczny port, wyprawiała się od czasu do czasu na zbójckie wyprawy tu i tam. Będąc z natury monogamiczny, przez ostatnie pół roku nie szukałem przygód i nie myślałem o bliskim kontakcie z innymi kobietami: pewnie dlatego zaproszenie Mareike

30

stanowiło dla mnie takie zaskoczenie. Mój przyjaciel Gerwazy obśmiałyby się jak norka...

Czy chciałem osiąść doktor Mareike van R. z Uniwersytetu w Lejdzie? Nie byłem tego do końca pewien. Po pierwsze, czułem, że duch Bandury krąży wokół mnie, i nie wiedziałem, czy nie potraktowałby tego jako nielojalności. Po drugie, pomyślałem o szczęśliwym w końcu związku z Pawlak. Czy naprawdę chciałem ją zdradzić? Po trzecie, był jeszcze aspekt estetyczny: nigdy nie miałem do czynienia z kobietą w tym wieku, o ciele tak odległym od ideału z lakierowanych okładek. Miałem trzydzieści lat i nigdy nie znałem (w sensie biblijnym) kobiety o kilkanaście lat starszej. Byłby to rzadki obciach, gdyby mój mały przyjaciel nagle się spłoszył...

Rozważywszy to wszystko, postanowiłem nie przyjąć zaproszenia i położyłem się do łóżka.

Około północy wstałem, założyłem sweter i spodnie na gołe ciało i poszedłem do niej.

Mareike

Drzwi były otwarte. Zamknąłem je cicho od środka.

- / *thought you'd never come* - szepnęła i zapaliła lampkę przy łóżku.

Leżała naga, z chmurą kręconych włosów rozsypanych na poduszce, z rękami założonymi pod głowę, wcale nie przejmując się tym, że wielkie, miękkie piersi o dużych brodawkach rozpląły jej się na boki. Brzuszek miała lekko odstający nawet w tej pozycji i masywne uda. Światło załamywało się na jej ciele w tylu miejscach, że z jej aktem byle pacykarz na pewno by sobie nie poradził. George Grosz byłby natomiast zachwycony taką modelką.

Bibiana goliła swój wzgórek łonowy, a i inne moje dziewczyny w taki czy inny sposób fryzowały sobie cipki, choćby po to, żeby móc nosić wycięty kostium kąpielowy. Mareike była tam podana *au naturel*. Wielki, ciemny trójkąt odbijał mocno od jej jasnego ciała. Spostrzegła moje wahanie, sięgnęła pod łóżko i podała mi napoczętą litrową butelkę Tullamore Dew. Wziąłem butelkę i łyknąłem potężny haust whisky. Mareike powoli przewróciła się na brzuch i podkuliła nogi. Po chwili miałem przed sobą jej wielkie wypięte pośladki i ciemny odwrócony wykrzyknik między

32

nimi. Rozpiąłem spodnie i uwolniłem tego, który od kilkunastu sekund się w nich szarpał.

- Wybacz, Profesorze - szepnąłem i pokryłem tę masywną holenderską klacz, najlepiej jak potrafiłem.

Był to tylko wstęp do tego, co działo się później. Popijaliśmy na przemian z butelki, Mareike szeptała coś w tym swoim pogańskim, gardłowym języku, czasem popłakiwała, naciągała mnie na siebie, a ja już to odkrywałem uroki kołysania się na tych wszystkich miękkich obłościach, już to zamieniałem się w jakieś leśne zwierzę, ryjące w wilgotnym mchu i porostach o intensywnym zapachu, już to walczyłem o życie przygnieciony jej wszystkimi wspaniałościami. Z butelki ubywało whisky, a z mojego organizmu białka. Kiedy moje przyrodzenie odmawiało współpracy, przywoływane było przez moją

bujną partnerkę do porządku uderzeniami otwartą dłonią.

Duch Profesora unosił się nad nami, ale w jego aurze czułem aprobatę dla moich dokonań. Dwa razy ktoś usiłował zakłócić moje zapasy z Mareike, dobijając się do drzwi. Stawiam na dziekana.

Kiedy zasypialiśmy ciasno spleceni i sklejeni różnymi wydzielinami z naszych ciał, był już świt. Po kilku godzinach snu obudzeni zostaliśmy przez jej podróżny budzik. Wzięliśmy razem prysznic, a Mareike parsknęła śmiechem na widok mojej spuchniętej kuśki, która przybrała kształt ogórka.

33

Był to jej pierwszy śmiech, odkąd zobaczyłem ją w kaplicy, i sprawił mi on satysfakcję. Patrzyłem teraz na jej nagość z ogromną przyjemnością. Tak, była to „sztuka bardzo użytkowa”, według definicji Profesora. Nigdy wcześniej bym nie przypuścił, że kobieta o bujnych kształtach może być tak pociągająca.

Przypomniałem sobie, jak Gerwazy kiedyś zachwalał uroki kobiet „nadmiarowych” - jak je nazywał - słuchałem go wtedy z niedowierzaniem, teraz dopiero zrozumiałem, co miał na myśli.

Odprowadziłem ją na dworzec. Pożegnała mnie długim i mokrym pocałunkiem w usta, a ja powlokłem się z powrotem do hotelu, przepojony uczuciem wdzięczności dla kobiety, która zafundowała mi parę godzin wspaniałego i najbardziej niepohamowanego oraz niehigienicznego seksu, jaki miałem w swojej karierze. Czy była to rozpaczliwa afirmacja życia w obliczu śmierci? Pewnie tak, ale co z tego!

Wuj Antoni

Od śmierci Bandury mijały kolejne dni, a ja coraz gorzej radziłem sobie ze stratą mojego mistrza i pustką, którą po sobie zostawił. Przebywanie w naszym

gabinecie na uczelni i patrzenie

34

na biurko Profesora sprawiały mi prawie fizyczny ból, z każdym dniem odkrywałem teraz coraz nowsze aspekty tej straty.

Ponieważ powysyłałem standardowe w treści wiadomości do osób i instytucji zagranicznych, z którymi Profesor utrzymywał kontakty (*Dear Sir/Madam! It is with utmost sorrow that I have to notify you...*), na moją skrzynkę zaczęły przychodzić kondolencje. Nawet jeżeli tylko część z tego, co pisali zagraniczni koledzy Bandury, była szczerą i prawdziwą, musiał być tam naprawdę bardzo wysoko ceniony, także jako człowiek.

W końcu zrozumiałem, że muszę komuś o tym wszystkim opowiedzieć, ale nie bardzo miałem komu. Z Pawlak wolałem się na razie nie widywać, ponieważ po przygodzie z Mareike czułem się w stosunku do niej nie w porządku. Zresztą, cóż ona wiedziała o śmierci i próżni, którą zostawiają po sobie nasi bliscy, ona, która nigdy nikogo w życiu nie straciła! Nie rozumiałyby tego. Wspominanie o Bandurze przy Pułkowniku nie miało sensu, tak zapięły był nadal w swojej niechęci do Profesora. Po raz kolejny odczułem bolesny brak mojego przyjaciela Gerwazego, który niekiedy potrafił wykazać się nieprawdopodobną intuicją i taktem. On by może rozumiał. A może nie.

I wtedy przysłała kartka od wuja Antoniego. Tekst był krótki:

35

Kochany Karolu,

właśnie przeczytałem o śmierci Profesora Bandury. To wielka strata dla nas wszystkich, a największa zapewne dla Ciebie. Jeśli chcesz o tym porozmawiać, przyjeźdź do mnie do Starszyc. Drzwi mojego domu są dla Ciebie zawsze otwarte. Ściskam Cię mocno.

Twój wuj Antoni

Jakiś czas temu mój zagraniczny wuj przeszedł na wczesną emeryturę i powrócił na dobre do kraju. Kupił dom i kawał ziemi gdzieś na Kaszubach (w miejscowości Starszyce, jak się okazało) i wiódł tam teraz życie rentiera.

Przypomniałem sobie, jak wiosną tego roku przyjechał do naszego miasta, jak spotkałem się z nim w greckiej knajpie i opowiedziałem mu o wydarzeniach, które przeorały mi w poprzednim roku życie. I jak dobrze mi to wtedy zrobiło. To wuj zainspirował mnie, abym „przeczytał ostatni rozdział tej powieści”. Kto wie, czy bez tej rady odnalazłbym kolejne fragmenty rozsypanej mozaiki, sztambuch hrabianki Baranieckiej i ziarno zgromadzone przez zapobiegliwą Mysz?

Odszukałem numer polskiej komórki wuja i zadzwoniłem. A potem wyciągnąłem mapę samochodową i nie bez trudności zlokalizowałem Starszyce.

Starszyce

Rankiem następnego dnia pojechałem do instytutu i odwołałem swoje zajęcia. Nie byłem jedyny: dowiedziałem się mianowicie, że profesor Dziubińska ma nerwowe załamanie i jej zajęcia zostały bezterminowo odwołane.

Dla porządku zadzwoniłem jeszcze do Pawlak. Na szczęście nie mogła jechać ze mną, bo wybierała się na Śląsk: od dawna umówiona była z kimś na oglądanie kościoła w Strzegomiu, co wiązało się z jej pracą magisterską.

Z oczywistych względów nie chciałem pokazywać się z Pawlak publicznie w naszym mieście, więc często zabierałem ją na różne wyjazdy. Pawlak je uwielbiała, bo mogliśmy wtedy być przez cały czas razem i chodzić, trzymając się za ręce, co sprawiało jej dziwną przyjemność. Tym razem chciałem pobyć trochę sam ze sobą, więc odpowiadało mi, że jest zajęta czymś innym.

Dumając nad zagadką kobiecej natury, wyruszyłem do Starszyc. Jechałem prawie cały dzień, słuchając z kaset czasem melancholijnej, a czasem patetycznej muzyki Vangelisa i podziwiając resztki złotej polskiej jesieni w jej lokalnych odmianach. Starłem się przy tym nie zauważać nędzy architektury

polskiej wsi, tych wszystkich płaskich albo dwuspadowych, ale „kopniętych” dachów, całego tego eternitu i tych wszystkich

37

pustaków, ale było to trudne. Przypomniałem sobie, jak Bandurę rozśmieszył kiedyś pewien natchniony pismak, który na łamach poczytnej gazety bredził coś o Polsce jako kraju atrakcyjnym turystycznie.

- Ta cholerna polska megalomania. Powinni tego gościa wysłać byle gdzie za granicę, żeby przejrzał na oczy - perorował Profesor. - Tu u nas nic się harmonijnie nie wpisuje w naturę, której zresztą jest coraz mniej.

Komunistyczna tandeta i katolicki bałagan, nie może być gorszego połączenia. Dziesiątki lat miną, zanim polska wieś zacznie jakoś wyglądać. O ile kiedykolwiek zacznie.

Kiedy dojechałem do Starszyc, było już ciemno. O ile zlokalizowanie wsi nie było proste, o tyle znalezienie posiadłości okazało się łatwizną. Wiedziałem, że dom wuja znajduje się na końcu osady, w nieznacznym od niej oddaleniu, a rozpoznałem go po rozmiarze (była to jedyna dwupiętrowa budowla w okolicy), nowym ogrodzeniu i świecącym nowością tynku. Brama na podwórze była szeroko otwarta. Zaparkowałem fiestę pod czymś, co wyglądało na drewnię, wyjąłem z bagażnika torbę i podszedłem do drzwi.

Dom liczył zapewne dobrze ponad sto lat. Duże, miejskie z wyglądu domy w niewielkich wsiach to zjawisko nie tak znowu rzadkie, świad-

38

czące o ich dawnej świetności, czyichś niezaspokojonych ambicjach albo o istnieniu niegdyś jakiegoś urzędu.

Drzwi się otworzyły, zanim zdążyłem dotknąć dzwonka. W progu stała wysoka dziewczyna o śródziemnomorskiej urodzie. Jej czarne włosy były króciutko ostrzyżone i bardzo gęste, a od śniadej twarzy o regularnych rysach wiało

chłodem. Miała na sobie krótką, żółtą skórzaną kurtkę, jej biodra opinały obcisłe dzinsy, rozszerzające się ku dołowi.

- Pan Karol? - spytała.
- Tak - odpowiedziałem.
- Legitymacja. - Polski nie był jej ojczystym językiem. Spojrzałem na nią zdumiony.
- Legitymacja?
- Tak - potwierdziła.

Domyśliłem się w końcu, o co jej chodzi: wyjąłem portfel, a z niego prawo jazdy. Spojrzała na kawałek plastiku i kiwnęła głową.

- Proszę - powiedziała sucho i ruszyła przodem bezszelestnie jak drapieznik.

Na końcu korytarzyka były jeszcze jedne drzwi, obok których ku swojemu zdumieniu zauważyłem panel z numeryczną klawiaturą. Szybko wcisnęła trzycyfrowy kod, zasłaniając panel przede mną. Szczęknął zamek, dziewczyna pchnęła masywne drzwi i znaleźliśmy się w mieszkaniu wypełnionym muzyką barokową.

39

Zaprowadziła mnie do dużego pokoju, gdzie na moje powitanie z ciężkiego skózanego fotela podniósł się wuj Antoni. Nie był w pokoju sam - przed kominkiem na owczych skórach siedziały dwie identyczne nastolatki o lekko naburmuszonych twarzach. Ubrane były w dzinsowe wdzianka, sztucznie wytarte i w miejscach wytarcia modnie zażółcone. Przypomni mi się usłyszany niedawno komentarz zgryźliwego kumpla Gerwazego, Bączka: „Obsikany dzins i muzyka techno to dowody na nieodwołalny zmierzch cywilizacji zachodniej”.

Nie rozumiałem obecności tych nastolatek w kolorze *blue*: z tego, co mi było wiadomo, wuj nie miał dzieci ani tym bardziej wnucząt. Gospodarz uściskał

mnie serdecznie.

- Pola i Tola - powiedział, wskazując na dziewczęta. Skinęły głowami. - Naprawdę mają inne imiona, ale tak jest prościej - dodał z uśmiechem. I widząc moją skonfundowaną minę, wyjaśnił: - Uciekły z domu i tu dojrzewają powoli do telefonu do rodziców. Anais już poznałeś. To kierowniczką całego interesu. - W oczach miał figlarne błyski.

Ukloniłem się opartej o framugę odźwiernej, której imię było równie egzotyczne jak wygląd, a ona lekko skinęła głową.

- Czy panie mogą nas zostawić samych? - spytał wuj.

40

Pola i Tola ruszyły do drzwi. Kiedy przechodziły obok mnie, kręcąc kuperkami w krótkich dżinsowych spódniczkach, zweryfikowałem nieco swój pogląd na ich wiek.

- Tak, są pełnoletnie, przynajmniej w tym sensie, o którym myślisz - powiedział gospodarz, widząc moje spojrzenie. Zaczerwieniłem się.

- Anais, czy moglibyśmy dostać herbaty? - spytał wuj.

Anais spojrzała na niego przeciągle, po czym wyszła do kuchni.

- Ona jest ceną, którą muszę płacić za moją emeryturę - wyjaśnił gospodarz.

Nie bardzo zrozumiałem, ale postanowiłem nie pytać. Wuj zawsze zachowywał w swoich sprawach daleko idącą dyskrecję i chciałem to uszanować.

- Mam tę dobrą metaxę, pamiętasz? - po

wiedział i wyjął z barku charakterystyczną wy
dłużoną butelkę. Po czym przysunęliśmy nasze
fotele bliżej kominka i zasiedliśmy wygodnie ze
sferycznymi kieliszkami w rękach. Poczulem, jak
spływa ze mnie znużenie wywołane długą jazdą
samochodem. Rozkoszując się rodzynkowym po
smakiem metaxy, rozglądałem się z przyjemnoś
cią po urządzonym gustownie wnętrzu. Obrazy
na ścianach, przedstawiające krajobrazy z róż
nych zakątków Europy, wcale nie wyglądały na
reprodukcje. I nie były, o czym przekonałem się,

41

podchodząc bliżej do jednego z nich. Przedstawiał brukowaną uliczkę z ciągnącymi
się po obu jej stronach śródziemnomorskimi domami pałacami.

- Uliczka Kawalerów, Rodos - powiedział wuj.

- Bardzo piękne miejsce.

Chwilę pomilczeliśmy po czym zacząłem mówić. Opisałem mu początki
mojej znajomości z Bandurą, dając do zrozumienia, kim był i ile dla mnie
znaczył. Nie było to wcale łatwe. Nikt z nas bez treningu nie zda płynnie relacji
ze swoich uczuć. Opowiedziałem o jego śmierci, o „liście z zaświatów" i o
pogrzebie. Wspomniałem o Ma-reike, ale nie o naszej wspólnej nocy.

- To był gość o wielkim potencjale - powie
dział wuj po chwili milczenia. - Wiesz, on mi
kiedyś wyświadczył pewną przysługę - dodał po
chwili.

- On? Tobie? Przysługę? - zdziwiłem się,
ale nagle przypomniałem sobie ich zaskakująco
długą rozmowę w nocy po obronie mojego dok

toratu.

- No, coś zawiózł z Brukseli do Petersburga i coś stamtąd przywiózł.

Nie zrozumiałem i powiedziałem o tym.

- Nie szkodzi, nie musisz rozumieć. To miało wtedy związek z moją pracą. Po prostu pasowało nam, żeby tę przesyłkę przewiózł ktoś taki jak on. I zgodził się bez wahania. Było to dla niego trochę niebezpieczne, ale czuwaliśmy nad nim.

4Z

Tyle że się... pokomplikowało. Ale on znakomicie sobie poradził. Jakby... był na coś takiego przygotowany.

Przypomniałem sobie wtedy dziwną scenę przed restauracją „Nauzykaa”, z tajemniczym gościem na ławce i pojawiającym się jak spod ziemi samochodem, i zacząłem się wreszcie domyślać, w jakiej branży działał mój wuj. Ale dalej nie chciałem go pytać o nic. I tak powiedział mi już sporo.

Pola i Tola

Następnego dnia obudziłem się z bólem głowy. Siedmiogwiazdkowa metaxa była wyborną brandy, ale nie w takich ilościach... Zszedłem z mojego pokoju na poddaszu na parter, gdzie spotkałem Połę i Tolę. Pszennoblond włosy miały mokre, oczy jak chabry, usta obrzmiałe. Były bose, miały na sobie identyczne frotowe płaszcze kąpielowe.

- Pan Antoni kazał panu zrobić śniadanie -powiedziała Pola czy też Tola, w każdym razie ta ociupinkę niższa. A może ta ociupinkę wyższa?
- A on sam gdzie? - spytałem.

- Pojechał z panią Anais na spacer.

Siadłem więc przy stole w salonie i czekałem.

Po chwili dziewczęta wniosły śniadanie. Ustawiły

43

wszystko przede mną, a same zajęły miejsca naprzeciwko. Tak jak przypuszczałem, pod płaszczami kąpielowymi nic nie miały. Pozwalały im się co jakiś czas rozchyłać i ukradkiem sprawdzały wrażenie, jakie to na mnie robi. Trudno mi było nie patrzeć na ich wyzierające zza szlafroków niewielkie piersi o jasnoróżowych koniuszkach, ale starałem się kierować wzrok gdzie indziej i z niejakim trudem przybrałem lekko znudzoną minę.

- Pojechali samochodem? - spytałem.

- Skąd, koniami - odpowiedziała Pola czy też Tola, w każdym razie ta ociupinkę wyższa. Koniami. Nie wiedziałem, że wuj trzyma tu konie, ba, nie wiedziałem, że jeździ konno.

- Przejdę się po okolicy - powiedziałem, kończąc szybko śniadanie. Nie zjadłem wiele, bo trudno mi było jeść wobec takiej dystrakcji.

- Nigdzie pan się nie przejdzie - powiedziała niższa z nich. - Jesteśmy zamknięci. Jak wycho-
dzą, zawsze nas zamykają.

Było to wszystko dość dziwne. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Za ogrodzeniem posesji ciągnęło się wielkie pastwisko, w oddali widać było skraj lasu. Kiedy odwróciłem się od okna, zobaczyłem, że diabllice siedzą w odwróconych w moją stronę fotelach. Miały założone nogi na nogi, szlafroki rozchyliły na tyle, żebym zauważył, że nie mają też majtek. Patrzyły mi prosto w oczy. Wiedziałem, że się czerwienię, więc

44

odwróciłem się z powrotem do okna. I wtedy na skraju lasu zobaczyłem dwie konne sylwetki.

- Wracają - powiedziałem z ulgą.

Dziewczęta podeszły do okna. Stały koło mnie, patrząc na zbliżające się sylwetki wuja i Anais. Po chwili przysunęły się bliżej. Zapach mydła i szamponu nie zagłuszał całkiem zapachu ich młodych ciał. Oparły się o mnie lekko z obu stron i wyraźnie sprawdzały, jakie to robi na mnie wrażenie. W dotykanych miejscach czułem najpierw ciepło, potem gorąco.

Z opresji wybawiło mnie szczęknięcie zamka. Dziewczęta pobiegły na górę, do salonu wszedł wuj. Wyglądał stylowo: miał na sobie jasno-beżowe spodnie do konnej jazdy o klasycznym bufiastym kształcie i długie wyglansowane buty, w rękę trzymał szpicrutę. Spod kołnierzyka koszuli wyglądał mu fular. W zgrzebnej polskiej scenerii był jak gość z innego świata, ale przecież nim był... Widząc moje rozognione policzki, uśmiechnął się lekko.

- Pola i Tola cię dopadły? Są strasznie zepsute.

I nic na to nie można poradzić, szkoda już się stała. One seks odkryły trzy lata temu; same mi o tym powiedziały. A teraz sprawdzają siłę swojego appealu. Nie broń się przed nimi. I tak tego nie zrozumieją.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

45

- Podobno jesteśmy tutaj zamknięci? - zmieniłem temat.

Wuj roześmiał się:

- Tylko czasami. To Anais o tym decyduje. Ja się nie wtrącam.

Anais

Po obiedzie wuj zaproponował, żebym towarzyszył Anais w wyprawie po wiktuały do sklepiku w sąsiedniej wsi. Pojechaliśmy land roverem wuja, za kierownicą - ona. Czułem się trochę nieswojo, bo dziewczyna nic po drodze nie mówiła. Prowadziła szybko i pewnie. Popatrywałem na jej klasyczny profil i starałem się odgadnąć jej wiek. Nie było to łatwe. Na pierwszy rzut oka miała około dwudziestu pięciu lat, ale przy bliższych oględzinach okazała się o cztery, pięć lat starsza. Nie byłem pewien, czy mi się podoba, czy nie. Brak jej co prawda było kobiecej miękkości, ale nie była przecież typem męskim. Doszedłem do wniosku, że fizycznie jest bardzo atrakcyjna, ale cały efekt jej urody psuje szorstkość i niechęć do jakiegokolwiek kokieterii. Zastanawiałem się, jakie cechy musiałby mieć mężczyzna, który potrafiłby ją rozbroić i wydobyć z niej ukrytą atrakcyjną kobietę.

46

Sklepik, dawny GS, skorzysta! widać na transformacji ustrojowej, bo pękał w szwach od ludzi i towaru. Stanęliśmy w kolejce. Kilku podpitych młodych włościan zaczęło komentować egzotyczną powierzchowność Anais. Ona nie reagowała, przypuszczalnie nie rozumiała ich zaczepki. Jak każdy inteligent w takiej sytuacji nie wiedziałem, co mam zrobić. Bronić honoru damy? Zignorować chamstwo? Sytuację uprościł jeden z młodzieńców, przysuwając się od tyłu do Anais, kiedy staliśmy już przed ladą i dziewczyna zaczęła pokazywać palcem produkty, które mieliśmy kupić. Nie wiem, co jej zrobił, i nie wiem, co ona zrobiła jemu. Było to szybkie i niezauważalne - gość kwiknął i nagle poleciał do tyłu, grzmotnął w ścianę, osunął się po niej i osiadł z głuchym stęknieniem na worku ziemniaków, który jako żywo sam teraz przypominał. W sklepiku zapanowała cisza.

Śmiałek pozbierał się w końcu z podłogi i wytoczył ze sklepu, a jego kumple

wypadli za nim. Nie miałem wątpliwości, że poczekają tam na nas, ale Anais nie wyglądała na specjalnie przejętą sytuacją. Kiedy wyszliśmy i umieściłem zakupy na tylnym siedzeniu land rovera, wyłonili się zza węgła. Było ich czterech. Jeden niósł kawałek żelastwa, którym od razu rozbił przednią lampę naszego samochodu. To, co stało się potem, trwało najwyżej trzy, cztery sekundy. Kiedy hakiem i prostym unieszkodliwiałem gościa z łodem, ką-

47

tem oka zobaczyłem, jak Anais zatacza łuk wysoko podniesioną, wyprostowaną nogą. Wyglądała przy tym trochę jak baletnica, ale nie chcielibyście stanąć na drodze takiej balerinie. Przekonał się o tym jeden z młodzieńców, trafiony jej stopą w twarz. Dwaj pozostali w tym samym czasie inkasowali szybkie uderzenia kantem jej obu dłoni. Musiały być bardzo, bardzo bolesne, bo rozkwiczyli się jak stado prosiąt. Za chwilę wszyscy czterej uciekali, zataczając się i trzymając za różne części ciała. Anais nie skomentowała zajścia.

Po przyjeździe zostałem zaproszony do stajni. Po drodze opowiedziałem wujowi o zdarzeniu w sklepiku. Roześmiał się:

- A to się chłopcy nacięli. Anais jest jedną z najlepszych. Rozpędziłaby dziesięciu takich. - Po czym dodał pogodnie: - Albo zabiła, gdyby dostała taki rozkaz.

„Albo zabiła... Jezus Maria!", pomyślałem.

Wierzchowce wuja były duże, piękne i zadbane. Jego koń nazywał się Dystych, klacz, na której jechała Anais, miała na imię Hera. Wyglądały jak żywcem wyjęte z dziewiętnastowiecznych angielskich portretów końskich: miały krótką, gładką, lśniącą sierść, długie szyje, stosunkowo małe łby i ogólnie sprawiały wrażenie kosztownych.

We wczesnym dzieciństwie miałem trochę do czynienia z końmi, chociaż nigdy żadnego nie

48

dosiadłem. Dziadka Antoniego, starego kawale-rzystę, zawsze ciągnęło do stajni, więc zabierał mnie często na Konary, gdzie znajdował się wielki ośrodek jeździecki. Jednym z instruktorów był tam jego dawny kolega pułkowy; panowie stali w ujeżdżalni, pociągali od czasu do czasu z metalowych piersiówek i wymieniali uwagi na temat koni, a zapewne także amazonek, tymczasem ja się nudziłem. Dziadek obiecał mi wkrótce naukę jazdy konnej, ale nic z tego nie wyszło, bo właśnie wtedy wyjechałem z rodzicami za granicę. Opowiedziałem to wszystko wujowi, a on posmutniał.

- Ojciec nigdy mnie nie widział w siodle - powiedział. - Ale my chyba mamy to we krwi. Przyjeźdź tu na wakacje, zabierz ze sobą pannę Lucynę, to was nauczymy.

Zaraz, zaraz. Nie pamiętałem, żebym mu kiedykolwiek wspominał o Pawlak... Wuj był zdumiewająco dobrze poinformowany.

Wieczorem otworzyliśmy kolejną smukłą butelkę, a rozmowa znów zeszła na dziadka Antoniego. Okazało się, że wuj doskonale zna rolę, którą odegrał jego ojciec w sławnej szarży pod Wolą Biernacką. Przy tej okazji wyszło na jaw, że drugie imię, Bolesław, wuj otrzymał na cześć idola dziadka, Wieniawy-Długoszowskiego. Pomyślałem wtedy, że ja może zostałem Karolem na cześć dziadka Marksa albo generała Waltera, i sam się z tej myśli uśmiełem. Pułkownik nie był taki.

49

Dowiedziałem się też, że wuj zamówił dla dziadka Antoniego nagrobek z cytatem z wiersza Wieniawy:

*Lecz gdyby mi kazały wyroki ponure
Na ziemi się meldować, by drugi raz żyć,
Chciałbym starą wraz z mundurem wdziac*

*na siebie skórę Po dawnemu... wojować... kochać się... i
pić!*

Wcale nie byłem pewien, czy był to najlepiej dobrany cytat, bo w końcu dziadek leżał w tym grobie z legalną małżonką, która nieraz ciosała mu kołki na głowie z powodu skłonności zarówno do kobiet (za którymi się niezbyt dyskretnie oglądał), jak i różnorodnych nalewek, które z czasem zmieniły barwę jego nosa na kawaleryjsko amarantową, ale zatrzymałem tę wątpliwość dla siebie.

Nieco później powróciliśmy jeszcze do tematu z poprzedniego wieczoru, a gospodarz powiedział:

- Rozumiem, że Profesor tym listem zostawił ci jakby... testament. I że wcale nie palisz się, żeby go wypełnić. Ale chyba będziesz musiał, bo wymaga tego honor.

Zdziwił mnie tym niemodnym słowem i nie wiedzieć czemu lekko zażenowałem, zmieniłem więc temat i spytałem o bliźniaczki.

50

- Znalazłem je na dworcu w Trójmieście - powiedział. - Zaoferowały mi *menage a trois* za pięćdziesiąt złotych. Były bardzo głodne i trochę obdarte. Zabrałem je więc tutaj. Ich stary pływa, a matka znalazła sobie gacha. Ale marynarza ściągnęliśmy już na ląd, a gach został pogoniony. Dziewczyny długo tu nie zabawią.

Ściągnęliśmy, pogoniony. Ciekawe, kto i jak to zrobił. Nabrałem niejakich wątpliwości, czy wuj jest naprawdę emerytem.

Bliźniaczy dublet

W niedzielę rano obudził mnie mokry i gorący pocałunek w usta i jednocześnie jakaś przyjemna sensacja w okolicy podbrzusza. Bliźniaczki. Spanikowałem i w pierwszym odruchu chciałem zwinąć się w kłębek, ale przypomniawszy sobie słowa wuja: „Nie broń się przed nimi. I tak tego nie zrozumieją”, poddałem się

nieuchronnemu. „To się nie dzieje naprawdę”, pomyślałem. Mój pion moralny, mocno już nadwerżony, rozchwiał się ostatecznie.

Po chwili zamieniły się miejscami. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś wcześniej osiągnął podobny stopień twardości równie szybko... A potem wszystko się pomieszało. I z tego splata-

51

nego gaju rąk i nóg co chwila wystawiały mi coś do pocałowania: pachnący karczek, różową piętę, biały pośladek...

Wprawny ruch, którym jedna z nich rozpakowała prezerwatywę i nasunęła mi ją na członek ustami, potwierdził tylko ich doświadczenie, o którym miałem już niejaki pojęcie. Wyglądało na to, że repertuar występu w duecie diabolicie mają bogaty i świetnie opracowany: po chwili stały się swoim własnym lustrzanym odbiciem. Rozchyłały nogi jednocześnie, gdy leżały na plecach, i wystawiały tyłeczki równie synchronicznie, stojąc na czworakach. Zapewne przyprawiały w ten sposób każdego partnera o *agony of choice* - jak określają to Anglosasi - ale przypuszczalnie żaden z ich mężczyzn nie kończył jak ów osiołek, któremu w żłoby dano, ponieważ prędzej czy później musiał wpaść na ten sam pomysł co ja, to znaczy, żeby obdzielać obie dziewczyny mniej więcej po równo.

Przypuszczam, że czas trwania stosunku jest u mężczyzny odwrotnie proporcjonalny do liczby zaangażowanych jednocześnie partnerek, ale nie mam na to żadnych dowodów. Zrozumiecie jednak, panowie, wy wszyscy, którzy o takim doświadczeniu marzycie, że ten pobyt w erotycznym raju nie mógł trwać długo... Niestety.

- Podobamy ci się? - spytała Pola czy może Tola, gdy leżeliśmy potem razem, a ja próbowa-

52

łem dojść do siebie, dumając przy rym o niewątpliwych korzyściach z

posiadania haremu.

- Jesteście śliczne - odpowiedziałem z pełnym przekonaniem. Bo chociaż zblazowany esteta powiedziałby, że z powodu młodzieńczego trądziku tu i tam uroda każdej z nich pozostawia nieco do życzenia, w swojej świeżości i w owym zdublowaniu doznań audiowizualnych, smakowych, zapachowych, a zwłaszcza dotykowych, dziewczyny były... nieodparte.

Szczęk zamka na dole, oznaczający powrót wuja i Anais z porannej przejażdżki, oraz paniczna ucieczka bliźniaczek nastąpiły w momencie, kiedy mój mały przyjaciel znów obudził się do życia i stworzył na prześcieradle, którym byłem przykryty, miniaturę Fudżijamy. Nie było rady, przed zejściem na śniadanie należało zastosować płyn gaśniczy w postaci zimnej wody.

O dziwo, tym razem wyrzuty sumienia w stosunku do Pawlak miałem jakby mniejsze.

Pomyślałem o Gerwazym, który o podobnej sytuacji mawiał: „Trafiłem dublet”. Jaki termin znalazłby na trójkąt z bliźniaczkami? Pomyślałem, że jemu pewnie nic takiego nigdy się nie przydarzyło, i poczułem przypływ samczej dumy. Przetrzeźwia-łem jednak szybko, mówiąc do siebie: „Przecież nie ma w tym twojej zasługi, durniu. Trafiło się ślepej kurze ziarno. Dziewczyny testują swoje możliwości, a ty się akurat nawinałeś. I tyle”.

53

Gerwazemu pewnie nie spodobałyby się ich pomalowane paznokcie. Powiedział kiedyś: „Nastolatki nie powinny malować paznokci, zwłaszcza u nóg. Nawet u starszych lasek to tylko czcza ozdóbka. Dopiero trzydziesto-, czterdziestolatki wiedzą, jaki z nich zrobić użytek: u nich pomalowane paznokcie u nóg to erotyczne wyzwanie, świadectwo dojrzałej samoświadomości”. Niektóre sformułowania tego, bądź co bądź, inżyniera od szamb zwały mnie z nóg.

Pomyślałem też, że to, co mi się ostatnio przytrafiało, stanowiłoby dla Gerwazego potwierdzenie mojej prawdziwej osobowości erotycznej. Nigdy nie

uwierzył, że jestem monogamiczny; twierdził, że tak naprawdę mam naturę „epickiego dziwka-rza”, tak jak on sam (przez co rozumiał polowanie na różnorodność erotycznych wrażeń), ale ze względu na moje „pęknięcie”, wynikające z osobliwych warunków, w jakich się wychowałem, nie pozwalałam jej dojść do głosu. Ja jednak uważałem nadal, że w dziedzinie erotycznej padam ostatnio ofiarą okoliczności, i gdybym był cały czas wierny Pawlak, nie odczuwałbym z tego powodu żadnego dyskomfortu.

Ku memu żalowi do samego wyjazdu nie zobaczyłem już bliźniaczek. Wuj także o nich nie wspomniał, a ja nie po raz pierwszy zastanawiałem się, czy z nim sypiają. Kiedy siedziałem już w samochodzie, nachylił się do mnie i powiedział:

54

- Pamiętaj, że jak będziesz potrzebował, zawsze ci pomożemy.

Na jego szyi zauważyłem świeże zadrapanie w postaci ginących gdzieś niżej, pod rozpiętą koszulą, śladów czterech ostrych paznokci. Nie wiedziałem, czy mówiąc „my”, ma na myśli siebie i Anais, która stała właśnie w otwartych drzwiach, nieruchoma jak posąg, w tej swojej żółtej kurtce, czy ową tajemniczą organizację, z którą był związany.

Opuszczając posiadłość wuja przez jak zwykle szeroko otwartą bramę, zauważyłem we wstecznym lusterku coś, co musiało ująć mojej uwagi, kiedy tu wjeżdżałem. Był to cienki czerwony promień, idący od słupka do słupka, który nagle objawił się w kłębie spalin wydzielanych przez zimny silnik fiesty.

Ciotka Matylda

Mniej więcej trzy tygodnie później dostałem wiadomość od siostry Profesora, że sprawy spadkowe zostały już załatwione i możemy dokonać transakcji. Na najbliższej giełdzie samochodowej, nie targując się zbyt, sprzedałem fiestę, wytoczyłem z garażu harleya po Gerwazym i pojechałem do Cieszyna, gdzie pani

pracowała jako bibliotekarka. Na tylnym siodełku wiozłem Pawlak, która tego dnia wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie. Z ostrym dekoltem, który uwidaczniał się po rozpięciu ciężkiej skórzanej kurtki, i w obcisłych dżinsach na długich, obutych w kowbojki nogach prezentowała się doskonale, a spojrzenia mężczyzn, którzy spoglądali na nią łakomie, mile łechtały moją samczą próżność.

W Cieszynie wysłałem Pawlak na lustrację placówek handlowych, a sam udałem się do biblioteki. Dość nieoczekiwanie pani Matylda przywitała mnie wylewnie. Wyczuła moje zaskoczenie i powiedziała z odrobiną gorczy:

- Cóż pan chce, teraz pan i Mareike to jak gdyby *moja najbliższa rodzina...*

Poszliśmy do niej do domu. Pędziła żywot starej panny z trójką trójkolorowych kotów, wśród robionych szydełkiem serwetek, a jedyny nieprzystający do reszty wystroju szczególnie stanowiły dwie spore biblioteczki z książkami. I bynajmniej nie tylko z klasyką. Była tam masa literatury faktu i sporo powieści zupełnie współczesnych, o tytułach krótkich i dobitnych. Powieść, która leżała na stoliku z włożoną zakładką, miała tytuł *Barocco*. Na okładce był fragment dwudziestowiecznego obrazu, przedstawiającego półnagą kobietę o długich, rudych włosach.

Podpisaliśmy stosowną umowę i stałem się właścicielem pięknego samochodu Profesora. Przejmo-

wanie pojazdów po zmarłych zaczynało wchodzić mi w krew...

Za miesiąc lub dwa pani Matylda miała przyjechać do nas na parę dni, by „zlikwidować” - jak to określiła - mieszkanie Bandury. Zlikwidować. To słowo brzmiało ostatecznie i nieodwołalnie. I nieodwracalnie. Przywodziło na myśl unicestwienie. Oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko zatarcie śladów po człowieku.

Umówiliśmy się, że jej pomogę.

Na odjeźdźnym spytałem o jej kontakt z Marei-ke, która od czasu pamiętnej nocy w hotelu nie odezwała się do mnie.

- Wymieniamy się kartkami - powiedziała.
- Proszę pozdrowić ją ode mnie - poprosiłem, bo podejrzewałem, że nie skontaktuje się ze mną już nigdy.
- Uczynię to niechybnie - powiedziała pani Matylda w swoim staroświeckim stylu.

Po drodze do domu zahaczyliśmy z Pawlak o Wisłę, gdzie podjechałem na cmentarz, zaparkowałem harleya pod murem i poprosiłem moją lubą, by przeszła się po miasteczku. A ja zaniósłem Profesorowi bukiet kwiatów. Musiało mnie długo nie być, bo kiedy wyszedłem z cmentarza, Pawlak siedziała naburmuszona na ławce nieopodal, a motocykl został nie tylko opluty przez tu-byłcze dzieci, ale także dokładnie obsikany przez miejscowe kundle.

57

Pozostawał do załatwienia jeden drobiazg. Ro-ver stał na policyjnym parkingu w Sobolu i trzeba go było stamtąd odebrać. Nie paliłem się do tego, bo na myśl o zobaczeniu miejsca zbrodni ogarniało mnie to samo uczucie jak wtedy, kiedy dostałem list z za grobu. Wiedziałem, że nie jestem w porządku wobec Profesora, bo - jak wuj Antoni trafnie to ujął - ten jego list był teraz rodzajem testamentu, którego miałem być wykonawcą. Wiedziałem też, że duch Profesora przyjdzie do mnie kiedyś ciężkimi krokami Komandora i zażąda sprawozdania.

Zajrzałem najpierw do internetu. Gmina Soból dalej chyba pogrążona była we śnie o złotych czasach za dobrego sekretarza Edwarda, bo nie miała nawet swojej strony internetowej. W miasteczku nie było ani zabytków, ani zakładów przemysłowych, jedna z dwóch wzmianek w sieci dotyczyła znajdującego się tam domu poprawczego, a druga miejsca pamięci - w lesie nieopodal Sobola hitlerowcy rozstrzelali więźniów z jakiegoś obozu koncentracyjnego.

W któryś piątek, kiedy nie miałem zajęć, pojechałem pociągiem do Wrocławia.

Breslau, Wrocław

Nieszczęsne miasto: wypatroszone, siłą opróżnione z mieszkańców, których wytrząsnęto z niego jak z obróconego do góry nogami worka, rozszabrowane i zasiedlone innymi nieszczęśnikami, wytrząsnętymi z worka odległego miasta na wschodzie, dopiero zaczynało odzyskiwać swoją prawdziwą historię. Na fali entuzjazmu z powodu dołączenia wreszcie do cywilizowanej Europy odkryto nagle, że przed rokiem 1945 w mieście Breslau kwitło życie, rodzili się i umierali (czasem gwałtownie) ludzie, niektórzy bardzo zasłużeni dla kultury europejskiej... Było jednak już za późno, bo wszelkie fizyczne ślady po nich dawno zniknęły.

Bandura powiedział kiedyś, że traktowanie przez nas tak zwanych Ziemi Odzyskanych wystawiło nam świadectwo, na którego wymazanie będzie musiało pracować jeszcze kilka pokoleń. Najbardziej - jego zdaniem - przerażające było to, co zrobiono z niemieckimi cmentarzami, niejednokrotnie przedstawiającymi wielką wartość historyczną i estetyczną.

- Zasiedlenie Ziemi Zachodnich to było nadejście barbarzyńców - powiedział raz. - Jak kiedyś wyprawy krzyżowe.
- A czy niemiecki marsz przez Europę w latach II wojny to nie był marsz barbarzyńców?

- 59

- spytałem, bo **wtedy już zaczynałem mu** się trochę stawiać.

- Ależ skąd! - powiedział. - Może szaleńców, ale nie barbarzyńców. W germańską naturę wpisane jest okresowe szaleństwo, dziwne zaślepienie, które każe Niemcom przeć na zatracenie jak stada lemingów. A wszystko, panie kolego, bierze

się z braku poczucia humoru, bo to ono daje nam wobec siebie dystans. Niemcy go po prostu nie mają. My zresztą też, ale u nas to daje inne skutki.

Przypomniało mi się także to, co Bandura powiedział kiedyś o naszym narodowym zapale do burzenia pomników i pozbawiania się fragmentów historii:

- Norwegom na przykład, kiedy odzyskali niepodległość, wcale nie przyszło do głowy, żeby zburzyć stojący przed ich pałacem królewskim pomnik szwedzkiego władcy albo przemianować główną ulicę stolicy, nazwaną jego imieniem. A u nas? Przecież żaden Polak nie uwierzy, że tak naprawdę ostatnim polskim królem wcale nie był Poniatowski, tylko car Rosji! Bo nie ma po nim już żadnego śladu. Tylko cmentarz w Warszawie na Woli zaświadcza, że Rosjanie tam się rodzili, mieszkali, pracowali i umierali. - I spojrzał na mnie spod oka, sprawdzając efekt. Uwielbiał mnie prowokować i był zawsze bardzo zawiedziony, kiedy się sprowokować nie dałem.

60

- Dokładnie to samo zrobiliśmy na Ziemiach Odzyskanych. Szlag trafił wszystkie pomniki, a pomniki to historia i kultura. Pozbawiliśmy jedną trzecią terytorium Polski historii i kultury.

Bandurowe upodobanie do prowokacji wywoływało niekiedy ogniste kłótnie z naszymi wydziałowymi historykami, ale Profesor był dla nich trudnym przeciwnikiem, bo miał sporą wiedzę historyczną. Gruby przyznał mi się kiedyś,

że się go wręcz boją („...no bo on ma takie... lateralne myślenie i wyciąga zawsze inne wnioski”).

Przypomniałem sobie, jakie się któregoś razu zrobiło piekło, kiedy Bandura na wydziałowym zebraniu (na którym reprezentowałem tak zwanych młodszych pracowników) nazwał Kraków, to arcy-polskie miasto, historyczną stolicę naszą, kolebkę polskości, „niemiecką mieściną”. Dowodził, że był to niewielki hanzeatycki gród, którego księgi miejskie prowadzone były w języku niemieckim jeszcze długo, długo po tym, jak wszędzie indziej zaczęto robić to po polsku. Oskarżony przez historyków o tendencyjny dobór argumentów i ciężką ignorancję (ale nie kłamstwo), siedział promieniejący i nadzwyczaj z siebie zadowolony, bo nic go bardziej nie bawiło niż takie zakręcenie patykiem w skisłym uniwersyteckim bajorku.

Wspominając z nostalgią Bandurę i jego zawsze radykalne opinie, nawet nie zauważyłem, kiedy pociąg wjechał na wrocławski dworzec.

61

We Wrocławiu miałem odwiedzić zaprzyjaźnionego z Profesorem antykwariusza i zobaczyć *Pasterza*. Sam nie posiadając telefonu komórkowego, a spodziewając się jakiejś ważnej wiadomości z zagranicy, gdy wyjeżdżał w swoją ostatnią podróż, Bandura zostawił pani Zosi, naszej instytucyjnej sekretarce, numer telefonu owego przyjaciela. Dzwoniłem do niego kilkakrotnie, ale telefon nie odpowiadał. Na podstawie numeru zidentyfikowałem więc galerię i zdobyłem jej adres. Ruszyłem do niej prosto z dworca.

„Salon Antyków Masłowskiego” mieścił się w bocznej uliczce nieopodal rynku. Był na głucho zamknięty. Na drzwiach wisiała kartka z napisem: ZAMKNIĘTE Z POWODU URLOPU. Kartka mocno pożółkła od słońca.

Do Sobola dojechałem tego samego dnia rozklekotanym autobusem, pamiętającym chyba czasy kruszejącego socjalizmu. Jedynymi oznakami transformacji ustrojowej w okolicy były wielkie reklamy Coca-Coli na biedasklepikach spożywczych i z tuzin mężczyzn w sile wieku, snujących się bez celu po małym ryneczku mimo południowej pory i mroźnego, grudniowego powietrza.

62

Czy to któryś z nich, mniej odporny psychicznie, doszedł pewnego dnia do ściany i poprosiwszy dostatnio wyglądającego przybysza o wsparcie, a spotkawszy się z odmową, wyciągnął nóż?

Spytałem o hotel. Znajdował się w bocznej uliczce. Stałem przed obskurnym budynkiem i zastanawiałem się, gdzie upadł Profesor i gdzie wydał swoje ostatnie tchnienie. Irracjonalnie spodziewałem się zobaczyć ślady krwi, ale ich nigdy nie ma: zdumiewająco szybko w takich okolicznościach znikają.

Poszedłem na posterunek policji. W głównym pomieszczeniu, w którym interesantów od personelu oddzielał rodzaj drewnianego płotka, wisiał ciężki odór zastarzałego męskiego potu, niespranego w porę z koszul i marynarek. Panowało tam kompletne rozprężenie. Dwóch stójkowych o rumianych, rustykalnych twarzach dość mechanicznie grało w karty, opowiadając sobie świńskie dowcipy, za przepierzeniem ich szef o aparycji zdradzającej lata niewłaściwej diety czytał gazetę i dłubał zapałką w zębach. Przedstawiłem mu przywiezione papiery. Oglądał je długo i z niedowierzaniem.

- No, niby w porządku... - wystękał w końcu i podrapał się w głowę. Kiedy zsunął mu się rękaw munduru, zobaczyłem coś dziwnego: na nadgarstku miał grubą bransoletkę z kolorowych koralików. Jego krawat skądinąd nie był przepisowy.

63

Wreszcie sięgnął do blaszanej szafy i wyjął wielką szarą kopertę, a z niej kluczyki i dowód rejestracyjny rovera.

- Co pan tam jeszcze ma? - spytałem powodowany nagłym impulsem. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- A pan co, rodzina?

- Trochę jakby - powiedziałem. Jak miałem to wytłumaczyć? - Byłem jego asystentem przez pięć lat. Dzieliliśmy pokój w tym samym instytucie.

Nie zrozumiał chyba słów „asystent” i „instytut”, ale zrobiły na nim wrażenie.

Milczał przez chwilę, nie wiedząc, jak zareagować.

- Przepisy zabraniają - powiedział w końcu

z godnością.

I wtedy do pokoju wpadła mała, okrągła kobiecina w chustce na głowie, podbiegła do komendanta, wzięła się pod boki i wrzasnęła:

- A ty, Ziutek, co sobie, kurwa, wyobrażasz?

Chłopa mi będziesz w pierdłu trzymał?

Komendant poczerwieniał i mówiąc: „Cichaj, babo, cichaj”, wyprowadził ją pod łokieć na zewnątrz, skąd natychmiast zaczęły dobiegać podniesione głosy.

Rozbawieni zdarzeniem, policjanci wrócili do kart, a ja spojrzałem na szarą kopertę, która leżała teraz na biurku. Jednym ruchem palca obróciłem ją otworem w swoją stronę. W środku widać było portfel Bandury, pęk kluczy,

64

wieczne pióro i aparat fotograficzny. Był to mały cyfrowy canon, dokładnie taki jak mój.

Kiedy rok temu zademonstrowałem Profesorowi możliwości aparatu cyfrowego, a właściwie efekty komputerowej obróbki zrobionych przeze mnie fotografii i jedną z prezentacji, którą przygotowałem na wykład na podstawie samodzielnie zrobionych zdjęć eksponatów i ich reprodukcji, oglądał to

wszystko z nieumiejętnie maskowanym zainteresowaniem. Potrzebował tygodnia, żeby przełamać niechęć do bliższego zapoznania się z technologiczną nowinką, a być może niechęć do przyznania przed samym sobą i przede mną do autentycznego nią zainteresowania.

- Kolego - powiedział któregoś dnia sztucznie obojętnym tonem. - Ten aparat, co pan nim robił te zdjęcia... Niech no pan mi go pokaże.

Przyniosłem. Pokazałem. Wy tłumaczyłem. Pstryknął dwa zdjęcia naszego gabinetu, a ja od razu przerzuciłem je do komputera i otworzyłem. Patrzył w monitor zafascynowany.

- Może sobie taki kupię - powiedział potem, obracając aparat w rękach.
- Panie profesorze, są już lepsze, o wyższej rozdzielczości... - Ale on nie słuchał. Podjął decyzję i nie zamierzał eksperymentować z kolejną nowością.

Jego canon leżał teraz w kopercie w zasięgu mojej ręki. Więc ją wyciągnąłem. Wydobycie

65

aparatu, otwarcie klapy z boku, wyjęcie karty pamięci, ukrycie jej w dłoni, zamknięcie klapy, wsunięcie aparatu do koperty i odwrócenie jej z powrotem nie zabrało mi więcej niż sześć sekund. Nie wiedziałem, dlaczego to robię. Po prostu to zrobiłem, i tyle. Stałem się oto złodziejem: ukradłem część masy spadkowej. Pomyślałem jednak, że pani Matylda by mnie rozgrzeszyła.

Komendant wrócił i usiadł przede mną.

- Może mi pan chociaż powiedzieć, jak idzie śledztwo? - spytałem.

Spojrzał na mnie wyniośle.

- Tajemnica - odpowiedział krótko.

Stwierdziłem, że nic więcej tu nie wskóram.

Gdy wychodziłem, podjąłem ostatnią próbę, nie licząc w zasadzie na odzew:

- Czy tu w okolicy już kogoś przed nim nie pchnięto aby nożem?

Nastąpiła cisza. Policjanci grający w karty znieruchomieli na chwilę, znieruchomił też komendant.

- Siadaj pan - powiedział w końcu powoli.

- Ktoś będzie z panem chciał porozmawiać. -

I sięgnął po telefon.

Tym kimś był ubrany w czyściutki mundur firecyk o ruchach baletmistrza. Musiał być parę stopni wyżej od tamtych trzech, bo błyskawicznie schowali karty i gazetę, a gdy wszedł, wstali z miejsc, dopinając mundury. „*O tempora,*

66

o mores”, pomyślałem. „Geje w policji? Świat stanął na krawędzi”. Firecyk przedstawił się jako podkomisarz Żebro i zaprosił mnie do pokoju obok.

Przyglądał mi się przez chwilę ciekawie.

- Skąd pan wie, że tu kogoś już zamordowano?
- Słyszałem od ludzi na rynku - skłamałem odruchowo. Nie wiem dlaczego, ale skłamałem, cholera. Wiedziony tym samym odruchem, który już wpędził mnie parę razy w kłopoty.

Firecyk był wyraźnie zawiedziony. Zapanowała niezręczna cisza.

- Niech pan mi przynajmniej powie, czy Profesor cierpiał? - spytałem w końcu.

Patrzył na mnie przez chwilę.

- Nasz doktor mówi, że umarł od razu - powiedział w końcu i nie wiedzieć czemu zatrząsał długimi rękami.

A więc do Bandury wezwano tutejszego doktora.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami. Rover Profesora stał pod drzewem i wyglądał na bardzo opuszczony. Opaskudzony przez ptaki, osamotniony i osierocony. Oproszony jakimś pyłem. Nawet niemodna chromowana listwa wzdłuż jego burty zmatowiała.

- Nie bój się, zaraz cię stąd zabiorę - powie
działem do niego, kiedy usadowiłem się na miej
scu kierowcy. Zadając kłam opiniom o kiepskiej

67

jakości brytyjskich samochodów, radośnie odpalił od razu.

Opuszczałem Soból z ulgą. Wiedziałem jednak, że będę tu jeszcze musiał wrócić.

Mefisto

Po powrocie do domu włożyłem kartę z cano-na Profesora do mojego aparatu i przerzuciłem jej zawartość do komputera. Wielkie było moje rozczarowanie, kiedy okazało się, że są na niej tylko dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawiało aleję wiodącą do jakiegoś pałacu, drugie ratusz w Sobolu.

W powieściach i filmach kryminalnych fotografia, która naprowadza detektywa (amatora i profesjonalistę) czy też policję na ślad morderstwa lub mordercy, to motyw dość ograny i od czasów *Powiększenia* mocno już zużyty. Nie wiem, czego się spodziewałem po zawartości aparatu Profesora. Na zdrowy rozum nie miał prawa zrobić zdjęcia, które mogłoby komukolwiek cokolwiek wyjaśnić...

Zdjęcie alei Profesor zrobił przez zamkniętą bramę. Był to piękny jesienny motyw i bez trudu zrozumiałem, dlaczego go urzekł. Łączące się korony drzew tworzyły naturalny szpaler, w którym dominowała barwa ciemnego, starego złota, ale

w którym znaleźć można było wszelkie odcienie żółci i czerwieni, a nawet zieleni. Z obrazka emanował nostalgiczny spokój. Prześwitujące na końcu alei odnowione i zbyt jasne mury klasy-cystycznego pałacu nie stanowiły wielkiego dysonansu.

Ratusz w Sobolu zainteresował Profesora niewątpliwie z przyczyn zawodowych. W zachowanej attyce wyraźnie widać było renesansową proveniencję, aczkolwiek brak zniszczonej zapewne w czasie działań wojennych i nigdy nieodbudowanej wieży stanowił w samej bryle nieprzyjemny zgrzyt. Po prawej stronie ratusza dostrzegłem kawałek podcieni w zachodniej pierzei ryneczku. Nie znałem dziejów Sobola, ale możliwe, że ryneczek ten był w czasach niemieckich renesansową perełką, potem dopiero obróconą w perzynę przez ogień sowieckiej artylerii. W każdym razie podcienia, okalające zapewne niegdyś cały plac, ostały się tylko z jednej jego strony - pozostałe boki zabudowane były brudnoszarymi pudełkowatymi domkami powojennego pochodzenia. I w tych właśnie ocalałych podcieniach zauważyłem postać zwróconą twarzą do fotografa; był to jedyny człowiek na zdjęciu.

Program komputerowy dawał mi możliwość powiększenia fragmentu fotografii. Kiepska rozdzielczość matrycy nie pozwoliła na duże zbliżenie bez rozmycia obrazu, widać jednak było dość

wyraźnie ubranego na czarno niewysokiego mężczyznę, w ręku którego dopatrzyć się można było laski. Gdyby miał na głowie melonik, wyglądałby trochę jak Charlie Chaplin. Mężczyzna zdawał się spoglądać na robiącego zdjęcie. Czy to aby nie ów wspomniany w liście Profesora Mefisto?

Muzeum Kurlandzkie

Zabrałem się do odrabiania zadanych mi przez Bandurę lekcji. Oczywiście o Govercie Teuniszu Flincku coś wiedziałem, chociaż niezbyt wiele. Pamiętałem, że był uczniem Rembrandta, a nawet go portretował. Znałem tytuły kilku obrazów. Ale sądząc, że mógłbym pamiętać tytuły płócien wywiezionych podczas wojny z prowincjonalnego łotewskiego muzeum, Profesor mnie przecenił. Albo raczej jak zwykle, w swoim stylu, dał mi dyskretnie szansę na szybkie uzupełnienie dziurawej wiedzy. Bo jako żywo nie wiedziałem, że w tej kolekcji był Tycjan i Rubensy... Obciach. Było mi wstyd i zacząłem szukać danych na temat wywiezionych z Kurlandisches Museum eksponatów.

Nie było to łatwe. Znalazłem spis utraconych dzieł na bardzo ogólnej liście wojennych strat w dziedzinie sztuki, wydanej przez UNESCO. Niektóre z pozycji były jednak dość tajemnicze.

70

Stało się jasne, że muszę dowiedzieć się więcej o samym muzeum i dotrzeć do jakiegoś katalogu.

Zadzwoiłem do Grubego. Kiedy wyłuszczyłem mu sprawę, skierował mnie do kolegi, niejakiego Szustera, który specjalizował się w dwudziestowiecznych dziełach krajów bałtyckich. Przy okazji pochwalił mi się, że od czterech tygodni pracuje w Instytucie Pamięci Narodowej, i poinformował, że się z Małgosią pobierają. Wstępnie zaprosił mnie na ślub i wesele za miesiąc. Mimo że moje stosunki z Grubym opierały się wyłącznie na wymianie fachowych usług, a jego przyszła żona, czyli moja eks-narzeczona, była mi teraz w zasadzie obojętna (choć wyrzutów sumienia w związku ze sposobem, w jaki się rozstaliśmy, jeszcze się do końca nie pozbyłem), to przecież życzyłem im obojgu dobrze. Powiedziałem mu, że przyjdę.

Z doktorem od Pribałtyki spotkałem się w „Connemarze”. Gruby opisał go

dość dokładnie, więc rozpoznałem Szustera od razu. Był anorek-tycznym okularnikiem i jakoś nie pasował do tego wnętrza. Nosił kraciatą flanelową koszulę, a na wielkich stopach miał buty, które musiały być tylko o numer mniejsze od futerału skrzypiec. Przedstawił się „Szymon”. Zasiadliśmy w kącie ze szklanicami beczkowego, dokonaliśmy pobieżne-

71

go **przeglądu damskiej klienteli i zaczęli** rozmawiać.

Na początku Szuster złożył mi kondolencje w związku ze śmiercią Bandury - skądś wiedział, że jestem jego uczniem. Było to sympatyczne z jego strony. Potem weszliśmy na tematy bałtyckie. Szuster uwielbiał mówić o tych krajach i był zachwycony, że ktoś chce go słuchać. Był autorem książki *Mongolski Lawrence. Rzecz o Romanie von Ungern-Sternbergu* i najchętniej mówiłby o nim. Klasyczny maniak. Jest to typ wciąż spotykany na polskich uniwersytetach, ale coraz rzadszy. Przed rozmową z nim, uprzedzony przez Grubego, na wszelki wypadek sprawdziłem, kto to był ów Lawrence i kto to von Ungern, żeby nie wyjść na kompletnego ignoranta. Swoją drogą ciekawe postaci. Zastanawiałem się, czy XXI wiek dałby ludziom takim jak oni zaszaleć? Wątpię w to. Byli dziewiętnastowiecznymi awanturnikami, zaplątanymi w bezlitosny XX wiek.

Dowiedziałem się od Szustera, że Kurlandi-sches Museum założyli w Mitawie („wiesz, oni od niedawna wszystko muszą nazywać po swojemu, więc to teraz jest Jelgawa”) potomkowie starych tamtejszych rodów, różni von Oettingenowie, von Halmowie, a nawet nasi Raczyńscy, z tak zwanej linii kurlandzkiej. Kiedy Łotwa stała się niepodległa w roku 1920, powyciągali oni z różnych

72

zakamarków co tam **mieli** najlepszego i **ofiarowali** nowemu państwu.

- To było oczywiście, zanim Ulmanis wziął ich za mordę - powiedział Szuster. Nasi historycy mają nieznośną manierę zakładania, że wszyscy wiedzą, o

czym oni mówią; Gruby też mi to czasem robił. Nie miałem oczywiście pojęcia, kto to był Ulmanis, ale nie zdradziłem się z tym.

Za najcenniejszy eksponat muzeum (które było „małe, ale smaczne” - jak to ujął Szuster) nie uchodził wówczas - co ciekawe - ani Tycjan, ani żaden z Rubensów, ale datowany na przełom XIII i XIV wieku relikwiarz, dość długo znajdujący się w posiadaniu księcia Kurlandii. Tradycja wiązała go z wielkim mistrzem Zakonu Kawalerów Mieczowych Gotfrydem von Rogge. Relikwiarz pochodził jakoby z zamku mitawskiego, a jego wartość polegała nie tylko na tym, że wiązał się z historią tej ziemi i stanowił przykład wczesnośredniowiecznej sztuki złotniczej, ale przede wszystkim ze względu na prawie dwanaście kilogramów złota, które zużyto na jego wykonanie.

O dziwo, po zajęciu miasta w czerwcu 1940 roku Rosjanie nie wywieźli z muzeum niczego i nie ewakuowali go - pewnie wskutek panującego wojennego chaosu. Niemcy zastali je zatem w lecie 1941 w najlepszym porządku i utrzymywali w stanie półotwarcia, to znaczy pokazywali

73

je wizytującym Łotwę hitlerowskim dostojnikom i nikomu innemu. Zapewne wyzyskiwali je ideologicznie jako dowód na „niemieckość” tych ziem, jako że ofiarodawcami eksponatów byli potomkowie niemieckich rodów. Na miesiąc przed ponownym wejściem Rosjan w 1944 roku całą kolekcję załadowano na jedną ciężarówkę i wywieziono do Królewca. Tyle wiedział Szuster.

- A wiesz, parę miesięcy temu ktoś już mnie pytał o to muzeum - powiedział nagle po chwili milczenia, gdy myślałem, że nie ma już nic do dodania.
- O! Kto taki? - spytałem zdziwiony.
- Jakiś dziennikarzyna. Mówił, że pisze artykuł na temat utraconych w czasie wojny dzieł sztuki. Mam gdzieś jego wizytówkę.

Nie uważałem, żeby ta informacja była istotna, ale zapisałem ją sobie w

pamięci.

Kończyliśmy trzecie piwo, kiedy przyszła Mirosława.

Mirosława

Wyglądała tego dnia bardzo pociągająco. Po cygańsku kruczoczarna, z cieniem na górnej wardze, ostro umalowana, w krótkiej czarnej sukience ze sporym dekoltem, z długimi nogami w siat-

74

kowych pończochach i na wysokich szpilkach, kojarzyła się w zasadzie z jednym. Mogłaby od razu wejść na scenę jakiegoś grzesznego kabaretu w Hamburgu, Berlinie czy Paryżu i byłaby tam absolutnie na miejscu. Był to zresztą efekt ze wszech miar zamierzony.

- Ale dupa - powiedział Szuster i wybałuszył oczy za grubymi szklami. Zdradził się tym samym, że świat istniejący poza murami bibliotek, a przynajmniej niektóre jego przejawy, nie jest mu całkiem obojętny. Przyznam, że w tym momencie wydał mi się jeszcze bardziej sympatyczny. Nie zdradziłem się przed nim, że ją znam, ale gdy tylko poszedł, postarałem się, żeby mnie zauważyła.
- Ahoj, Mirko! - powiedziałem.
- *Ahoj, Karle!* - odpowiedziała śpiewnie i przysiadła się do mnie. Kiedy przysunęła się i znalazłem się w strefie bezpośredniego rażenia jej zapachu, poczułem nagłe ściśnięcie w okolicach jąder. Pomyślałem o moim zmarłym druhu i jego fascynacji obfitym owłosieniem Mirosławy.
- Dzisiaj Gerwazy obchodziłby tu swoje urodziny - powiedziałem. Twarz jej pociemniała.

- *Ja uim. Nemluu o nem, prosim* - powiedziała. Znała dobrze polski, ale do niektórych zawsze mówiła po swojemu i nie było na to siły.

Przyniosła sobie drinka, a mnie kolejne piwo. Pomilczeliśmy chwilę.

75

- *Nemluu o Gerwazym... Ja jsem ho... milouala*

- powiedziała nagle.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Takiego wyznania bym się po niej nie spodziewał.

- To dlaczego...

- *Proc jemu nikdy nedala?* - przerwała. - *Pro-toże daualy mu ušechny.*

Chtela jsem, aby na me mysl. - Piękne czarne oczy zaszklily się.

Zadumałem się nad logiką kobiecego postępowania. Piłem to czwarte (czy już piąte?) piwo i wpadłem w wisielczy nastrój.

- Wlecze się za mną kostucha, Mirko. Wiesz, co to jest po naszymu kostucha? - Wiedziała.

- *Sfyšela jsem o tuem profesoru. Rekni mi o nem neco.* - I skinęła na barmana.

Za chwilę przyniósł mi następne piwo, a jej następnego drinka; wyglądało na to, że dobrze zna upodobania szefowej.

Opowiadałem jej o Bandurze, czując się coraz bardziej przez niego osierocony. Mirka słuchała uważnie, popijając swojego drinka. W pewnym momencie zaczęła mnie głaskać po włosach, co nie było nieprzyjemne. Pachniała ciężkimi, pasującymi do brunetki perfumami, trochę potem i jeszcze czymś nieokreślonym, ale bardzo intrygującym i atrakcyjnym. Pomyślałem, że chętnie dotarłbym do źródła tego jej zapachu i zanurzył się w nim z głową. Byłem już bardzo unietrzeź-wiony

76

Mirolava zaproponowała, że odwiezie mnie do domu, i zrobiła to. Uparła się, że odprowadzi mnie do samego mieszkania. Kiedy szamotałem się z kluczami, zadzwoniła do drzwi. Te otwarły się, zanim zdążyłem zidentyfikować w pęku odpowiedni klucz.

Kobiety zmierzyły się oczami.

- Karol się trochę upaprał - powiedziała Mirolava po polsku, ale z tym swoim śpiewnym akcentem. Upaprał. Skąd ona wzięła to słowo?
- Obchodziliśmy urodziny Gerwazego - powiedziałem bez sensu.
- Dziękuję pani - rzuciła Pawlak chłodno do Mirki, wciągnęła mnie do mieszkania i zatrzasnęła drzwi. Kiedy szarpałem się w sypialni ze spodniami i koszulą, zastanawiając się jednocześnie, czy Mirolava weszłaby do środka, gdyby horyzont był pusty, słyszałem, jak Pawlak trzaska wściekle w kuchni naczyniami.

Sowa i *Pasterz*

W wyjaśnianiu dalszych losów kolekcji mitaw-skiej Gruby był już mniej pomocny.

- Nikogo od Królewca, kto by tak dokładnie znał jego historię wojenną, nie znam... Ale może

77

spróbowałbyś spytać jakiegoś maniaka od Bursztynowej Komnaty?

Zachnąłem się, uznając za obciach konsul-towanie się z amatorem, ale po paru dniach bezowocnych poszukiwań poważniejszych opracowań postanowiłem jednak pójść tropem literatury popularnej. Nie czytywałem tego typu płodów dziennikarskiej na ogół wyobraźni, więc nie miałem zielonego pojęcia o ich autorach. Kwerenda internetowa wyrzuciła mi szereg nazwisk, ale jedno

powtarzało się najczęściej: Lucjusz Puś.

Facet wydał mi mniej, ni więcej, tylko pięć książek dotyczących tak zwanej tajemnicy Bursztynowej Komnaty, uznałem więc, że musi posiadać sporą wiedzę na ten temat. Zadzwoiłem do jego wydawnictwa i poprosiłem o przekazanie mi prośby o kontakt ze mną. Powiedziałem, oczywiście, że jestem z Wydziału Historycznego, bo przypuszczałem, że właściciel nieszczęśliwej kombinacji imienia i nazwiska nie wytrzyma z ciekawości. Istotnie, zadzwonił kilka dni później. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności okazał się wrocławianinem i brzmiał dość rozsądnie, poprosiłem go więc o spotkanie. Umówiłem się też z antykwariuszem Masłowskim, który wreszcie odebrał telefon. Wyjaśniło się, że dopiero co wrócił ze swojego długiego urlopu.

78

Dwa dni później pojechaliśmy z Pawlak pociągiem do Wrocławia. Po drodze wtajemniczyłem ją pokrótce w całą sprawę. Naburmuszyła się.

- I nic mi nie mówiłeś. Może byś mi czasem pozwolił trochę uczestniczyć w swoim życiu?

- powiedziała cierpko. I wtedy zapaliła mi się w głowie czerwona dioda LED. Uczestniczyć w swoim życiu. Dobrze sobie. Sypia ze mną, mieszkuje u mnie, podróżuje ze mną, spotyka mnie na uczelni... I wszystko za mało. Doprawdy, ekspansywność kobiet jest zdumiewająca.

Tym razem salon stał otworem. Zapchany był piętrzącymi się meblami i należało ostrożnie nawigować, by dotrzeć do biurka właściciela. Ów czekał już na nas. Ze swoją nikczemną posturą, zażywością, stojącymi nad uszami kępkami włosów i okrągłymi okularami o szklach jak denka od butelek, był uderzająco podobny do Sowy Przemądrzałej z *Kubusia Puchatka*. Przywitał się z nami i z

galanterią cmoknął Pawlak w rękę. Następnie zamknął drzwi sklepu od wewnątrz.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę zobaczyć pana dowód - powiedział.

Przypomniała mi się strażniczka u wuja Antoniego.

- Naturalnie - powiedziałem i pokazałem mu.
 - Proszę o wybaczenie, ale sam pan rozumie
- powiedział Masłowski przeprasząc. - Już

79

dwa razy był tu taki niewyraźny typ, który dopytywał się o jakichś „Starych Mistrzów”.

Siedliśmy przy stoliku, który sprawiał wrażenie solidniejszego od innych, i dlatego zapewne był traktowany użytkowo.

- Franiu wiele mi o panu opowiadał - powiedział. - Mówił o panu jako o swoim najlepszym uczniu, wręcz... następcy - dodał. - Przysyłał mi pańskie artykuły.

Poczułem, że się czerwienię. Co powodowało Profesorem, że tak wychwalał mnie na zewnątrz, dla mnie samego mając jedynie pobłażliwe kpiny? Wyobrażał sobie pewnie, że uchroni mnie w ten sposób przed popadnięciem w samozadowolenie. Niepotrzebnie. Znałem swoje możliwości i wiedziałem, że mu nigdy do pięt nie dorosnę, ale wiedziałem też, w czym jestem dobry i na co powinienem postawić, żeby wyrobić sobie w środowisku nazwisko, no i znaleźć jakąś tematyczną niszę.

- Pewnie chcielibyście państwo zobaczyć tego

Pasterza!

Chcieliśmy. Właściciel udał się na zaplecze, a my rozglądaliśmy się ciekawie

po salonie. Masłowski specjalizował się w meblach: sekretarzy-ki, stoliki, fotele i krzesła stały jedne na drugich. Wypatrzyłem kilka interesujących egzemplarzy. Postanowiłem je przed wyjściem sfotografować, stanowiły bowiem piękne przykłady stylistyczne.

80

Tymczasem Masłowski wrócił z niedużym obrazem, zawiniętym w kawałek tkaniny.

Po chwili trzymałem w ręku *Pasterza*. Nie widziałem nigdy nic Flincka w oryginale, dopiero teraz mogłem docenić jego kunszt. Godziny rozmów z Bandurą, wielkim autorytetem w dziedzinie malarstwa europejskiego, otworzyły mi oczy na złożoność malarskiego geniuszu i nauczyły wyszukiwać jego świadectwa.

Śmiejący się pasterz nieco przypominał powszechnie znany domniemany portret Rembrand-ta, ale mimo podobnej szerokiej, chłopskiej twarzy nie był to ten sam model. Radośnie uśmiechnięty, trzymał na rękach kompletnie zubożniała owieczkę, w tle widać było typowy pejzaż. Obraz nie był w najlepszym stanie: na płótnie na odwrocie dało się zauważyć ciemne plamy.

- Wilgoć - powiedział Masłowski. - Ale nic, czego nie można by naprawić.

Podąłem obrazem Pawlak, w końcu wkrótce miała zostać historykiem sztuki. Widziałem, z jakim nabożeństwem bierze go w swoje piękne palce.

Po chwili pokazałem na piętrzące się wokół meble.

- To aż tyle tego ocalało w *Festung Breslau*?
- Żartuje pan chyba - odpowiedział. - Z tamtych mebli nie ocalało już pewnie nic; powojenni mieszkańcy nie cenili sobie staroci ani niczego, co ponemieckie. No i szabrowano na potęgę.

- **81**

Ściągam je teraz z Niemiec. **Tam antyków** jest więcej. No i są tańsze.

Musiałem w końcu zadać mu to pytanie:

- A właściwie dlaczego... dlaczego nie zgłosił pan tego dotąd na policji?

Nikomu tego nie mówiłem, ale w duchu miałem nadzieję, że wreszcie przeczytam o *Pasterzu* w gazetach, że za temat wezmą się dziennikarze, że śledztwo ruszy z kopyta i że nie będę się musiał w to mieszać.

- Ale ja przecież... - zawahał się. - Cały czas wiedziałem, że pan do mnie w końcu przyjedzie... Franciszek mi to powiedział. Zadzwoił do mnie z Sobola i opowiedział mi o tym nieszczęśniku. I powiedział, że jak mu się coś stanie, to pan do mnie przyjedzie. I pociągnie to dalej.

Masłowski pośrednio potwierdził to, co brałem pod uwagę, ale o czym nie chciałem nawet myśleć. Mianowicie: śmierć Bandury nie była przypadkowa. Okazało się też, że Bandura znał mnie lepiej, niż ja sam znałem siebie. I że miał jakieś przeczucia. Zaskakiwał mnie po śmierci częściej niż za życia.

Siedzieliśmy przez chwilę, milcząc.

- Wie pan, ja jeżdżę co rok na długi urlop do Włoch - powiedział nagle antykwariusz. - Jak przeczytałem o śmierci Franka, miałem już od dawna zarezerwowany bilet lotniczy. Wróciłem dopiero przedwczoraj.

82

Zrozumiałem, że tłumaczy się przede **mną**, dlaczego nie był na pogrzebie Profesora.

Nagle wstał, otworzył biurko i wyciągnął jakąś kartkę.

- Tu ma pan dane komisanta.

Spojrzałem na kartkę. Józef Daniłycz, Suchy Dąb 11.

- Co to jest Suchy Dąb? - spytałem.
 - To taka wieś pod Sobolem - powiedział. -W niemieckich czasach nazywała się Eichchen-dorf, nie wiadomo dlaczego przez dwa „eh”.
 - A może byśmy to wszystko zostawili policji?
 - zaproponowałem bez przekonania.
 - Ale przecież oni robią swoje - odpowiedział.
 - Mają cały ten aparat. Niech szukają mordercy.
- Ale tu jeszcze chodzi o... sztukę. A to nie jest ich sprawa.

Wiedziałem doskonale, co Sowa Przemądrzała ma na myśli. I wiedziałem, że to, co mówi, to ka-zuistyka. Że to, co chciałem zrobić - a on chciał, żebym to zrobił - nie było całkiem w porządku.

Zrobiłem parę zdjęć mebli w salonie, po czym pożegnaliśmy się z Sową. Ja miałem umówione spotkanie z Lucjuszem Pusiem, Pawlak chciała obejrzeć kościół Bożego Ciała. Pisała pracę magisterską o architekturze kościołów joannickich i nie mogła nie skorzystać z okazji.

Nie wiedząc dokładnie, czemu to robię, na odchodnym spytałem:

83

- Ten niewyraźny typ, **który pytał o „Starych Mistrzów”**, jak wyglądał?

Sowa Przemądrzała zastanowił się przez chwilę.

- Taki niewysoki, czarniawy... Chyba kulał.

Sondertransport numer 36

Lucjusz Puś czekał na mnie w kawiarence przy Świdnickiej. Przywitaliśmy

się. Był chudy i zgarbiony. Jego szarobury sweter miał źle zacerowane dziury, a spodnie były wyświecone. Wyglądał na faceta, od którego już dawno odeszła żona i do którego nie przyznają się dorosłe dzieci. Na niedogolonej twarzy miał gorzki grymas, a jego palce żółte były od nikotyny. Mimo południowej pory wypił już był lampkę koniaku.

Powiedziałem mu, że chcę prześledzić losy pewnego wojennego transportu.

- Niczym innym nie zajmuję się od piętnastu lat - wszedł mi w słowo z odrobiną goryczy w głosie. - Napisałem na ten temat pięć książek. Wszystko, co zarabiałem na jednym tytule, wydawałem na zdobycie materiałów do kolejnego. Ale już po drugiej książce przestałem wierzyć, że ona jest do znalezienia. Komnata, znaczy się.

Zamówiłem dla niego kolejny koniak. Nie protestował. Kiedy przyniesiono lampkę, wypił od razu.

84

- Mnie nie chodzi o transport z Komnatą - powiedziałem. - Ten mój transport przyszedł do Królewca z Mitawy, z tamtejszego muzeum.

Szukał w pamięci.

- W którym miesiącu?
- Chyba w marcu, kwietniu.
- No to było jeszcze, zanim Lasch został komendantem *Festung Königsberg*. Był taki specjalny transport, miał numer... chyba 36. Nie pamiętam, kto był dowódcą. Ale ten transport zaraz pojechał dalej. Chyba na Śląsk czy do Saksonii. To było przed komendanturą Lascha. Wie pan, ten Lasch to był mistrz przetrwania. Zresztą urodzony w Pszczynie. Nie poddał się od razu, żeby nie wyjść na tchórza. Wie pan, on przeżył dziesięć lat w sowieckiej niewoli! Panie, z czego oni ich wtedy robili? Zmarł dopiero w siedemdziesiątym pierwszym.

Puś miał tendencję do odbiegania od tematu i powracania do swojej *idée fixe*. Zacząłem podejrzewać, że przyszedł dużo wcześniej, a pusta koniakówka nie była pierwszą, którą opróżnił. Musiałem go sprowadzić z powrotem do Wrocławia.

- Ten transport... numer 36. Skąd pan o nim wie? - spytałem.
- Co? - Spojrzał na mnie nieprzytomnie. Myślami był wciąż w zmasakrowanym Królewcu.
- Transport numer 36, o którym pan mówił.

- **85**

- Aha... Widziałem wypis z ich *Marschbefehl* w archiwach. Może nawet zrobiłem kopię. Choć wciąż wątpię, bo było jasne, że Komnata z nimi nie pojechała.

Nie brzmiało to zachęcająco, ale poprosiłem:

- Czy mógłby pan poszukać? Będę panu bardzo wdzięczny.

Było jasne, że niczego więcej z niego nie wydobędę. Zostawiłem mu więc wizytówkę z wszystkimi możliwymi telefonami i poprosiłem, żeby jednak zajrzał do swoich papierów.

0 dziwo zadzwonił dwa dni później.

- Miał pan szczęście - powiedział. - Zrobiłem jednak kopię, sam nie pamiętam dlaczego.

Sondertransport numer 36. To był mały transport: jedna ciężarówka i jeden samochód osobowy.

W sumie sześć osób eskorty. Esesmani. Dowodził niejaki August Stiefke, *SS-Untersturmfuhrer*. Jako miejsce przeznaczenia podano Breslau.

Święta

Boże Narodzenie spędziłem z Pułkownikiem u niego w domu. Pawlak pojechała do rodziców na drugi koniec Polski, ale obiecała wrócić przed Nowym Rokiem.

86

Święta ze starym nie zaczęły się źle. Pierwszego dnia opowiedziałem mu o śmierci Bandury, dałem poprowadzić mój nowy samochód, opisałem wizyty w Cieszynie, Sobolu i Wrocławiu. Bardzo się tym wszystkim zainteresował, zadawał mnóstwo pytań, snuł hipotezy. Ubraliśmy razem choinkę.

Następnego dnia wypił więcej niż poprzedniego wieczoru i zaczął nagle pleść, że Profesor to mój „zły duch”, który nawet po śmierci próbuje mnie wciągnąć w coś paskudnego. Tego nie mogłem zdzierżyć i ostro zaprotestowałem. Skończyło się na tym, że zaczął wyrzekać:

- Bo ty myślisz, że twój stary to tylko trep, który niczego nie pojmuje z subtelnego świata dookoła. Zupełnie jak twoja matka... ona też tak myślała - mówienie przychodziło mu z coraz większym trudem.
- Tato, to nie tak - powiedziałem. - Profesor był... bardzo dobrym nauczycielem... I tyle.

Ale ojciec nie słuchał mnie. Wszyscy pijacy w pewnym momencie zaklęsażą się w sobie i bodźce z zewnątrz już nie są im potrzebne. Pułkownik właśnie osiągnął ten stan. Poszedłem więc spać.

W następne wieczory rozmawialiśmy coraz mniej, więcej natomiast piliśmy. Prędzej czy później wychodziły z niego pijackie żale - albo do matki, albo do babki, albo do Bandury. Wtedy go po prostu opuszczałem. Niełatwo jest patrzeć

87

na degrengoladę własnego ojca. Nie robił nic, by ukryć przede mną swoje

uzależnienie. Co wieczór kładł się spać mocno unietrzeźwiony.

Przecknął się dopiero na przyjazd Pawlak. Zrobił się szarmancki, zaczął gospodarować w kuchni, ograniczył picie. Odniosłem wrażenie, że spodobali się sobie nawzajem. Rozśmieszył mnie tym, że przygotował nam łóżka w dwóch pokojach. W nocy Pawlak przyszła do mnie oczywiście.

Pod wpływem alkoholu zawsze miała ochotę na seks. I nieodwołalnie, prędzej czy później, mówiła mi wtedy: „Chcę w ciasną dziurkę, szybko...”. Od czasów Bibiany robiłem to chętnie, choć wciąż jeszcze myślałem przy tym właśnie o niej. Mimo że bardzo się starałem, by tak nie było. Czasami mi się nie udawało, tak jak tym razem.

- Karol, ciebie tu ze mną nie ma - powiedziała Pawlak, kiedy leżeliśmy potem koło siebie. - Ty jesteś gdzie indziej. Może nawet z kimś innym.
- Ależ co ty opowiadasz! - odparłem, czując nagle rosnące rozdrażnienie. - O co ci właściwie chodzi?
- O nic... - powiedziała Pawlak. - Tylko... o trochę więcej... czułości. Czułości. Powiedziała to słowo, jakby opisywała coś wstydliwego.

Zaskoczyła mnie. Ta seksualna prowokatorka, radosna eksperymentatorka, domagała się nagle

88

więcej... czułości. Złamała w ten sposób niepisaną umowę, która między nami dotychczas panowała. Z lekkim ociąganiem przytuliłem Pawlak do siebie i chciałem pogłaskać po włosach, ale wysunęła mi się z objęć.

Na sylwestra wybraliśmy się do pewnego klubu. Kiedy podeszliśmy do drzwi, zobaczyłem szeroką, doskonale mi znaną mordę. Na mój widok stojący na bramce Żaba zareagował natychmiast: spontanicznie gdzieś wyparował. I pomyśleć, że wykształcił w sobie tę reakcję w wyniku jednego jedyne go spotkania ze mną...

Przeprosiłem Pawlak i odszukałem go. Ukrył się w szatni za płaszcami. Skulił się na mój widok, ale we mnie nie było już śladu agresji.

- No i co, nie obroniłeś swojego szefa? - powiedziałem kpiąco. Spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.
- Jakby mnie wtedy ze sobą zabrał, tobym obronił - wystękał ponuro. - Ale nie zawsze mi pozwalał iść ze sobą - dodał. Wbił wzrok w podłogę. - Ja wiem, kto go zrobił - powiedział nagle.

Zrobił.

- Mnie to nie interesuje. Co stało się z jego psem? - spytałem, bo naprawdę tylko to mnie teraz obchodziło.

89

- Jest u mnie - powiedział Żaba. - Ma dobrze. Tyle że często musi siedzieć sam w domu.

Nagle wydał mi się sympatyczny. Małpa, która wykaże ludzką reakcję, zawsze jest sympatyczna.

Ostateczna likwidacja

Pierwsze dni stycznia stały pod znakiem Bandury i jego rzeczy. Przyjechała pani Matylda, żeby „zlikwidować” jego mieszkanie.

Zaprosiła mnie tam już pierwszego dnia. W przedpokoju rzucił mi się w oczy rząd butów Profesora. „Zostaną po nich buty i telefon głuchy”, przypomniałem sobie fragment wiersza pewnego mądrego księdza. Herbata już czekała. Pani Matylda była bardzo wzburzona.

- Właśnie wyszła milicja. - Jak wiele osób z tego pokolenia nie mogła się przyzwyczać, że stróże porządku nazywają się teraz inaczej. - Było

włamanie. Milicja powiedziała, że bardzo profesjonalne.

- Czy coś zginęło? - spytałem.
 - Na oko nie. Ale czy ja wiem, co Franciszek miał oprócz książek? Wiem na pewno, że złodziej otworzył jego biurko. Wyrzucił listy. Nie wiem, czego szukał i czy czegoś nie zabrał. W każdym razie obrazów nie ruszył.

- 90

Bandura miał kilka osiemnastowiecznych obrazków na ścianach, nic nadzwyczaj cennego, w każdym razie ich autorów próżno by szukać nawet w dość szczegółowych opracowaniach. Wiedziałem, że jeden z widoczków (*Młyn pod Lej-dą*) dostał od Mareike.

Pootwierane listy leżały na biurku. Ten, który leżał na samej górze, zaczynał się od słów: *My sweet Frans. Im beginning to feel like a plant that needs to be watered badly...*

- Od Mareike - wyjaśniła niepotrzebnie pani Matylda. - Muszę je wszystkie dzisiaj spalić.

Korzystając z okazji, spytałem panią Matyldę o Glizdę. Wiedziała, że Profesor był w związku z jakąś koleżanką z instytutu, ale nigdy jej nie spotkała. Nie wiedziała, dlaczego Glizda z Profesorem tak się potem nie cierpieli.

Dopiliśmy herbatę, po czym siostra Profesora wstała.

- Książki oddam do biblioteki instytutu, chociaż na to nie zasługuje. Ale najpierw pan sobie wybierze dziesięć dla siebie.

Powiedziała to tonem nieznoszącym sprzeciwu i wiedziałem, że nie ma co się z nią kłócić. Zacząłem więc wybierać tomy z dziedziny, w której się specjalizowałem i o której luźno myślałem w kontekście habilitacji. Były to w większości publikacje zagraniczne, trudno osiągalne i kosztowne; Bandura zdobywał je sobie tylko znanymi sposobami.

91

Kiedy zdejmowałem z półki jedną z interesujących mnie książek, wypadła z niej duża, kolorowa fotografia. Poznałem roześmianą twarz Mareike. Szybko schowałem zdjęcie do jednego z wybranych już tomów. Co za obciach.

Złodziej, i to recydywista.

Zanim wyszedłem, przejrzałem jeszcze półkę z przewodnikami muzealnymi. Było tam wszystko. Prado, Armeria Reale, kolekcja Thyssen-Bornemisza, Uffizi, Ermitaż... I dziesiątki innych. Już odkładałem przewodniki na półkę, kiedy uwagę moją przykuło pożółkłe przedwojenne wydawnictwo. Katalog: *Kurlandisches Museum, Mitau*.

- Dzięki, Profesorze, za pomoc - szepnąłem, bo czułem, że jego duch śledzi mnie ze stojącego w gabinecie wielkiego, wytartego fotela. Postawiłem jeden z wybranych tomów z powrotem na półkę i dołożyłem katalog do mojego łupu.

Zdobycze

W domu obejrzałem moje zdobycze dokładnie. Najpierw fotografię. Bandura musiał ją zrobić na wakacjach w jakimś cieplejszym kraju. Promienna Mareike, o kilka lat i kilka kilogramów młodsza, siedziała przy stoliku, w tle mając jakąś egzotyczną roślinność z mnóstwem pnących się

92

kwiatów. Być może była cała naga, ale widać było tylko górną część jej bujnego ciała. Nie próbowała zasłaniać swoich wielkich, obwisłych piersi, wiedząc, że ten, kto ją fotografuje, taką właśnie ją podziwiał i takiej właśnie pożąda. Na ogrodowym stoliku przed nią stał drink z wetkniętą słomką. Przez moment wcieliłem się w autora zdjęcia. Spojrzałem na nią jego oczyma. Przez chwilę byłem tam, w Grecji czy na Cyprze, razem z nią, robiłem jej zdjęcia, a pół godziny wcześniej kochaliśmy się do wtóru cykad w zmiętej, wilgotnej pościeli.

- Wybacz mi, Profesorze - szepnąłem i schowałem zdjęcie tam, skąd mogłem je zawsze wyjąć, mając jednak pewność, że Pawlak go nie znajdzie.

Katalog muzealny okazał się kiepski, a zamieszczone tam zdjęcia małe i niewyraźne. Kolekcja mitawska przypominała zbiór z jakiegoś bogatszego muzeum diecezjalnego: poza jedenastoma niedużymi obrazami były tam jeszcze ze dwa tuziny najróżniejszych precjozów, wśród których rozmiarem wyróżniał się zgrubnie zrobiony, solidny złoty klamot, czyli wspomniany relikwiarz.

Wyjaśniło się przy okazji parę tajemniczych pozycji z listy UNESCO. *Easter toy, enamel, gold*, okazało się na przykład pięknie emaliowanym jajem Fabergego, po którego otwarciu oczom widza ukazywała się miniaturowa złota (zapew-

93

ne) cerkiewka; inną pozycją było piękne puzdro z pistoletami, należące niegdyś do Barclaya de Tolly; jeszcze inną - jedna z jego wysadzanych brylantami gwiazd orderowych. Paradnej broni było tam zresztą więcej. Nic dziwnego, kurlandzcy szlachcice - jak mi wyjaśnił Szuster - na ogół wybierali karierę w armii i z powodzeniem dowodzili carskim wojskiem we wszystkich kampaniach.

Nigdzie nie zostało podane pochodzenie obiektów w muzeum. Odnotowano jedynie, że przy eksponatach znajdują się tabliczki z nazwiskami ofiarodawców.

Przyjrzałem się zdjęciom obrazów. Trudno było ocenić je na podstawie tak mizernych reprodukcji, ale zacząłem się domyślać, dlaczego kolekcja mitawska nie była powszechnie znana.

- Żaden malarz nie maluje cały czas na tym samym poziomie - powiedział kiedyś nam, doktorantom, Bandura. - Nawet ci najwięksi mieli słabsze okresy: bolała ich wątroba, dokuczały im korzonki, cierpieli na podagrę lub dawali im się we znaki syfilis. I produkowali wtedy dzieła drugiej kategorii. Albo dawali coś do wykończenia uczniom, a sami tylko podpisywali.

Wyglądało na to, że mitawska kolekcja obrazów składała się właśnie z takich dzieł.

Wesele

Nadszedł luty, a z nim dzień ślubu Grubego i Małgosi. Byli ładną parą, choć może nieco przy-ciężką - Małgosia zrobiła się jakby pulchniejsza niż „za moich czasów”, a i po Grubym było widać skutki życia z moją eks-narzeczoną. Nigdy nie startował w kategorii papierowej czy piórkowej, teraz stał się po prostu masywny.

Na uczcie weselnej, odbywającej się w jednym z modnych lokali na Starym Mieście, posadzono mnie naprzeciw młodej pary. Dla każdego coś miłego: strzelał szampan, lało się wino, a dla tych o bardziej plebejskich gustach podano gorzałę i piwo. Koleżanki Małgosi omawiały najnowsze wydarzenia z wielkiego świata kolorowych czasopism, koledzy Grubego, wśród których z zadowoleniem zobaczyłem Szustera - kolejną reorganizację Wydziału Historycznego.

Ludzie myślą, że struktura wyższych uczelni odzwierciedla jakąś obiektywną potrzebę istnienia takich czy innych instytutów i katedr, ale nie mogliby być bardziej w błędzie. Struktura wyższej uczelni nie odzwierciedla niczego poza siłą przebicia i ambicjami poszczególnych wpływowych profesorów, a zmiany w niej następują na ogół w rezultacie kłótni między nimi. Słyszałem o polskim uniwersytecie, który w ten sposób - za pieniądze podatników - dorobił się kilku różnych

95

instytutów językoznawstwa, dzięki czemu studenci mogli sobie wybrać, gdzie na przykład mają uczęszczać na zajęcia z rzadkich języków orientalnych.

Bandura opowiadał kiedyś, że ambicjom profesorskim zawdzięczamy powstanie w Polsce akademii medycznych, wyłonionych z wydziałów medycyny uniwersytetów.

- I nikogo nie obchodziło, że pozbawiają w ten sposób uniwersytety komponentu, bez którego

uczelnie te, według światowych standardów, stracą status uniwersytetów. Ale co to ma za znaczenie dzisiaj, kiedy nikt w tym kraju nie rozumie, czym jest uniwersytet. Bo inaczej skąd by były te wszystkie „uniwersytety techniczne” czy „uniwersytety ekonomiczne”? - pytał retorycznie.

Gruby opowiadał komuś o swojej nowej pracy w Instytucie Pamięci Narodowej. Spytany o przyczyny odejścia z uniwersytetu, powiedział:

- Jest tylko jeden powód, panowie. Kasa.

W pewnym momencie Małgosia, która dotychczas ze mną nie rozmawiała, pochyliła się do mnie przez nakrycia i szepnęła:

- Karol, zajrzyj dyskretnie pod stół. - Oczy jej błyszczały, była już lekko pijana.

Zrzuciłem więc ostentacyjnie na ziemię łyżeczkę i zanurkowałem po nią. Wtedy Małgosia podniosła swoją długą, białą, koronkową suknię

96

i rozchyliła nogi. Miała na nogach białe pończochy z niebieskimi podwiązkami (*something old, something new, something borrowed, something blue...*), nie założyła natomiast majtek. Cipkę miała teraz gładko wygoloną i kiedy rozszerzyła nogi, jej wydatne wargi sromowe rozchyliły się. Poczułem nagły skurcz - nie z podniecenia, na co zapewne Małgosia liczyła, ale z żalu i tęsknoty za Bibianą. Zawsze za Bibianą. Wychynałem spod stołu.

- Widziałeś, palancie? - syknęła Małgosia. - Wiadziałeś, czego już nigdy nie poliziesz? - W jej głosie słychać było zaciekłość, bezsilność i zapiekły żal.

Zaplanowała to sobie, skubana, łącznie z usadzeniem mnie naprzeciwko. Byłem tego teraz pewien. A ja myślałem, że moje winy zostały mi wielkodusznie wybaczone... Co za naiwność. Zaprawdę, powiadam wam,

panowie, strzeżcie się porzuconej kobiety!

Wyszliśmy z Grubym na zewnątrz, żeby ochłodzić się nieco zimowym powietrzem.

- Karol, o co chodzi z tą Mitawą? W czym ty teraz grzebiesz? - spytał, chociaż w jego głosie nie było wielkiego zainteresowania. Opowiedziałem mu, pomijając pewne istotne szczegóły. Nie słuchał zbyt uważnie, być może nie słuchał w ogóle.

- Pamiętaj jedno, kurwa... - powiedział. Był już mocno trafiony i musiał się oprzeć o framugę. Miał minę człowieka z siebie i swojego

97

życia zadowolonego, człowieka, któremu wszystko ostatnio się układa i który w związku z tym może udzielić rady innym, mniej uzdolnionym. - Rycie w historii to jest, kurwa... prowadzenie śledztwa. Jak pójdziesz za tropem szeroką drogą, gównem znajdziesz. Gównem. To, co najciekawsze, znajdziesz na poboczach... Trzeba przeczesywać okolice drogi... Szperać po krzakach. Każdy prokurator ci to powie... Ryj po krzakach, Karol, kurwa. Ryj po krzakach.

Przyszło mi do głowy, że z tym gównem i krzakami to zupełnie odwrotnie niż w życiu, ale nie podzieliłem się z nim tym niewątpliwie błyskotliwym spostrzeżeniem.

Jadąc do domu taksówką przez zaśnieżone ulice i trzeźwiejąc, zastanowiłem się poważnie nad słowami Grubego. Doskonale rozumiałem, o co mu chodzi, bo raz już takie naukowe śledztwo przecież prowadziłem - w sprawie Praszowic i *Madonny*.

Więc w sumie dobrze zrobiłem, że poszedłem na to wesele. Małgosia mnie zniesmaczyła i sprawiła mi przykrość (na którą zapewne zasłużyłem), ale Gruby uświadomił mi coś naprawdę ważnego, coś, co być może tylko przeczuwałem.

Postanowiłem teraz bardziej świadomie zastosować się do jego rady.

Szperanie po krzakach

Najpierw zadzwoniłem do Szustera i umówiłem się z nim na spotkanie w „Parowozowni”. Chadzałem tam z masochistyczną przyjemnością, a może irracjonalną nadzieją, że kiedyś w drzwiach znowu stanie wysoka, szczupła, ruda dziewczyna... Wciąż za każdym razem, gdy coś mi ją przypominało, skręcał mnie niewyobrażalny, ale na szczęście krótkotrwały ból.

Kiedy Szuster przyszedł, pokazałem mu katalog z Kurlandisches Museum. Chwytał go zachłannie i oglądał długo i z ciekawością. Kiedy doszedł do informacji, że nazwiska ofiarodawców znajdują się przy eksponatach, zaklął.

- O, w mordę. Szkoda, fajnie byłoby się do wiedzieć, co który z nich kisił w swojej chałupie
- powiedział.

Zrozumiałem, że w tych krzakach nic nie znajdę. Spytałem go więc, jak by się wziął do zbierania wiadomości o pewnym esesmanie.

- O, to akurat jest łatwe - powiedział. - Najpierw spytaj Amerykanów, potem skontaktuj się z Centrum Wiesenthala, no i dotrzyj do jego teczki w archiwach niemieckich albo amerykańskich.

Spytałem go, co rozumie przez „spytaj Amerykanów”.

- Nie wiesz? Przecież u nich są tysiące świarów, którzy żyją historią II wojny. Najwięcej jest

99

takich, co fascynują się Trzecią Rzeszą. Wiedzą wszystko. A już zwłaszcza o SS. To ich naprawdę kręci, nie do końca wiem dlaczego. Ale jest mocno podejrzanę. - I na początek podał mi adres strony internetowej [AXIS HISTORY FORUM](#).

Zanim poszedł, wyciągnął czarno-białe zdjęcie mocno podniszczonej płyty

nagrobnej jakiegoś rycerza.

- Gruby mówi, że jesteś dobry z ikonografii. Jak byś datował ten nagrobek? Wiemy, że to jeden z Wedlów, ale nie wiemy który, bo inskrypcja prawie cała odłamana. - Przyjrzałem się przedstawionemu tam rycerzowi. Leżał na boku, prze-krzyżowane nogi mogły oznaczać brak męskiego potomka.
- Zbroja jest maksymiliańska - powiedziałem. - Widzisz to żłobkowanie? Początek XVI wieku. Ale ubierali ich często w archaiczne zbroje, jeżeli uważali, że są elegantsze. Tak czy owak nie jest pewnie późniejszy niż połowa wieku. Czy ten Wedel, który ewentualnie wchodzi w grę, miał męskiego potomka? - Szuster nie był tego pewien.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po powrocie do domu, było wpisanie hasła „August Stiefke” do najpopularniejszej wyszukiwarki. Rezultat wcale nie był zachęcający. Wyszukiwarka wyrzuciła trzy

100

trafienia w języku niemieckim, z których wynikało między innymi, że jakiś *obergefreiter* August Stiefke, spadochroniarz, wziął udział w lądowaniu w Malenie na Krecie 20 maja 1941 i zdobył brytyjski czołg, którego potem - o ile dobrze zrozumiałem - używano do oczyszczania pasa startowego. W innym tekście mowa była o tym, że *feldwebel* Stiefke (imienia nie podano) zrzucony został 28 maja tego roku na Heraklion. Wyglądało na to, że w tej - jak to nazywano - *Operation Merkur* wzięło udział dwóch gości o nazwisku Stiefke, może braci? Któryś z nich wymieniony został także w anglojęzycznym z kolei tekście jako uczestnik „akcji w Gran Sasso” w 1943 roku. Nie zostało to nijak wytłumaczone - tak jakby rzecz była dla wszystkich oczywista. Ostatnia wzmianka dotyczyła czasów powojennych - jakiś *señor* A. Stiefke wziął udział w imprezie towarzyskiej w Madrycie w 1950 roku; notatka była po hiszpańsku

i nie bardzo zrozumiałem, o co chodzi.

Następnie znalazłem adres Centrum Wiesentha-Ia w Wiedniu i napisałem do nich. Nie kłamiąc zbytnio, przedstawiłem się jako polski historyk i spytałem, czy mają jakieś dane na temat SS-Unter-sturmführera Augusta Stiefkego.

Zajrzałem też na owo Axis History Forum. Jacyś goście, nie tylko zresztą Amerykanie, miesiącami spierali się o szczegóły poszczególnych kampanii, bitew i potyczek, dyskutowali o prze-

101

wadze jednego rodzaju czołgu nad innym, liczbie rannych czy zabitych, i tak dalej, i tak dalej. Znalazłem grupę tematyczną, roztrząsającą składy i działania poszczególnych jednostek SS, i zadałem pytanie o Stiefkego.

Zarzuciłem więc sieci i pozostawało czekać.

Soból po raz drugi

Miejsce zgonu Profesora przyciągało mnie jak magnes. Wiedziałem, że żeby zbliżyć się do tajemnicy jego śmierci, muszę pójść jego śladami; odwlekałem jednak wyjazd, jak tylko mogłem. W końcu pojechałem sam. Pawlak miała oczywiście ochotę jechać ze mną, ale nie chciałem, żeby opuściła te nieliczne zajęcia, na które jeszcze musiała uczęszczać. Poza tym miałem niejasne przekonanie, że chodzenie śladami Profesora wcale nie musi być najbezpieczniejszym zajęciem.

Soból nie zmienił się od czasu mojej poprzedniej wizyty. Objechałem powoli rynek; stojący grupkami tu i tam mężczyźni patrzyli na rovera z zaciekawieniem. Spytałem o miejscowego doktora. Nazywał się Nowaczyk i mieszkał parę ulic od rynku.

Skromny domek Nowaczyka nie przypominał lekarskich willi znanych z dużych miast. No, ale

dobry doktor nie był ani ginekologiem, ani ordynatorem w żadnym szpitalu.

Drzwi otworzyła mi dziewczyna o miłej buzi i kształtach jak z Modiglianiego: miała długi, wąski tułów, w dolnej partii ponad normę rozbudowany, i krótkie nogi. Zaprowadziła mnie zaraz do doktora. Podświadomie spodziewałem się zgorzkniałego jegomościa z czerwonym nosem, ale Soból znowu mnie zaskoczył. Nowaczyk był roześmianym facetem, tryskającym zdrowiem i promieniującym życzliwością. Kiedy wyjaśniłem mu, kim jestem, i poprosiłem o relację z tamtego feralnego wieczoru, spoważniał.

- Panie, gdybym czegoś podobnego parę dni wcześniej nie widział, byłbym zszokowany - zaczął. - Mnóstwo krwi. Ale tak właśnie jest przy poderżniętym gardle.

Zastygłem.

- Poderżnęli mu gardło?
- Nie wiedział pan? Morderca musiał go zająć od tyłu. Doskonale wiedział, co robi, może miał to wyćwiczone? Pewnie zasłonił mu usta ręką i ciachnął raz. Przynajmniej ja widziałem pojedyncze cięcie. Ale właściwie nawet nie musiał zasłaniać ust, z poderżniętym gardłem nie da się krzyczeć. I umiera się szybko, jeśli to jakoś pana pocieszy.

Zrobiło mi się słabo. Paskudna śmierć. Czy Bandura nie zasłużył na spokojne umieranie

w domu w otoczeniu najbliższych? Ale czyż nie wszyscy zasługujemy na spokojne umieranie? Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Powiedział pan, że widział coś takiego parę dni wcześniej?
- No, tydzień wcześniej - odpowiedział. - Jeden taki z pobliskiej wioski.

Niejaki Daniłycz. Znaleźli go w komórce przy domu w tej jego wsi. Zaszlachtowany w ten sam sposób. Panie, tu w okolicy nie było morderstwa przez kilkanaście lat, a tu naraz dwa.

Spytałem dobrego doktora o drogę na Suchy Dąb, podziękowałem i wyruszyłem.

Suchy Dąb

Wieś leżała niedaleko, jakieś pięć kilometrów na południe od Sobola. Jadąc tam, minąłem tabliczkę ze zniczem, wskazującą na miejsce pamięci, leżące gdzieś przy odchodzącej w bok leśnej drodze. Przypomniałem sobie, że coś o tym w internecie czytałem.

Wioska liczyła dosłownie kilkanaście chałup, przytulonych do wielkiego parku zarośniętego starymi drzewami, wyraźnie odcinającymi się od reszty otoczenia. Starodrzew był otoczony żeliwnym parkanem na wysokiej podmurówce, w wiek-

104

szości niedawno zrekonstruowanym, i było jasne, że gdzieś w środku znajduje się dwór czy pałac. Kiedy przejeżdżałem powoli obok bramy, zobaczyłem znajomą aleję, a na jej końcu fragment świeżo odnowionego klasycystycznego budynku. Mogłem się być domyślić, że to ten właśnie pałac sfotografował Profesor.

Wjechałem między chałupy i odnalazłem numer 11. Był to oddalony od innych malutki parterowy domek z mieszkalnym stryżkiem - obok niego niewielkich rozmiarów szopa. Czy to tam zamordowano tego Daniłycza? Całość stanowczo nie sprawiała wrażenia miejsca, w którym ktoś mógłby ukrywać kolekcję z Mitawy.

Zaparkowałem rovera i zapukałem. Drzwi otworzyła smutna, chuda dziewczyna

o źle ufarbowanych włosach i bladej cerze, odziana w tanie ciuszki wyraźnie bazarowej proveniencji. „Ma pewnie na imię Arieta albo Aneta”, pomyślałem. Wyciągnąłem rękę.

- Karol ...ski. Podała swoją.
- Bernadeta Daniłycz.

I wtedy zobaczyła coś za moimi plecami. Wydała lekki okrzyk i się cofnęła. Odwróciłem się, ale za mną stał tylko rover Profesora.

- Ten samochód - szepnęła. - On tu był w dniu pogrzebu taty. Przyjechał nim ten pan, którego zabili tak jak tatę.

105

Potwierdziła więc bytność Bandury w Suchym Dębnie. Sprawa była coraz bardziej oczywista. Po co inaczej Profesor przyjeżdżałby do Sobola?

- Teraz jest mój - powiedziałem. - Ten pan był moim... - zawahałem się. No bo kim był właściwie dla mnie Bandura? Dlaczego jeżdżę teraz jego samochodem? - ...przybranym ojcem - powiedziałem w końcu niepewnie, wiedząc, że jestem w tym momencie mocno nie w porządku wobec Pułkownika.

Poprosiłem ją o chwilę rozmowy. Siedliśmy w pokoju pełnym kolorowych czasopism, opisujących eleganckie życie prywatne osób, które są znane z tego, że są sławne, i innych - sławnych z tego, że są znane. Ich nazwiska, wypisane wielką czcionką na okładkach, nic mi nie mówiły. Bernadeta poczęstowała mnie herbatą w szklance. Obrzydliwy smak zdradził, że wykonała ją, rozcieńczając wrzątkiem przedwczorajszą herbacianą esencję.

- Ten pana profesor też chciał wiedzieć, czym zajmował się mój tata -

powiedziała.

- Wypytywał panią w dniu pogrzebu? - zdziwiłem się.
- Nie, przyjechał następnego dnia. Przywiózł nam kwiaty i czekoladki. Mówił, że tatę zabili, bo może odkrył jakąś tajemnicę. Ale myśmy nic nie wiedziały. Policja zresztą też nasypytywała.

- 106

- A co go najbardziej zaciekało? - spytałem. Zawahała się.
- No, nie wiem... Chyba to, że tato robił u pana Zięby. Tego z pałacu. Ten pan bardzo pytał, co on tam konkretnie robił. A robił przecież wszystko. Bo tato umiał wszystko. Malował, murował, kładł podłogi...

Wychodząc, jeszcze raz spojrzałem na znajdującą się obok domu szopę. Korciło mnie, żeby do niej zajrzeć, ale nie mogłem tego Bernadecie zrobić.

Kiedy podszedłem do bramy pałacowego parku, po jej drugiej stronie jak spod ziemi wyskoczyły trzy rottweilery. Wyglądały trochę dziwnie, bo nie miały przyciętych uszu ani ogonów. Jeden miał jedno ucho bardziej. Nie szczekały. Stały tam z drugiej strony i patrzyły na mnie. Pomyślałem o osieroconym psie Bławata, o samym Bławacie i naturalnie - o nim i o Bibianie. Stanowczo wciąż za dużo łańcuchów skojarzeniowych kończyło mi się na Bibianie. Nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić.

Długo naciskałem na dzwonek przymocowany do wysokiej bramy, prowadzącej do pałacu, ale nie było reakcji. Chociaż miałem uczucie, że jestem obserwowany. Spojrzałem w górę. No tak, na słupie znajdowała się niewielka kamera.

107

Nagle rottweilery zaczęły się kręcić i głucho powarkić.

- Tego Szemby i tak nje ma - usłyszałem głos

za sobą.

Odwróciłem się. Za mną stał mocno starszy siwy gość w czapce typowej dla większości mężczyzn powiatowej Polski i równie typowej burej marynarce. Trzymał motorower, do którego przytroczony był pokrowiec z wędkami. Musiał właśnie podjechać. Zdziwiłem się, że go nie usłyszałem.

- On tu szatko bywa.
- Kim pan jest? - spytałem.
 - Vogel Józeł - odpowiedział. - Ja tu mieszkam. A pan w jakiej sprawie? -
Sądząc z akcentu, musiał to być jakiś autochton.
- Interesuje mnie ten pałac - powiedziałem.
- Tam nic ciekawego nie ma - powiedział.
 - Skąd pan wie, zna się pan na tym?

Kmieć stropił się, pomilczał chwilę, po czym odpalił swój jednośląd i odjechał. Odjechałem i ja, wiedząc, że tu wkrótce wrócę. I że zrobię wszystko, żeby się do tego pałacu dostać.

Zbrodnia w lesie

Pomny nauk Grubego, kontynuowałem przetrząsanie krzaków. Wpisany do wyszukiwarki internetowej, Suchy Dąb dał mi dwa trafienia dotyczące samego pałacu, trzy dotyczące domu spokojnej starości znajdującego się tamże i jedno trafienie dotyczące wykrycia śladów zbrodni wojennej w pobliskim lesie. Była to dość ogólnikowa wzmianka i postanowiłem dowiedzieć się o tej sprawie czegoś więcej.

Zadzwoiłem oczywiście do Grubego. Okazało się, że jego nowe miejsce pracy wchłonęło dawną Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich (dawniej „Niemieckich”), będącą obecnie częścią Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu. Gruby pracował właśnie w tym pionie („dzięki temu nie mam nic wspólnego z tą całą wojną na teczki”, jak się wyraził), to

znaczy jego lokalnym oddziale. Na szczęście nawiązał już był kontakty z kolegami z pionu w innych oddziałach, mógł więc dowiedzieć się o ów Suchy Dąb/ Soból drogą służbową. Okazało się, że oddział wrocławski przechowuje dokumentację dotyczącą odkrycia zbiorowej mogiły w tamtejszym lesie. Namówiony przeze mnie, Gruby poprosił o przesłanie tej dokumentacji do naszego miasta.

Już tydzień później siedzieliśmy w „Connema-rze” nad piwem i przeglądaliśmy zawartość nadesłanej teczki. Okazało się, że zbiorową mogiłę

109

znaleziono w niekorzystnym dla takich odkryć momencie, mianowicie w 1960 roku. Jak mi wyjaśnił Gruby, w owych czasach władzy już nie zależało na efektywnej pracy okręgowych komisji, stąd zapewne odkryciu nigdy nie nadano rangi priorytetowej, i w rezultacie śledztwo w tej sprawie szybko zostało zamknięte.

W ogólnym opisie mowa była o zamordowaniu dziewiętnastu osób cywilnych (więźniów) i rozstrzelaniu trzech dezertersów z armii niemieckiej. Przejrzeliśmy protokół ekshumacji. Na ile mogliśmy się zorientować, najpierw znaleziono zwłoki trzech żołnierzy, pod nimi ponad półmetrową warstwę ziemi, a dopiero pod nią dziewiętnaście zwłok cywilnych. Zabezpieczono łuski po amunicji kalibru 7,92 x 57 mm, typowej między innymi dla karabinów maszynowych, i trochę łusek po amunicji kalibru 9 mm parabellum, używanej między innymi w pistoletach maszynowych. We wnioskach wyrażone zostało przypuszczenie, że zamordowani więźniowie pochodzili z *Kommando* przetrzymywanego w 1944 roku w sąsiedniej wsi Suchy Dąb. Była tam jeszcze wzmianka o „załączniku nr 119/1960”, w postaci „dowodów rzeczowych zebranych w miejscu zbrodni”.

- Wątpię, czy ten załącznik się zachował. Ale nawet jeżeli, to i tak takich rzeczy nigdzie nie wysyłamy - powiedział Gruby, demonstrując w ten sposób silną identyfikację z miejscem pracy.

110

Poprosiłem, żeby to sprawdził.

- A właściwie jaki to ma związek z tym mi-tawskim muzeum, Karol? - spytał, kiedy się rozstawaliśmy.
- Pewnie żaden. Ale robię to, co mi poradziłeś. Przetrzęsam pobocza - odpowiedziałem i rozejrzałem się po pubie, nie tracąc nadziei, że zobaczę Mirosławę.

Tego wieczoru nie miałem szczęścia. Ale nie w sensie ogólnym. Tajemniczy załącznik zachował się bowiem we wrocławskim archiwum komisji i kiedy tylko chciałem, mogłem go zobaczyć na własne oczy.

Pałac

Swoje wejście do pałacu w Suchym Dębie zacząłem przygotowywać systematycznie. Przede wszystkim przejrzałem dostępne o nim materiały. Nie było tego wiele: typowy pałac klasycystyczny, dzieło niezbyt natchnionego wrocławskiego architekta, do 1943 roku w rękach tej samej rodziny, niejakich von Eichendorfów. Wpisanie do wyszukiwarki niemieckiej nazwy wsi dało tylko kilka wzmianek dotyczących owej rodziny, a konkretnie jednego jej przedstawiciela, pułkownika Wehrmachtu, straconego w 1943 za próbę zawiązania spisku przeciw Wodzowi w armii.

111

Próba była kompletnie amatorska, zakończyła się denuncjacją i krótkim procesem, a najgorzej na tym wyszła rodzina pułkownika, którą z pałacu wygnano. Obiekt oddano do dyspozycji Kancelarii Reichsführera SS. Co z nim się dalej działo, nie wiadomo. W każdym razie nie spalili go stacjonujący w nim w czasie oblężenia *Festung Breslau* czerwonoarmiści.

Komunizm pałac przetrwał przez przypadek - bardzo wcześnie odkryła go wrocławska opieka społeczna i zaadaptowała na tak zwany dom spokojnej

starości. Funkcjonował on nieprzerwanie do początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy starcom i staruszkom zakłócono spokojną starość wśród starych drzew i wywieziono ich do Wrocławia. Pałac wystawiono na sprzedaż, a jakiś przedsiębiorczy przedsiębiorca kupił go na tyle szybko, że miejscowa ludność nie zdążyła, w spóźnionym akcie dziejowej sprawiedliwości, ograbić go ze wszystkiego.

Pomyślałem sobie, że może wejść do pałacu jako historyk sztuki. Zajrzałem na stronę internetową dolnośląskiego urzędu wojewódzkiego i kliknąłem na biuro konserwatora zabytków. I wtedy uśmiechnęła się do mnie Fortuna: jednym z jego dwóch zastępców był niejaki magister Zenon Grosman.

To nie mógł być nikt inny! Zeniu Grosman, który studiował rok wyżej od nas, ale chętnie

112

brał udział w imprezach z młodszymi kolegami, a zwłaszcza koleżankami. Gusty mieliśmy inne, więc nie doszło między nami nigdy do konfliktu na tle konkurowania o damę serca. Zenek cieszył się sławą najlepszego znawcy architektury w instytucie, co wynikało między innymi z tego, że zanim odkrył swoje prawdziwe powołanie, studiował przez dwa lata właśnie architekturę na politechnice. Być może sam o tym nie wiedział, ale wśród dziewczyn z wydziału uchodził też za posiadacza członka rekordowych rozmiarów. Opowiedziała mi o tym kiedyś Olga, wpędzając z miejsca w kompleks.

Na stronie był służbowy numer Zenka, zadzwoniłem więc do niego. Ucieszył się. Pokrótkie wyjaśniłem mu, że muszę się dostać do jednego dolnośląskiego pałacu, znajdującego się obecnie w rękach prywatnych. Zenek nawet nie pytał dlaczego. Umówiliśmy się na internetowy czat i obgadaliśmy sprawę „na privie” jeszcze tego samego wieczoru.

Miałem pojawić się w pałacu z mocnym papierem z urzędu, jako historyk sztuki dokonujący weryfikacji jego opisu architektonicznego. Zeniu radził mi

jednak dogadać się najpierw z obecnym właścicielem. To jakiś burak, cholernie zawzięty. Strasznie walczył z powiatowym konserwatorem o prawo do przebudowy obiektu. I wyobraź sobie: wygrał, **napisał**.

113

Poprosiłem, żeby zadzwonił do buraka i przygotował mi grunt. Potem miałem zadzwonić do niego ja. Umówiliśmy się też, że urzędowe pismo odbiorę po drodze do Suchego Dębu.

Po kilku dniach dostałem od Zenia e-mail, w którym pisał, że zlokalizował buraka w jego wytwórni wód gazowanych we Wrocławiu i że z nim rozmawiał. Burak nazywał się Zięba, tak jak mój dozorca z Kaletniczej. Niechętnie, bo niechętnie, zgodził się jednak na wizytę historyka sztuki. Zadzwoniłem do niego. Nie brzmiał zachęcająco.

0, jeszcze jeden. Jesteście mi wszyscy potrzebni jak dziura w moście - poinformował mnie dwornie. - Niech pan przyjedzie za jakiś miesiąc, będzie tam wtedy moja córka. Ja nie mam życzenia pana oglądać.

Pani Zosia

Przypuszczałem, że mój kolejny pobyt na Dolnym Śląsku może trochę potrwać. Do końca semestru zostały jeszcze dwa miesiące, więc wpadłem na pewien pomysł. Poszedłem do dyrektora instytutu i poprosiłem o możliwość miesięcznego urlopu na koniec semestru, okupionego podwójną ilością zajęć w nadchodzącym miesiącu. Wi-

114

działem, jak nasz dyrektor, zaciekły wróg i konkurent Bandury, szuka jakiegoś pretekstu, żeby mi na to nie pozwolić. Ale nie znalazł. Mógł się, co prawda, podeprzeć regulaminem, ale złamałby w ten sposób starą uniwersytecką tradycję

elastycznego traktowania rozkładu zajęć. Więc się w końcu zgodził. Jako warunek postawił mój udział w konferencji poświęconej architekturze Ziemi Zachodnich, która miała się odbyć we Wrocławiu na początku czerwca.

- Nie może tam być więcej warszawiaków niż naszych - wyjaśnił.

Poszedłem następnie do pani Zosi, naszej sekretarki, która faktycznie kierowała instytutem. Pani Zosia, która wskutek jakiejś przypadłości lub - co dużo bardziej prawdopodobne - własnej głupoty straciła całkowicie brwi i musiała je sobie co rano rysować na nowo, przywitała mnie swoją wiecznie zdziwioną miną. Mina wynikała z tego, że pani Zosia rysowała sobie brwi zbyt łukowate i zawsze za wysoko.

- Ale pan dyrektor się nie zgodzi - powiedziała, kiedy wyłuszczyłem sprawę.
- Już się zgodził - powiedziałem triumfalnie, ponieważ przewidziałem taką właśnie reakcję.

Jakaś odmiana pani Zosi występuje w większości instytutów i katedr wyższych uczelni, a także na szczeblu rektoratu. Wynika to z tego, że administrowanie czymkolwiek jest zbyt poważ-

115

ną sprawą, żeby można ją do końca powierzyć profesorom. Zupełnie nie mają do tego drygu. Nawet ci, którym się wydaje, że sprawnie czymś zarządzają, pozbawieni swojej pani Zosi, byłiby jak pijane dzieci we mgle.

Pani Zosia była wściekła. Już na początku poprzedniego semestru zmuszona została z mojego powodu do przebudowania planu zajęć i od tego czasu patrzyła na mnie spode łba. A wszystko przez diabelską Pawlak, której nie życzyłem sobie jako mojej studentki. Kiedy po przerwie wakacyjnej okazało się, że mam jakieś zajęcia z piątym rokiem, poprosiłem Bandurę o zwolnienie z nich. Popatrzył na mnie wtedy przeciągle.

- Kobieta? - spytał krótko.
- Tak - powiedziałem, wiedząc, że pójście w zaparte nic nie da. Bandura zajrzał wtedy do pani Zosi i wymógł na niej zmianę planu, co doprowadziło ją do furii.

Dla pani Zosi Bandura nie miał litości. Większość kobiet czarował i uzyskiwał od nich to, czego chciał, po dobroci; dla pani Zosi czynił wyjątek. Nie tylko dlatego, że donosiła wszystkim kolejnym dyrektorom instytutu, nie dlatego, że nim trzęsła, ale przez te jej nieszczęsne brwi. Powiedział kiedyś, że kobiece złudzenie, że majstrując przy własnych brwiach, można poprawić Matkę Naturę, to jedno z większych nieszczęść naszych czasów. Kobiety, które mu uległy w stop-

116

niu ekstremalnym, tępił bezlitośnie. Jeśli kobiece brwi zostały już opisane jako erotyczny fetysz, to Bandura był zdeklarowanym fetyszystą.

Więc pani Zosia była zła, ale wywiesiła na tablicy stosowne zmiany w planie. Musiałem jeszcze zwalczyć opór studentów, nagle zmuszonych do przychodzenia na dodatkowe zajęcia. Roztoczyłem więc przed nimi barwną wizję luźnego miesiąca przed letnią sesją egzaminacyjną i stłumiłem bunt w zarodku.

Zajrzałem też do gabinetu profesor Dziubińskiej, która właśnie powróciła na łono instytutu. Po tym, co mi powiedział Dąbrowa, patrzyłem na nią inaczej. Stała się dla mnie jedną z planet ekskluzywnego układu, w którym Bandura był słońcem. Planetą, która poruszała się niegdyś po jego bardzo bliskiej orbicie.

Bandury zastąpić mi co prawda nie mogła, ale postanowiłem trzymać się jej na planie zawodowym, co ze względu na nasze zainteresowania było całkiem naturalne.

Planeta Glizda

Glizda przez te parę miesięcy schudła i wyblakła. Na mój widok wyraźnie się ucieszyła. Opowiedziałem jej o moich planach wyjazdowych pod koniec semestru i o tym, że będę na konferencji

117

we Wrocławiu w czerwcu. Jak się dowiedziałem, ona też tam miała być, z referatem o pałacu w Czernicy (dawniej Langenau) pod Jelenią Górą.

Przypomniałem sobie mój pobyt w Kotlinie Jeleniogórskiej, pałac w Kobiercu, salę z kominkiem i poczułem znajomy ból. Myślałem o Bibianie coraz rzadziej i bolało mnie teraz krócej niż kiedyś, ale ból sięgał zawsze tak samo głęboko.

Wkrótce temat konferencji został wyczerpany i zapadła niezręczna cisza.

- Widziałem panią na cmentarzu w Wiśle - po wiedziałem nagle.

Glizda spurpurowiała na twarzy.

- I pewnie pan rozmawiał o tym z Edkiem Dąbrową - wykrztusiła w końcu.

Skąd wiedziała? Skinąłem głową.

- I pewnie wychlapał panu, że kiedyś byliśmy z Franciszkiem... razem.

Ponownie skinąłem głową.

- No tak... Zawsze miał długi jęzor.

Znowu milczeliśmy przez chwilę, a ona przyglądała mi się znad okularów.

- I pewnie bardzo by pan chciał wiedzieć, co między nami zaszło.

Teraz ja poczułem, że się czerwienię. Glizda była bystra, cholernie bystra.

- Mężczyźni są tacy ciekawscy - ciągnęła.

- Ale muszę pana rozczarować. Nie dowie się pan. Nikt się nie dowie.

118

Nagle sięgnęła do biurka, wydostała szklaną piersiówkę whisky pod tytułem Teacher's (a jakżeby inaczej) i dwa metalowe kielonki. Nalała wprawnym ruchem.

- Przejdźmy na „ty” - powiedziała. - W końcu... w pewnym sensie... oboje jesteśmy po nim sierotami.

Ponieważ ten dziwny argument trafił mi do przekonania, a Glizda zaproponowała mi bruderszaft tym razem na trzeźwo, sięgnąłem po kielonek. Wstaliśmy, przepletliśmy ramiona i wychyliliśmy whisky, wcale zresztą niezłą.

W swoich butach na obcasach Glizda była zaskakująco wysoka. Pachniała jaśminem. Przypomniałem sobie, że Gerwazy określił ją kiedyś jako „kobietę z potencjałem”, i spróbowałem ją sobie wyobrazić w sytuacji intymnej. Po doświadczeniu z Mareike byłem już w stanie to zrobić, chociaż nie bez oporów. Glizda była niepiękna, ale ciało miała chyba niezłe. Była szczupła, miała długie nogi, płaski brzuch, biust nieco większy, niż jej przysługiwał... Mimo wszystko siebie z nią nie mógłbym sobie wyobrazić.

Powiem ci tylko jedno, Karolku, mogę tak mówić? - Glizda wyrwała mnie z tych rozważań i nie czekając na odpowiedź (która byłaby negatywna), ciągnęła: - Ja miałam wtedy ze trzydzieści lat. A musisz wiedzieć, że większość kobiet mądrzeje dopiero w okolicy czterdziestki.

119

Tak nawiasem, większość **mężczyzn** nie mądrzeje nigdy... Jeszcze jednego?

Podziękowałem. Przyjechałem do instytutu samochodem i nie chciałem kusić losu. Ona nalała sobie i wypila z wyraźnym smakiem. Po czym schowała piersiówkę. Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Kiedyś słyszałam, że wszyscy rodzimy się jako oryginały i umieramy jako kiepskie kopie... - powiedziała ni stąd, ni zowąd. Zabrzmiało to dość patetycznie i zrobiło mi się za nią trochę wstyd. - Ale Franciszek... nigdy nie stał się niczyją kopią... - dodała i głos się jej załamał.

W jej wypukłych oczach zakręciły się łzy, więc pożegnałem się szybko i wyszedłem. Nie znoszę widoku płaczących kobiet.

Wracając do domu, zastanawiałem się, czy ja przypadkiem nie umrę jako kiepska kopia Bandury?

Połów

Następne parę tygodni upłynęło mi pod znakiem wytężonej pracy. Musiałem się podwójnie przygotowywać do zajęć, a poza tym zarzucone przeze mnie parę tygodni wcześniej w internecie sieci zaczęły się wypełniać.

120

Wiadomość z Centrum Wiesenthala była krótka: *SS-Untersturmführer* August Stiefke miał u nich swoją teczkę, ale nie zawierała ona wiele. Jego stopień i nazwisko widniało w dokumencie oddającym mu do dyspozycji dwudziestu dwu *Haft-lingen* z *SS-Konzentrationslager* Bunzlau 111 dnia... 1944. Na liście więźniów były nazwiska polskie, niemieckie, a także inne, świadczące o pochodzeniu żydowskim. Był też podpisany przez Stiefkego protokół przejęcia więźniów. Komentarz Centrum Wiesenthala był taki, że ponieważ wymienieni więźniowie do obozu nigdy nie wrócili, prawdopodobnie zostali zlikwidowani, za co Stiefke może ponosić odpowiedzialność. Jako przypuszczalne miejsce zgonu esesmana podano Argentynę.

Zaroilo się też od odpowiedzi na Axis History Forum i kilku innych mniejszych amerykańskich forach, które w międzyczasie znalazłem. Na ogół witryny te związane były z faszyzującymi ugrupowaniami, ale uznałem, że w tym wypadku cel uświęca środki. Choć był to ewidentny obciach, zwróciłem się grzecznie również tam.

Większość informacji dotyczyła udziału Stiefkego w owej „akcji w Gran Sasso”. Wyjaśniło się, że była to słynna akcja uwolnienia we wrześniu 1943 roku przez

austriackiego esesmana Otto Skorzenego, przetrzymywanego tam właśnie, gdzieś w Apeninach, // *Duce*. Internetowi maniacy znali skład oddziału dowodzonych wtedy przez Skorzenego

121

spadochroniarzy co do jednego człowieka! Jak się wydaje, awanturczy esesman był bożyszczem kolejnego już pokolenia amerykańskich półgłówków, marzących w zaciszach swoich obitych sidin-giem domków o męskim życiu pełnym przygód.

Jak się dowiedziałem, Stiefke dowodził jednym z użytych wtedy szybowców, który podczas lądowania się rozbił; on sam został ranny. Mimo to wziął udział w akcji i znalazł się w grupie, która eskortowała Mussoliniego. Była też garść wzmianek o lądowaniu na Krecie, a także interesująca informacja wiążąca Stiefkego z Łotwą. Internauta o nicku Siegfrid widział mianowicie jego nazwisko w składzie osobowym 15. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Lettland” jako „instruktora”. W postscriptum poinformował mnie, że jakieś pół roku temu ktoś na Axis History Forum o niego pytał.

Wzmianki o powojennych losach Stiefkego były mniej liczne. Wiązały go one między innymi z działającą w Argentynie za czasów Perona eses-mańską organizacją ODESSA. Cytowany był też dokument, z którego wynikało, że Stiefke zasiada w zarządzie Związku Byłych Żołnierzy 7. Dywizji Spadochronowej. W jednej z odpowiedzi niejaki Arthur twierdził, że jego ojciec widywał Stiefkego jako ochroniarza Skorzenego w... Egipcie, gdzie Austriak zatrudniony był jako konsultant u Nase-ra na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdzie-

122

siątych. Wzmianek **łączących tych dwóch było** zresztą więcej.

Najcenniejszą moją zdobyczą okazał się jednak list od niemieckiego historyka, podający sygnaturę dokumentacji użytej w procesie denazyfikacyjnym Stiefkego i

miejsce jej przechowywania. Napisałem tam od razu, a w dwa tygodnie później, za cenę 70 euro, wszedłem w posiadanie kopii zawartości teczki, do której - o dziwo - nie dotarli ludzie Wiesenthala.

Teczka

Część dokumentacji była w języku niemieckim, część w języku angielskim. Mimo nie najgorszej znajomości niemieckiego nie wszystko zrozumiałem, ponieważ nie znałem się na nomenklaturze dokumentacji wojskowej. Wielu rzeczy musiałem się domyślać. Bogato przedstawiała się dokumentacja kariery Stiefkego w 7. Dywizji Spadochronowej i jego kolejnych błyskawicznych awansów. Dołączone były też: kopia wniosku o przyznanie Krzyża Żelaznego oraz wypis ze szpitala z września 1943, z rozpoznaniem złamania lewego ramienia.

Przynależność Stiefkego do Waffen-SS znalazła natomiast - o dziwo - bardzo skąpe odzwiercied-

123

lenie w dokumentach. Były tam tylko trzy i wszystkie dość niejasne. Jakieś specjalne zezwolenie dowódcy Waffen-SS na noszenie „opaski pamiątkowej Kreta” na rękawie oraz dziwny papier z nagłówkiem *15. Waffen-SS Grenadier Division* - nie mogłem zrozumieć, o co w nim chodzi. Był też rozkaz wyjazdu z *Festung Breslau* z dnia 22 kwietnia 1945. W poprzek dokumentu widniała wielka, czerwona pieczęć FALSCH.

Nader interesująca była za to dokumentacja w języku angielskim: świstek potwierdzający zgłoszenie się Augusta Stiefkego do obozu zbiorczego Feldhof, a następnie szczegółowy protokół przesłuchania kapitana Brendana W Clarke'a, komendanta obozu, przez oficera CIC, niejakiego Pokrifsky'ego. Wynikało z niego, że dwa miesiące po internowaniu Ciarke dołączył Stiefkego do grupy jeńców

przeznaczonych do wykonywania prac przy odgruzowaniu pobliskiego miasteczka. Stiefke był tam jedynym oficerem i jedynym esesmanem. Oczywiście uciekł. Ciarkę tłumaczył się, że do pełnego stanu brakowało jednego człowieka, wziął więc pierwszego z brzegu, „*ifter all, he came to us of his own accord, was a junior offi-cer and in Waffen, not Allgemeine*”, tłumaczył się Ciarkę; pytanie, co miał na myśli.

Ostatnim dokumentem było dwujęzyczne oświadczenie sądu obwodowego nr 134 z dnia 124

6 lutego 1952 roku, uznające Augusta Stiefkego za *entnazifiziert (denazified)*.

Bez większych nadziei wrzuciłem „Brendan W Ciarkę” do wyszukiwarki. Trafień bezpośrednich nie było; jedno ze zbliżonych przyciągnęło moją uwagę. Była to pozycja z aukcji eBay - przedmiot: *Faberge Egg*, wystawiający: Darryl W Ciarkę. Zaciekawiony, ale nie bardzo wiedząc, dlaczego to robię, otworzyłem okienko z aukcją. Była możliwość zobaczenia zdjęcia przedmiotu (cena wywoławcza: \$12 000), więc kliknąłem, gdzie trzeba.

Fotografia przedstawiała kolorowe, bogato zdobione jajko, w wersji zamkniętej i otwartej. Z otwartego jajka wystawała mała złota cerkiewka.

Przekupny kapitan

Nie miałem wątpliwości, że złote jajko wiązało się jakoś z osobą Stiefkego i dowodziło, że esesman był kimś więcej niż tylko konwojentem mitawskich eksponatów. To nadawało sprawie zupełnie nowy wymiar. Gruby byłby ze mnie dumny: szperanie po krzakach przyniosło pierwsze efekty. Zadumałem się także nad siłą sprawczą zbiegów okoliczności. Przecież gdybym sprawdził tego Clarke'a parę tygodni wcześniej lub później, nie znalazłbym jajka!

Wyglądało niestety na to, że kolekcja mitawska została co najmniej naruszona.

Ale najpierw musiałem mieć pewność. Wysłałem więc e-mail do Darryla W Clarke'a. Nie wspomniałem o jajku autorstwa carskiego jubilera; napisałem, że jestem historykiem piszącym pracę na temat obozów zbiorczych dla żołnierzy w okupowanych Niemczech w 1945 roku i poszukuję Brendana W Clarke'a, komendanta jednego z takich obozów.

Miałem chyba wyjątkowe szczęście do ludzi, bo Darryl odpisał mi natychmiast. Był synem owego - od kilku lat nieżyjącego - Brendana W Clarke'a. Potwierdził, że jego ojciec, w cywilu inżynier budowlany, powołany do wojska w stopniu porucznika i potem awansowany, w 1945 roku był przez kilka miesięcy komendantem obozu przejściowego w Feldhof. Wkrótce go zdymisjonowano, ale Darryl nie wiedział dlaczego.

Spytałem go, czy ojciec przywiózł z Niemiec jakieś dokumenty. Odpisał, że nie, że przywiózł jedynie *The usual war booty*" w postaci: esesmań-skiego sztyletu i pierścienia, pistoletu Luger P 08 (broń ta - znana w Polsce jako parabellum - jak zauważyłem, szczególnie fascynowała Amerykanów), żandarmskiej blachy i egzemplarza *Mein Kampf* oprawionego w skórę... wszystko to zostało już dawno wyprzedane.

126

Wtedy spytałem wprost o jajko, które jakoby dopiero teraz znalazłem w eBayu. Czułem, że sam z siebie Darryl o nim nie wspomni, bo to nie było *The usual war booty*", i on o tym doskonale wiedział.

Nie odpisał od razu. W końcu odpowiedział, że był to jedyny łup wojenny o jakiejś wartości, który jego ojciec zdobył „*on some Kraut general*" w 1945 roku.

Esesman

Spróbowałem usystematyzować zebrany na temat Stiefkego materiał. Przy założeniu, że wszystkie zdobyte przeze mnie informacje wolno wziąć za dobrą monetę, życiorys mojego esesmana mógł wyglądać następująco: Stiefke, rocznik 1921, urodzony w Moguncji, zaczął swoją karierę wojskową jako spadochroniarz. W składzie 7. *Fall-schirmjagerdivision* wylądował w maju 1941 roku na Krecie. Mocno się tam zasłużył, bo kampanię kreteńską zaczął jako *obergefreiter*, a zakończył, przeskakując parę stopni, jako *oberfeldwebel* i kawaler Krzyża Żelaznego. Co robił przez następne dwa lata, nie wiadomo. Nie wiadomo też, skąd dowiedział się o nim Skorzeny. Być może zresztą był jakiś mechanizm, który selek-

127

cjonował najdzielniejszych z dzielnych albo po prostu największych zabijaków. Wiadomo było tylko, że Stiefke trafił pod skrzydła Skorzenego i znalazł się w ekipie komandosów, która pod jego dowództwem uwolniła Benito Mussoliniego podczas akcji w Gran Sasso w Apeninach w 1943 roku. W czasie lądowania odniósł ranę, ale i tak musiał się szczególnie odznaczyć, bo załatwiono mu przejście do Waffen-SS z jednoczesnym awansem na oficcerski stopień *untersturmführera*. Przez pewien czas był chyba kimś w rodzaju adiutanta Skorzenego, a przynajmniej jego bliskim współpracownikiem. Wkrótce jednak drogi Skorzenego i jego protegowanego na dłuższy czas się rozeszły. Kiedy austriacki awanturnik montował operację *Rösselsprung*, mającą na celu schwywanie Josifa Broz Tito koło Drvaru, Stiefke wypłynął w Rydze, jako instruktor w 15. Dywizji Grenadierów Waffen-SS „Lettland”, składającej się z ochotników z Łotwy i innych krajów bałtyckich. Właśnie stamtąd przydzielono go do eskorty transportu specjalnego nr 36. Wiadomo, że w grudniu 1944 i marcu 1945 był we Wrocławiu. Coś robił w obozie Bunzlau III, konwojował grupę więźniów. Kiedy *Festung Breslau* upadła, na Śląsku już go jednak nie było, bo za pomocą podrobionej przepustki wy dostał się ze strefy działań wojennych. Bóg raczy

wiedzieć, jak przebił się przez sowiecki pierścień wokół Wrocławia i dotarł do
128

Amerykanów. Poddał się im i trafił do obozu, ale siedział tam tylko dwa miesiące. Z pomocą kapitana Clarke'a i niewielkiego eksponatu z Muzeum Kurlandzkiego wymknął się i uciekł za granicę, do frankistowskiej Hiszpanii. Tam los zetknął go znów z dawnym dowódcą. Odtąd Stiefke towarzyszył Skorzenemu jak cień i pełnił przy nim funkcję ni to ochroniarza, ni to człowieka do specjalnych poruczeń. Został zaocznie *entnazifiziert* w tym samym czasie co jego mocodawca, w 1952 roku. Był z nim jeszcze w Egipcie i Argentynie, a do Niemiec przypuszczalnie powrócił - o ile w ogóle tak się stało - dopiero po śmierci Skorzenego w 1975 roku. Przeszłość się o niego nigdy nie upomniwała.

Tak oto wykonałem kawał dobrej, przypuszczalnie całkowicie zbędnej roboty. Żeby podtrzymać w sobie złudzenie, że nie pójdzie to jednak na marne, spisałem wszystko po angielsku i z niejaką satysfakcją wysłałem do Centrum Wiesenthala do Wiednia.

Znowu Starszyce

Podwójna ilość zajęć zaczęła mi się dawać we znaki. Poczuję, że muszę się wyrwać z miasta, i to natychmiast. Chciałem też zrobić coś dla

129

Pawlak, którą przez moje liczne zajęcia na uczelni i grzebanie w historii zaniedbałem. Pomyślałem sobie, że ponieważ poznała Pułkownika, dla równowagi powinienem jej przedstawić wuja Antoniego, jedyne go znanego mi krewnego ze strony matki.

Był kwiecień i pogoda ciągle się zmieniała, więc nie ryzykowaliśmy jazdy harleyem. Wyruszyliśmy na tyle wcześnie rano, że w Starszycach znaleźliśmy się

wczesnym popołudniem. Brama była gościnnie otwarta, ale ja nie dałem się na to nabrać. Obejrzałem domiszczę dokładniej niż poprzednim razem, i zauważyłem kilka bardzo dyskretnie rozmieszczonych na podwórzu kamer oraz ukryte za kominami aż trzy małe satelitarne talerze.

Drzwi otworzyła nam Anais. Włosy miała równie krótkie jak pół roku wcześniej i tę samą kurtkę co zawsze; bynajmniej nie uśmiechnęła się na mój widok. Jej chłód został nam całkowicie zrekompensowany przez gorące powitanie wuja Antoniego. Wuj najpierw Pawlak ucałował w rękę, a potem po prostu uściskał, co - jak zauważyłem - nie sprawiło jej przykrości.

- Sporo o pani słyszałem - powiedział.

Początkowo pomyślałem, że to stwierdzenie to przesada, ale przypomniałem sobie, że wuj niejednokrotnie dał dowody na to, że wie o różnych osobach więcej, niż mogłoby się wydawać...

130

Po bliźniaczkach nie było śladu. Spytałem o nie z obojętną miną i natychmiast poczułem na sobie badawczy wzrok Pawlak.

- Wróciły do domu jakiś tydzień po twoim wyjeździe. Mieszkają dalej z rodzicami, ale rodzicom nie jest z nimi łatwo. Dziewczyny są trochę rozbastwione... - powiedział wuj z nieco szelmowskim uśmiechem. - Dzwonią tu czasem, a jak gdzieś wyjeżdżają, przysyłają kartki - dodał.

Nakarmiono nas, a potem wuj pokazał Pawlak stajnię. Moja luba jeździła niegdyś konno i wiedziała o koniach dużo więcej niż ja. Wypytywała wuja o różne rzeczy, a on z widoczną przyjemnością jej odpowiadał. Nie sposób było nie zauważyć, że z widoczną przyjemnością też się jej przyglądał... Widziałem również, że Pawlak nie jest obojętna na światowy czar wuja, o czym świadczył niezwykle u niej afektowany sposób mówienia. Kiedy wieczorem siedzieliśmy przy rozpalonym kominku i popijaliśmy wyborne alkohole, tematem znów stały się konie, a gdy przysłuchiwałem się z rosnącym zaciekawieniem rozmowie, w

której pojawiały się nieznane mi terminy, takie jak „fol-blut” (dowiedziałem się, że Hera i Dystych to właśnie folbluty), „okser” i „czarna wodza”, podjąłem decyzję, że pogłębię kiedyś znajomość tej dziedziny: w końcu i we mnie płynie krew Dębickich.

Anais cały czas nam towarzyszyła, ale nie uczestniczyła w rozmowie.

Obserwowała spod

131

oka Pawlak i wuja. Ten był niesłychanie dla Lucyny uprzejmy. Nalewał jej kolejne drinki i słuchał uważnie. Ogólnie dawał jej odczuć, że jest damą i bardzo mile widzianym gościem. Kiedy zaproponował mojej lubej przejażdżkę konno następnego dnia, Anais nagle przemówiła do niego w jakimś obcym, gardłowym języku. Wuj odpowiedział jej, wywołując u dziewczyny dość gniewną reakcję. Wymiana zdań trwała z minutę, po czym wuj przeprosił Pawlak, mówiąc, że przejażdżka nie będzie możliwa, bo - jak się właśnie dowiedział

- Hera okulała.

Okolo północy Pawlak poszła spać, podobnie Anais zniknęła. Gdy spytałem wuja, czy też się położyła, odpowiedział:

- Ona nie może pójść spać przede mną. Pewnie nie robi obchód.

Nie skomentowałem tego, a wuj nie pociągnął tematu. Spytałem go, czy rozmawiał z Anais po arabsku, a on potwierdził.

- Kiedyś pracowałem długo na Bliskim Wschodzie - powiedział wyjaśniająco. Po czym dodał:

- Herze nic nie jest, ale Anais uważała, że nie może puścić mnie na spacer samego. Jak zapewne zauważyłeś, jestem tu trochę więźniem i zakładnikiem. - Posmutniał.

- Z taką strażniczką chyba łatwiej to znieść

- zaryzykowałem. Wuj kiwnął głową, ale tego te matu też nie pociągnął.

132

Gdy opowiadałem wujowi o postępach mojego śledztwa, słuchał z wielkim zainteresowaniem i zadawał różne pytania. Powtórzył ofertę pomocy, gdyby takowa była potrzebna. Spytałem go, czy ODESSA istniała naprawdę. Uznałem, że kto jak kto, ale on powinien coś takiego wiedzieć.

- Istniała i istnieje do dzisiaj. Nie ma już komu specjalnie pomagać, bo ci, co jeszcze żyją, wszyscy są jakoś urzędzeni, ale wspiera różne takie neonazistowskie ruchy. Ale spokojnie, to wszystko jest monitorowane - odpowiedział.

Nimfa

Następnego ranka mieliśmy z Pawlak małą sprzeczkę. Starszyce bardzo jej się spodobały i koniecznie chciała zostać w nich dłużej.

- Twój wuj to dżentelmen. Dobrze się czuję w jego towarzystwie. Może i ty byś się od niego czegoś nauczył? Podpatrzył, jak dżentelmeni traktują kobiety?

Uważałem, że to dziecinne zachowanie z jej strony i powiedziałem to. Jej reakcja mnie zaskoczyła: Pawlak nagle się rozplakała.

- Traktujesz mnie... jak swoją własność. Uważasz... że w ogóle nie musisz się już starać. Bo jestem... na każde żądanie. Żebyś tego kiedyś nie pożałował.

133

- Lucy, to nie tak... - powiedziałem i próbowałem ją przytulić, ale wyrwała mi

się.

Zaiste, wenusjańskie pochodzenie kobiet daje się czasem mężczyznom we znaki.

Po śniadaniu poszedłem szukać wuja, by mu powiedzieć, że musimy już jechać, bo chcemy jeszcze gdzieś po drodze wstąpić. Znalazłem go i Anais w oranżerii, którą pamiętałem sprzed pół roku.

Było to przeszklone pomieszczenie zajmujące pierwsze i drugie piętro, rodzaj wielkiej werandy, której jedną ścianę, tę od strony budynku, stanowiło coś w rodzaju prawie pionowego skalnego ogrodu wysokości około pięciu metrów. W zagłębieniach porowatej skały, z której zbudowana była ta kamienna ściana, pieniały się paprocie i bluszcz, a z góry sączyła się woda. Tu i ówdzie zwieszały się girlandy kolorowych, egzotycznych kwiatów. Duże grzejniki utrzymywały w pomieszczeniu podwyższoną temperaturę.

Ubrany w same szorty, wuj siedział na składanym krześle ze szkicownikiem w ręku. Nie od razu dojrzałem, co rysuje, ale gdy wszedłem dalej, zobaczyłem ją. Wysoko pod dachem oranżerii na skalnej półce siedziała, a właściwie pólleżała, Anais. Całkiem naga. Widać było wyraźnie, że jest bardzo umięśniona, ale nie w przesadny sposób jak kulturystki. Po prostu dużo mniej było na niej tłuszczu, który nadaje kobietom krągłość tu i tam.

134

Zagapiłem się na nią, bo wyglądała pośród tej zieleni jak piękna nimfa. AnaTs spojrzała na mnie zupełnie obojętnie i nie zmieniła pozycji. Wuj też nie wydawał się specjalnie zażenowany moją niespodziewaną obecnością. Wręczył mi szkicownik i spytał:

- No i co powiesz, znawco sztuki?

Spojrzałem. Rysunek był znakomity. Niezwykłe oszczędny, delikatny, a jednak niepozostawiający wątpliwości co do tematu. Nie było tam przypadkowej kreski, a cieniowanie ograniczone było do absolutnego

minimum. Wuj miał talent, tego byłem absolutnie pewny.

- To jest... bardzo dobre - wybąkałem.

Kiedy wychodziłem z oranżerii, zobaczyłem leżące na taborecie ubranie Anais. Spod jej łąta-łaszków wyglądały jakieś skórzane paski i kolba pistoletu.

Smętny koniec Sowy Przemądrzałej

Zbliżał się termin mojego wyjazdu do Suchego Dębu. Dzwoniłem do Sowy Przemądrzałej, żeby zaanonsować swoją wizytę, ale jego telefon nie odpowiadał przez kilka kolejnych dni. Trudno. Byłem już umówiony we wrocławskim Instytucie Pamięci Narodowej, a także w biurze wojewódz-

135

kiego konserwatora. Odbyłem ostatnie zajęcia w semestrze, podpisałem studentom indeksy. Byłem gotów do drogi.

Tym razem pojechałem na harleyu. Był maj i jeżdżenie na motocyklu znowu miało swój urok: podróż do Wrocławia wcale mi się nie dłużyła. Jeżdżenie po polskich drogach to nieustanna walka o życie, nie ma więc obawy, że człowiek się znudzi. Na koniec przejechałem kilka wrocławskich mostów i zajechałem pod salon Masłowskiego. Był zamknięty na głucho i sprawiał wrażenie, że stan zamknięcia trwa już od pewnego czasu. Zajrzałem do znajdującej się obok kwiaciarni.

- A pan Masłowski to co, znów na urlopie?

- zagadnąłem rezydującą tam kobiecinę.

- To pan nie wie? Już go nie ma, nieboraczka.

Jezus Maria. Zabili go. A może nie, może po prostu dostał zawału.

- Co mu się stało?
- Zabili go, panie. Jak wieprza.
- Kiedy?
 - Chyba w grudniu. Tak, tuż przed świętami.

Wybiegłem z kwaciarni i przysiadłem na znajdującej się nieopodal ławce. Przez kwadrans zastanawiałem się, co mam robić. Po czym udałem się do archiwum redakcji miejscowego szmatławca i poprosiłem o numery z grudnia. W końcu dostałem je i dowiedziałem się szczegółów. Zwłoki znaleziono następnego dnia po zabójstwie.

136

Morderca użył ponoć chloroformu. Torturował Sowę Przemądrzałą przed śmiercią, przypalając go, przywiązanego do krzesła, grzałką elektryczną. Zamordował go, podcinając mu gardło. Musiał jednak najpierw dostać to, o co mu chodziło, bo sejf był otwarty i pusty.

Tak oto *Śmiejący się pasterz* wychynął na chwilę z niebytu po to tylko, by się w nim znów pogрузić.

Głupi Sowo Przemądrzała, to po to wracałeś z kraju Dantego, żeby trafić do piekła?

Siedziałem w zagraconym wnętrzu archiwum kompletnie rozbity. Czy Ponury Żniwiarz znów snuje się za mną jak rok temu?

Zajrzałem do kalendarzyka i sprawdziłem, jaki to był dzień tygodnia. Było tak, jak przeczuwałem: Masłowskiego zamordowano w dniu naszej u niego wizyty. Chwilę potrwało, zanim w umieszczonych pod dziennikarską relacją portretach pamięciowych jakiejś pary, którą widziano wtedy przy sklepie, rozpoznałem Pawlak i siebie.

Dowody zbrodni

Jechałem wolno w stronę Instytutu Pamięci Narodowej, rozmyślając o Masłowskim i jego mordercy. Musiał długo czekać na powrót swojej
137

ofiary. Być może nawet widzieliśmy go, jak wchodziliśmy do salonu? Może on nas widział? Skąd u licha wiedział o Masłowskim? Bandura mu przecież nie powiedział. Może Daniłycz?

W instytucie poprosiłem o skontaktowanie mnie z niejakim Kowalikiem, kolegą Grubego z pionu Głównej Komisji. Pamiętał sprawę. Usadził mnie w skromnie wyposażonej czytelni i zniknął.

Wrócił dziesięć minut później z pudłem rozmiaru średniej wielkości telewizora. Było strasznie zakurzone.

- Nikt do niego nie zaglądał od czterdziestu lat - powiedział jakby przeprasząco. - Do dokumentacji zresztą też, aż do zeszłego roku - dodał.
- Jak to? - spytałem zaskoczony.
- No, jakiś dziennikarz przeglądał tę teczkę jesienią. Mówił, że pisze artykuł o zbrodniach hitlerowskich w regionie.
- Czy miał jakieś nazwisko? - spytałem obojętnie.
- Musi być w zeszycie. Zaraz sprawdzę.

Dał mi parę chirurgicznych rękawiczek, które włożyłem. Poczekalem, aż wyjdzie, zerwałem papierowe plomby i otworzyłem pudło.

Ze środka wionęło stęchlizną. Dowody rzeczowe zostały wrzucone tam bez ładu i składu. Po kolei wyjmowałem: brudnopomarańczową czaszkę z otworem postrzałowym z boku, tej

138

samej barwy kość udową z tkwiącym w niej pociskiem, duży strzęp grubej tkaniny, która kiedyś miała wzór w biało-niebieskie pasy, strzęp innej tkaniny, w której kolorze mogłem się tylko domyślić barwy *feldgrau*, podkuty but z grubą

cholewką... Dno pudła zasłane było łuskami różnej wielkości, zniekształconymi pociskami i metalowymi obiektami pokrytymi zielonkawą patyną. Wydobyłem je ostrożnie. Była tam między innymi blaszana gapa, z charakterystycznie wystającym środkowym piórem na długich skrzydłach, i klamra od pasa z grubej blachy, z gapą i napisem szwabachą: ^emeCljreljetfjtSlreue-

Powoli zamknąłem pudło. Więc ci trzej „dezerterzy” to byli esesmani. Coś mi się tu nie zgadzało. Odkąd to aresztowanym żołnierzom pozwalano zachować pasy i czapki?

Wrócił Kowalik.

- Ten gość nazywał się Piątek - powiedział.

W biurze konserwatora spotkałem się z Zenkiem. Był wylewny. Pogadaliśmy o dawnych czasach: było oczywiste, że kojarzyłem mu się dobrze, bo z okresem jego własnej świetności. Teraz był żonaty i dzieciaty i z nostalgią powracał myślą do dawnych przewag.

Kopie posiadanej przez urząd dokumentacji pałacu zostały już przygotowane. Pochodziła ona z lat trzydziestych i właściwie trzeba było tylko sprawdzić, czy w międzyczasie czegoś w nim nie

139

przebudowano. Zenek opowiedział mi, że burak miał dużo szczęścia, kupując pałac: była korzystniejsza oferta z Niemiec, ale wojewoda postawił weto.

Podczas rozmowy kolega przyglądał mi się chwilami z widoczną troską.

- Co ci jest, stary? - spytał wreszcie. - Wyglądasz, jakbyś miał dziś spotkanie ze śmiercią, i to niejedno.
- No bo miałem, Zeniu - odpowiedziałem.

Soból po raz trzeci

Rynek miasteczka nic się nie zmienił. Tylko mężczyzn w sile wieku stało tam więcej, może wskutek ładnej pogody. Patrzyli na harleya ze zdumieniem. Nikt pewnie tu na czymś takim nigdy nie przyjechał.

Najpierw skierowałem się do hotelu. W recepcji siedziało blade stworzenie dziwnie podobne do Bernadety Daniłycz. Trochę to trwało, zanim zdołałem wytłumaczyć, o co mi chodzi. Właściwie recepcjonistka pojęła wszystko dopiero wtedy, gdy położyłem na kontuarze zwinięty dwudzie-stozłotowy banknot i popchnąłem go kilka razy palcem, aż spadł na umieszczony niżej blat.

Otworzyła wtedy dużą księgę i powiedziała:

140

- Ten pan nazywał się Jan Piątkowski... Profesor.

Wyczułem w jej głosie jakąś **niepewność, więc** spytałem:

- Widziała pani jego papiery?
- Tak. A właściwie... tylko wizytówkę. - I pospiesznie dodała: - Wie pan, teraz ludzie często podróżują bez dowodu osobistego.

Miała nieczyste sumienie, bo złamała przepisy. Ciekaw byłem, jaki banknot zmienił właściciela, gdy Mefisto meldował się w hotelu.

- Czy ten profesor... długo tu mieszkał? - spytałem.
- Nie, wymeldował się od razu... kiedy zabili tego drugiego profesora.

Podjechałem pod dom dobrego doktora Nowaczyka. Drzwi otworzyła mi ta sama dziewczyna jak z Modiglianiego. Na szczęście doktor był w domu.

Spytałem go o mord na Daniłyczu. Zawahał się.

- Nie wiem, czy to jest tajemnica, ale w końcu przecież nie ja jeden to widziałem...

I opisał mi okoliczności zbrodni. Okazuje się, że ofiara siedziała na krześle ze skrępowanymi z tyłu rękami i przywiązanymi do krzesła nogami. Była

torturowana. Morderca użył do tego celu znajdującej się w warsztacie lutownicy.

- Myślę, że najpierw oszołomił go chloroformem czy czymś takim. Znalazłem tam szmatę

141

o dziwnym zapachu. **Ale nikt nie robił** żadnej analizy - dodał.

Zrozumiałem zatem, skąd morderca wiedział o Masłowskim.

- I nikt tego nie słyszał? - spytałem.

- Jego żony i córki akurat nie było w domu - odpowiedział. - Myślę, że morderca o tym wiedział. A dom, jak pan zauważył, leży trochę na uboczu.

Spytałem doktora, czy ktoś w miasteczku wynajmuje pokoje. Wyjaśniłem, że będę prowadził badania w pałacu w Suchym Dębnie i muszę się gdzieś zatrzymać, a hotel byłby za drogi. Okazało się, że pokoje wynajmuje niejaka Voglowa, właścicielka największego sklepu w miasteczku.

Kiedy wyszedłem z domu dobrego doktora, natknąłem się na podinspektora Żebro, świeżo ogolonego, pachnącego i eleganckiego. Czekał na mnie.

- Piękna maszyna - powiedział, wskazując na harleya. - A pan tu... zupełnie przypadkiem, czy wiście? - dodał z ironią i zatrzepotał rzęsami.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Nie, zupełnie nie. Jestem w drodze do Suchego Dębna, w sprawie służbowej - powiedziałem. - Będę tam jakiś czas. Jakby co, jestem do pana dyspozycji.

Przyglądał mi się ciekawie.

142

I wtedy nagle powiedziałem:

- Niech pan się zainteresuje pewnym morder

stwem we Włocławiu w grudniu zeszłego roku.

Antykwariusz Masłowski.

Powiedziałem to, nie do końca wiedząc dlaczego. Pewnie z wyrzutów sumienia, bo uczucie, że to, co robię, nie jest całkiem w porządku, wcale mnie nie opuściło. Pomyślałem wprawdzie, że gdy Żebro dotrze do portretów pamięciowych, to będzie problem. Ale w końcu kłopoty to od dawna moja specjalność...

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Sprawdzę to - powiedział w końcu i oddalił się lekko tanecznym krokiem.

Podjechałem pod sklep Voglowej. Szefowa akurat była na miejscu. Było to niebudzące zaufania pyzate babsko o malutkich, chytrych oczkach. Miała wolny pokój nad sklepem, gdzie zresztą sama mieszkała z mężem i synem. Obejrzałem kwaterę i poprosiłem na razie o jeden nocleg ze śniadaniem.

Córka buraka

Podjechałem pod pałac. Tym razem był schowany za listowiem i sprawiał wrażenie zamieszkanego. Jeszcze zanim zadzwoniłem, do bramy

143

dobiegły trzy rottweilery. Tak jak poprzednim razem nie szczekały, tylko ustawiły się rzędem i patrzyły na mnie w milczeniu.

Po chwili zjawił się ponuro wyglądający barczysty, bardzo krótko ostrzyżony mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Miał na sobie ciemny golf i ciemne spodnie; wyglądał jak nieprawdopodobne skrzyżowanie angielskiego butlera i typowego francuskiego oprycha ze starego filmu z Jeanem Gabin.

- Słucham?

- Karol ...ski - przedstawiłem się. - Umawiałem się z panem Ziębą. - I podałem papier od wojewódzkiego konserwatora.

Mężczyzna powiedział coś do psów i otworzył bramę. Ruszyliśmy aleją w stronę pałacu, psy biegły z wywalonymi jęzorami obok harleya, spoglądając mi od czasu do czasu w oczy. Czuję się nieswojo.

- Jak się wabią? - zaryzykowałem pytanie, przekrzykując głucho dudnienie Harusia.

- Atos, Portos i Aramis - odkrzyknął obojętnie idący obok motocykla goryl. Popatrzyłem kątem oka na jego pozbawioną wyrazu twarz. Czy tak może wyglądać morderca Profesora?

Kiedy zbliżyliśmy się do pałacu, drzwi się otworzyły i stanęła w nich szczupła, wysoka dziewczyna we wczesnej, ale widocznej ciąży. Miała dwadzieścia parę lat, pociągłą, więcej niż

144

ładną twarz i długie, proste, ciemne włosy. Musiała to być córka buraka. Poczuję lekką suchość w gardle. Zaparkowałem Harusia i podszedłem do niej.

- Karol ...ski - przedstawiłem się.
 - Julia Zięba - powiedziała dźwięcznym głosem i podała mi suchą dłoń o długich palcach.

Jej niemal męski uścisk zaskoczył mnie, bo spodziewałem się wilgotnego naleśnika, który tak często kobiety fundują mężczyznom. Imię pasowało do jej typu urody.

- Tato mówił mi o panu. Proszę wejść.

Przeszliśmy przez hol i szerokimi schodami udaliśmy się na piętro. Mimo wystającego brzuszka poruszała się z wielkim wdziękiem, po schodach prawie wbiegła.

Pałac był pięknie odnowiony, wszędzie widać było duże pieniądze i kiepski gust. Ciężkie holenderskie skórzane meble, stojące lampy z abażurami wykończonymi frędzelkami, aksamitne kotary z takimiz frędzelkami, zawieszzone na bardzo lśniących metalowych karniszach. Panna Julia zaprosiła mnie do biblioteki, w której w ciężkich szafach znajdowało się mnóstwo książek o złoconych grzbietach. Było jasne, że kupiono je na metry i nigdy żadnej z nich nikt nie otworzył.

Zauważyła moje spojrzenie.

- Też uważam, że obciach - powiedziała.

- Ale tato ma taki właśnie gust.

145

Potwierdziła się stara prawda, że smoking zaczyna lepiej leżeć dopiero w drugim pokoleniu. Julia Zięba miała już zmysł krytyczny, którego pozbawiony był jej stary.

- To co pan chce tu właściwie robić? - spytała.

Walcząc z jękaniem (skąd ono się wzięło?), wytłumaczyłem jej, że konserwatorzy prowadzą rejestr zabytków w swoim rejonie i że architektoniczna dokumentacja pałacu jej ojca jest niekompletna. Była to w pewnym sensie prawda, ale tylko w pewnym. Na szczęście dziewczyna nie drażyła tego tematu. Powiedziałem jej, że muszę przeprowadzić szczegółowe pomiary pomieszczeń i sporządzić rysunki w różnych rzutach.

- Kiedy pan chce zacząć?
 - Choćby dzisiaj - odparłem. - Chciałbym zacząć od obejrzenia pałacu z zewnątrz.
 - Proszę bardzo - powiedziała. - Tylko muszę najpierw powiedzieć temu cyborgowi, co mnie tu pilnuje, żeby zamknął psy. - I ku memu wielkiemu żalowi opuściła mnie.

Uschnięty dąb

Myśląc o panie Julii, wyszedłem do parku. Od wschodniej strony pałacu, kilkadziesiąt

146

metrów od niego, wznosił się otoczony starym metalowym ogrodzeniem pagórek, a na nim stary uschnięty dąb z pniem o ogromnym obwodzie, świadczącym o starożytności drzewa. Przypominał sławne dęby, które widziałem w pewnym parku pałacowym w Wielkopolsce, i wyglądał równie żałośnie jak one. Uschnięte konary wyciągały się w niebo jak pokręcone łapy olbrzyma. Poruszając się wzdłuż ogrodzenia, obszedłem szacowne drzewo. W płocie nie było furtki - jego budowniczowie nie przewidzieli dopuszczania ludzi w pobliże dębu.

Niemiecka nazwa wsi świadczyła o tym, że musiało tu kiedyś rosnać sporo dębów; być może ten był ostatni, i dlatego poddano go takiej ochronie. Ciekawe, swoją drogą, kiedy usechł ostatecznie. Podejrzywałem, że załatwiło go dopiero zakłócenie gospodarki wodnej okolicy przez nowoczesne socjalistyczne rolnictwo.

Wyjąłem mój cyfrowy aparat i ostentacyjnie zrobiłem kilka zdjęć pałacu z różnych ujęć. Budynek był równie oryginalny jak autobus numer 55 Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacji: typowa kolumnada od frontu, łamiące jego płaszczyznę ryzality na skrzydłach...

Klasykistyczne budowle zawsze mnie dziwiły swoją powtarzalnością: tak jakby w XVIII wieku u architektów wystąpiła jakaś tajemnicza epidemia, wywołująca atrofię wyobraźni.

147

Zaczęło zmierzchać i postanowiłem udać się z powrotem do miasteczka. Odnalazłem pannę Julię i nie bez przykrości pożegnałem się z nią, po czym wyruszyłem w drogę. Jadąc, myślałem o dziwnej nieśmiałości, która mnie

opanowywała, kiedy rozmawiałem z córką buraka. „Karolku, tylko się nie zadurz”, powiedziałem do siebie. „Przecież to kobieta w ciąży. Za parę miesięcy urodzi komuś dziecko”.

Po drodze zjechałem na leśną drogę prowadzącą do miejsca kaźni. Znajdowało się ono jakieś pół kilometra od szosy. Upamiętniała je tabliczka umieszczona na głazie narzutowym. „W tym miejscu w 1945 roku hitlerowcy zamordowali 19 więźniów z obozu koncentracyjnego”. O dezerterach ani słowa.

Pojechałem do miasteczka. Kolację zjadłem w jedynym miejscowym zakładzie żywienia zbiorowego i poszedłem do mojej kwatery. Siedząc nad laptopem i pracując nad zaległym artykułem, w czym wydatnie przeszkadzało mi wspomnienie panny Zięby, z dołu słyszałem niewyraźne głosy moich gospodarzy. Mieli do siebie o coś pretensje.

Pałac po raz drugi

O godzinie ósmej zbudzono mnie na śniadanie. Zszedłem do gospodarzy. Przy stole siedziało już dwóch mężczyzn, gospodyni podawała posiłek. Jednym ze stołowników okazał się ów spotkany swego czasu w Suchym Dębnie czerstwy autochton; nie dał jednak po sobie poznać, że mnie pamięta. Ze względu na jego wiek początkowo myślałem, że to ojciec gospodyni, ale okazało się, że jest jej mężem. Syn gospodarzy, dwudziestoparoletni ponury młodzieniec z brakami w uzębieniu, spytał, co mnie do miasteczka sprowadziło. Powiedziałem im, że jestem historykiem sztuki i że wykonuję dokumentację architektoniczną pałacu w Suchym Dębnie, ale nie sądzę, by mnie zrozumieli. Należeli do innego świata, w którym nie było miejsca na sztukę inną niż sztuka mięsa.

Spytałem starego, czy jest tutejszy. Powiedział, że urodził się w Sobolu. Spytałem go o wojenne dzieje pałacu w Eichendorfie. Okazało się, że nic nie wie, bo od 1941 roku był na froncie wschodnim.

- A potem u Ruskich w niewoli - powiedział.

Udałem się do Suchego Dębu. Do pałacu podjechałem jak poprzedniego dnia,

pod milczącą eskortą cyborga i trzech muszkieterów. Córka buraka przywitała mnie miło i od razu zaprosiła na obiad własnej produkcji. Wyglądała jeszcze 149

ładniej niż poprzednio: w ciąży czy nie, była piękną dziewczyną. Rozmawiając z nią, znów zarejestrowałem u siebie to przekłęte jąkanie...

Wolałbym zostać gdzieś blisko niej, ale nie po to przecież przybyłem do pałacu. Zabrałem się do roboty. Z taśmą mierniczą przemierzałem pokoje, nanosząc pomiary na wykonane szkice. Pełzając po podłogach, stwierdziłem, że kosztowne parkiety są zupełnie nowe. Wyglądało na to, że właściciel przeprowadził bardzo gruntowny remont.

Obiad był nawet nie najgorszy. Jedliśmy we trójkę: panna Julia, goryl i ja. Goryl nie odezwał się ani słowem, nam dwojgu wskutek jego milczącej obecności rozmowa nie kleiła się. Dopiero potem, kiedy ochroniarz się oddalił, a my usiedliśmy z herbatą w bibliotece, dziewczynie rozwiązał się język. Ja podziwiałem naturalną elegancję, z jaką piła herbatę, a ona mówiła. Narzekała, że ojciec ją więzi („Wie pan, ze względu na mój stan”), że się na wsi nudzi, że czuje się „jak uwięziona w wieży książniczka”. To ostatnie powiedziała jednak z taką dozą autoironii, iż było jasne, że za książniczkę się nie uważa. Zaryzykowałem pytanie o nieobecnego „księcia”. Nie podjęła tego wątku.

Rozmawiało się z nią przyjemnie, a jeszcze przyjemniej było na nią patrzeć. Słyszałem, że ciąża wpływa czasem zasadniczo na wygląd ko- 150

biet; zastanawiałem się więc, **czy przed ciążą była** równie piękna.

Spytałem ją o podłogi. Istotnie, jej ojciec od razu kazał zerwać te, co były. To właśnie doprowadziło do konfliktu z konserwatorem. Okazało się bowiem, że niektóre z nich były przedwojenne albo i starsze.

Facet, który zaczyna remont od zerwania podłóg, mimo że są jeszcze dobre,

zachowuje się jak ktoś, kto czegoś szuka. Postanowiłem bliżej przyjrzeć się samemu burakowi.

Burak

Żeby z nim porozmawiać, musiałem pojechać pod Wrocław, do wytwórni wód gazowanych, której był właścicielem. W fabryczce napełniano plastikowe butelki kolorowymi płynami, które w hołdzie długoletniej tradycji podkreślały swój związek z różnymi owocami. W rzeczywistości jednak, jako rezultat zaawansowanych technologii chemii organicznej, były produktem o wiele doskonalszym, ponieważ surowiec do nich, w odróżnieniu od tradycyjnego, nie podlegał zbędnym fluktuacjom klimatycznym.

Przypomniałem sobie, że widziałem w telewizji sporo reklam jednego z tych napojów, co

151

świadczyło o znacznych możliwościach finansowych właściciela wytwórni. Reklamom udało się wmówić ogłupiałej polskiej młodzieży, że butelka z tym kolorowym ulepkiem jest symbolem pewnego pokolenia, co więcej, daje mu poczucie wolności, w związku z czym ulice pełne były młodzieży popijającej ów podejrzany płyn o każdej porze dnia i roku, dzięki czemu laryngolodzy mieli pełne ręce roboty. Osobiście nie przypomniałem sobie, bym w takim wieku był stale spragniony, ale cóż ja wiem o dzisiejszych nastolatkach! Dystans między moim i ich pokoleniem można by mierzyć w latach, ale świetlnych.

Burak urzędował w położonym nad halą produkcyjną kantorku. Było to wielkie chłopsko w ubranku owej nieokreślonej żółtoburej barwy, wynalezionej swego czasu w NRD i szeroko tam stosowanej, dziś już rzadkiej. Był na wskroś rustykalny: miał grube rysy twarzy i trudno było uwierzyć w więzy krwi łączące

go z subtelną Julią. On został namalowany impastem, jej portret mistrzowsko pokryty był laserunkiem.

- Masz pan dwadzieścia minut. Słucham.

Zacząłem od podziękowań za to, że w swojej gościnności pozwolił mi na prowadzenie prac w jego włościach. Zbył ten wstęp machnięciem ręki.

- Daj pan spokój. Nic mnie to nie kosztuje, a i tak mnie tam w tym miesiącu nie ma, więc

152

nie muszę pana oglądać. Po tym profesorze, co się tam przez parę dni snuł, wolę przy czymś takim nie być. Nerwy mnie wysiadają.

Nie zrozumiałem. Bandura przecież nie zdążył wejść na teren pałacu!

• Profesor Bandura? Ale...

• Nie... inaczej mu było... Nie pamiętam. W zeszłym roku, latem, jeszcze zanim zabili tego drugiego profesora, w Sobolu. Historyk. Ze stolicy.

Kuternoga. Pisał coś niby o tych Eichchen-dorfach. Ale zachowywał się, jakby go ten pana konserwator wysłał na przeszpiegi. Wywaliłem go w końcu na zbity pysk.

Spytałem go jeszcze o podłogi. Błąd, bo temat był drażliwy. Poczzerwieniał na twarzy.

- Panie, tylko mi pan tu nie wyjeżdżaj z tymi podłogami. Niech się ten kutas z Wrocławia, ten pana kolega, cieszy, że nie położyłem tam linoleum. Podłogi były do wymiany i już.

Spytałem z głupia frant, czy niczego po ich zerwaniu nie znaleziono. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Niby co, skarb jakiś? Panie, jak tam nawet coś było, Ruscy to na pewno znaleźli.

Albo był znakomitym aktorem, albo naprawdę nic nie ukrywał. Spytałem go o Daniłycza. Okazało się, że podłogi kładł właśnie on.

- Ale, ale, co to pana właściwie obchodzi?

- Burak zaczynał się niecierpliwić. Dowiedziałem

153

się jeszcze tylko, że ta przebudowa, o którą han-dryczył się z konserwatorem, dotyczyła dodatkowego pomieszczenia na strychu.

Kiedy wychodziłem, w drzwiach otarłem się o tlenioną blondynkę z plikiem papierów w ręku, pewnie sekretarkę. Wionęło od niej ciężkimi, duszącymi perfumami. Spódniczkę miała tak krótką, że było spod niej widać bladoniebieskie majtki. Ale nogi miała kiepskie.

- Tylko pan tam za bardzo nie niuchaj. Rób pan swoje i... - zastanawiał się, czy powiedzieć „spierdalaj”, czy nie - ...znikaj - zdecydował się na wersję dla wykształconych, a może wyraził się elegancko ze względu na obecność damy. - Pan Zygmunt będzie miał na pana oko.

Więc goryl *vel* cyborg miał nawet imię.

Pojechałem tego dnia jeszcze do Wrocławia, gdzie odwiedziłem kawiarenkę internetową. Nie bez trudu znalazłem to, czego szukałem. Organizacja nazywała się Der Soboler Heimatbund i miała adres internetowy. Potem zalogowałem się do mojej poczty uniwersyteckiej i napisałem do nich uprzejmy list, zadając jedno pytanie. Nie do końca rozumiałem, dlaczego to zrobiłem. Nie sprawdzałem żadnej hipotezy, bo takiej hipotezy nie było. Chodziło raczej o wyeliminowanie jakiejś tam mglistej możliwości. W ramach szperania po poboczach, daję słowo.

Pałac po raz trzeci

Następnego ranka jadłem śniadanie tylko z młodym Voglem.

- A ojciec gdzie? - spytałem.

- Półtora metra pod ziemią - odpowiedział ponuro.
- Oooo, przepraszam... Myślałem, że pan Vogel...
- Ten stary Szkop moim ojcem? Ten przybłęda? Ochujał pan? Zbajerował moją matkę i tyle. Kasy nawiózł i ją kupił. - Wyglądało na to, że ten temat jest wyczerpany, więc nie próbowałem go pociągnąć.

Po przybyciu do Suchego Dębu natknąłem się na córkę nieszczęsnego Daniłycza, Bernadetę. Stała na przystanku autobusowym. Podjechałem do niej i spytałem o profesora ze stolicy.

- Pan profesor Piątkowski? Mieszkał u nas latem zeszłego roku, zanim go pan Zięba nie wyrzucił. To było przed śmiercią tatusia. Bardzo tatę wypytywał o pałac po wojnie. Siedzieli wie czorami... popijali trochę... i tatuś opowiadał. Bo tatuś pracował tam jako palacz jeszcze za czasów domu starców. Pan profesor wypytywał o każdą pierdółkę. On spisywał dzieje pałacu czy coś. Wie pan, że on był potem na tatusia pogrzebie?

Spytałem o jego adres lub numer telefonu, ale nie miała. Nie został po nim żaden ślad.

155

Panna Julia wyraźnie rozpromieniła się na mój widok. A może tylko chciałem, żeby tak było? Tym razem otworzyła mi drzwi bosą, co pozwoliło mi zachwycić się jej wąskimi, pokrytymi delikatnymi żyłkami stopami o dość długich palcach...

Tego dnia zakończyłem mierzenie pomieszczeń na pałacowym strychu i na piętrze. Miałem niejakie kłopoty z przekonaniem goryla, że muszę także zajrzeć do jego pokoiku na poddaszu, owej kości niezgody między

właścicielem a konserwatorem. Być może chciał przede mną ukryć jedyny, poza łóżkiem i szafą, mebel w swoim ascetycznym pokoiku: nowoczesną konsolę z czterema ekranami. Pokazywały one obrazy z kamer umieszczonych na bramie, przed drzwiami wejściowymi, na tylnej ścianie pałacu i w kuchni. Ale ja przecież i tak widziałem, jaką funkcję pan Zygmunt tu pełni.

Wyniki pomiarów naniósłem na zgrubnie zrobione rzuty dwóch poziomów, jak zwykle pozostawiając dopracowanie szczegółów na chwilę, kiedy zostanę sam na sam z moim laptopem. Od Bączka dostałem program, który pozwalał mi na eleganckie i profesjonalne sporządzenie takich planów.

Panna Julia zaprosiła mnie znów na obiad i potem na herbatę do biblioteki. Było oczywiste, że nudzi się na wsi i korzysta z okazji, by

156

ubarwić sobie codzienność. Rozmowa z nią była miła i niewymuszona: dowiedziałem się, że Julia przerwała studia na czwartym roku dziennikarstwa. Miałem nadzieję, że udaje mi się ukryć przyjemność, jaką sprawiało mi przyglądanie się jej ruchom. Były pełne niebywale naturalnego wdzięku. W pewnym momencie zaproponowała, żebym na resztę mego pobytu po prostu przeniósł się do pałacu.

- Może wreszcie użyjemy jednego z tych pokoi gościnnych, które mamy - powiedziała.

Perspektywa wyprowadzki z niegościnnej kwatery u Vogłów była bardzo kusząca, jeszcze bardziej kusząca była perspektywa przebywania w pobliżu panny Zięby. Powiedziałem jej, że nazajutrz późnym południem wyjeżdżam na konferencję do Wrocławia, ale jak wrócę, to chętnie zamieszkam w pałacu. Zaproponowała, żebym przed wyjazdem przywiózł swoje rzeczy.

Po podwieczorku wyszedłem do pałacowego parku. Zapomniałem na śmierć o trzech muszkietkach i konieczności uprzedniego ich spacyfikowania. Byłem już w połowie drogi do uschniętego dębu, kiedy bezszelestnie wybiegły zza węgła.

Stałem. Podbiegły i okrążyły mnie. Milczały. Patrzyły na mnie uważnie. I w tym krytycznym momencie dostrzegłem lekki ruch w okolicach ogona jednego z nich. Był najchudszy i pewnie dlatego nosił imię Portos.

157

- Portos - powiedziałem pieszczotliwie, a jego ogon wyraźnie drgnął.

Ogonacja nie była intensywna, te psy miały swoją godność; widać było jednak, że dawno nikt ich nie pieścił.

- Kochane psisko - powiedziałem, a on wyraźnie podstawił mi łeb do pogłaskania.

Jako drugi zbliżył się ten z jednym uchem bardziej, Aramis. Atos był najbardziej powściągliwy. Po chwili nie mogłem już nadażyć z głaskaniem spragnionych pieszczot psich łbów.

Po minucie psy pobiegły tam, skąd przyszły (Portos z wyraźnym ociąganiem), a ja zbliżyłem się do dębu. Po prostu musiałem go dotknąć. Zaklinowałem między prętami znaleziony nieopodal kołek, wszedłem na niego, potem na szczyt ogrodzenia i zeskoczyłem po drugiej stronie. Podszedłem do starego drzewa. Coś kazało mi włożyć rękę w dziuplę. Czego szukałem? Nie bardzo wiedziałem. Ale coś znalazłem. Moja ręka natknęła się na chłodną, lekko chropowatą powierzchnię. Spróbowałem innej dziupli, położonej z drugiej strony. To samo. Gdy popukałem kłykciami, usłyszałem - albo zdawało mi się, że słyszę - głuchy dźwięk. Jak się wydawało, w pusty pień wstawiono żeliwną rurę o dużej średnicy. Domyśliłem się, że był to kiedyś prymitywny sposób na przedłużenie życia staremu dębowi, na to, by spróchnia-

158

ły pień nie załamał się w **pewnym momencie pod** własnym ciężarem.

Jechałem z powrotem do miasteczka, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że zostawiłem w pałacu wszystkie notatki. Postanowiłem natychmiast zawrócić, więc nacisnąłem hamulec. I to uratowało mi życie: inaczej nie zdążyłbym się schylić w momencie, gdy dostrzegłem tę linkę. Poczułem tylko, jak stuknęła mi w kask i przejechała po plecach. Zatrzymałem harleya i cofnąłem się. Była to pleciana stalowa linka o niewielkiej grubości, ale zapewne o dużej wytrzymałości, rozciągnięta w poprzek drogi między dwoma drzewami. Na tyle cienka, by jadący szybko motocyklista zauważył ją dopiero na ułamek sekundy, zanim zetknęłaby się z jego szyją, albo nie zauważył jej w ogóle.

Przeprowadzka

To, co się stało, sprawiło, że zrobiłem się czujny. Pewnie tylko dlatego zauważyłem, że ktoś był w moim pokoju u Vogłów i otwierał zostawione tam przeze mnie motocyklowe sakwy. Tej nocy zabarykadowałem się i długo nie mogłem zasnąć.

159

Dziwna sprawa, w swojej bezbrzeżnej naiwności aż do zdarzenia na drodze nie myślałem, że ja też mógłbym stać się celem dla mordercy. Na zdrowy rozum byłem jednak chyba dużo bliżej wyjaśnienia tajemnicy niż Bandura.

Zastanawiałem się, co on właściwie odkrył. Nie wszedł przecież nawet na teren pałacu. Czy wymknęło mu się przy kimś jakieś nieopatrzne słówko? Czy po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie? A może morderca znał go z telewizji i stwierdził, że znany specjalista od starego malarstwa musi wiedzieć, czego szuka i gdzie to może być.

Po śniadaniu ze starym i młodym Voglem - jak zwykle usługiwała Voglowa - powiedziałem, że wyjeżdżam do Wrocławia i że już do nich nie wrócę. Nie

zareagowali. Próbowałem nawiązać rozmowę ze starym, pytając go, kiedy usechł dąb w pałacowym parku. Odburknął, że po wojnie.

Zapłaciłem za pobyt, spakowałem mój niewielki dobytek do sakw, zamocowałem je na harleyu i podjechałem na posterunek policji. Jako praworządny obywatel chciałem donieść podkomisarzowi Żebro o próbie zamachu na moje życie. Trzepoczącego rzęsami policjanta nie było jednak w pracy. Podjechałem więc do sklepu Voglowej, żeby zrobić zakupy. Kiedy wchodziłem do środka, minąłem się w drzwiach z niewysokim, ubranym na czarno ciemnowłosym gościem, który spojrzał

160

na mnie uważnie. Dopiero po dłuższej chwili mój biologiczny procesor przetrawił dostarczone informacje wizualne i uderzył na alarm: zdałem sobie oto sprawę, że typ miał w ręku laseczkę. Jak oparzony wyskoczyłem ze sklepu. Kulawego nie było nigdzie widać. Mógł pójść w prawo albo w lewo. Ruszyłem w prawo i dobiegłem do najbliższego rogu. Nigdzie go nie było. Ruszyłem w lewo. To samo. Jak na kulawego musiał przemieszczać się nad wyraz szybko.

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do IPN-u we Wrocławiu, do Kowalika.

- Ten Piątek, co przeglądał u was teczkę z Suchego Dębu. Widział go pan? - spytałem. Zdziwił się.
- Owszem, to ja przynosiłem mu teczkę. To w końcu moja praca. Pamiętam go, bo z naszego działu bardzo rzadko coś teraz wydajemy. Miał ze czterdzieści pięć lat. Nieduży, w typie... Goebbelsa. Mocno kulał.

Zadzwoniłem jeszcze do Szustera. Miałem szczęście, akurat był w domu.

- Słuchaj, ten dziennikarz, który pytał cię o Muzeum Kurlandzkie, znalazłeś jego wizytówkę?

- Nie, ale wiem, gdzie jest. Przynieść?

Poprosiłem go o to. To, że nie pamiętał, co na wizytówce jest, ale pamiętał, gdzie ją ma, było typowe. Pamiętał tylko to, co go

żywo obchodziło. Poza tym w pamięci podręcznej przechowywał

161

głównie adresy, informacje o tym, gdzie co znaleźć. Ja miałem tak samo. Tych, którzy całą swoją wiedzę mają w głowie, jest coraz mniej. Po półminucie wrócił.

- Już jestem. Piątek. Redaktor J. Piątek. „Echo Regionu”. Bez numeru telefonu.
- Jakiego regionu?
- Nie jest napisane. A co z nim?
- Nic takiego... Jak ten gość wyglądał?
- Mały, taki... Aznavour. Utykający.

Podjechałem na rynek, gdzie usiadłem na ławce. Siedziałem tam z pół godziny, popatrywałem to na attykę ratusza, to na podcienia, z ostantacyjnie obojętną miną, ale Kusego (jak go zacząłem w myślach nazywać) nigdzie nie było. Nie miałem już wątpliwości, że Mefisto, dziwny klient Sowy Przemądrzałej, spotkany dopiero co gość w sklepie Voglowej, redaktor z nieistniejącego periodyku oraz profesor z fikcyjnego uniwersytetu to jedna i ta sama osoba. Czy tak zaczyna się paranoja?

Ale czy trzech mężczyzn z poderzniętymi gardłami byli wytworem mojej wyobraźni? Czyż rozciągnięta w poprzek drogi stalowa linka nie istniała w rzeczywistości?

Jechałem do pałacu powoli, rozglądając się na boki, z ciałem spiętym od adrenaliny i gotowym do reakcji na każde zagrożenie; nic nadzwyczajnego jednak nie nastąpiło.

162

Piękna Julia przyjęła prezent w postaci zakupów, które zrobiłem. Pokoje gościnne znajdowały się na piętrze; pani domu przydzieliła mi jeden z nich.

Zaniósłem tam sakwy.

Tego dnia wymierzyłem parter i piwnice. Na parterze poza holem były jeszcze cztery pomieszczenia: duża jadalnia, kuchnia i łazienka w lewym skrzydle oraz wielka sala balowa, zajmująca całe prawe skrzydło. Naprzeciw wejścia do niej, w odległym końcu pomieszczenia stał ogromny marmurowy kominek.

Był to zapewne jedyny element wyposażenia wnętrza, który znajdował się tam przed wojną, obejrzałem go więc szczególnie dokładnie. Jego jedyną ozdobę stanowił herb von Eichendorfów na opadającym ukośnie kominie. Przedstawiał on dwie zwrócone do siebie przodem, stojące na tylnych łapach wiewiórki, trzymające w przednich łapkach wielkie żołędzie. Palenisko było mocno okopcone. Po prawej stronie kominka znajdował się metalowy kosz na polana, po lewej, przyśrubowany do marmurowego okrągłego cokołu, był rodzaj metalowego stojaka z zawieszonymi na nim narzędziami: wielkim pogrzebaczem, masywną szuflą na długiej ręczce i takąż miotłą. Stylowo pasowały one do ozdobionego mosiężnymi gałkami stojaka i zastanawiałem się, czy możliwe jest, by pochodziły z czasów przedwojennych. Uznałem, że to niemożliwe i że dorobił je obdarzony

163

wyjątkowym wyczuciem stylu rzemieślnik już po wojnie. Oględziny kominka przerwano mi zaproszeniem do stołu. Cyborg o imieniu Zygmunt zjadł z nami, nie odezwawszy się ani słowem.

Po obiedzie jak zwykle wypiliśmy herbatę z panną Julią, która zabawiała mnie opowieścią o wizycie jakichś krewnych dawnych właścicieli pałacu, których jej ojciec nie wpuścił nawet do parku. Jej stosunek do ojca był ambiwalentny. Niekiedy w jej słowach czuć było pogardę dla jego prostactwa, niekiedy podziw dla jego... Czy ja wiem? Witalności?

Doszedłem do wniosku, że gracia, z jaką dziewczyna trzyma filiżankę, powinna zostać uwieczniona na wszelkich możliwych nośnikach i złożona w Sevres obok

wzorca metra.

Po obiedzie zszedłem z moją miarką do piwnic. To tam oczywiście znajdowała się pierwotnie kuchnia, ale jedynym śladem, jaki po niej pozostał, była wyłożona biało-niebieskimi kamiennymi płytkami podłoga. Pomieszczenie to, tak jak i pozostałe w piwnicach, używano teraz do celów gospodarczych. W piwnicach pokładałem oczywiście duże nadzieje, ale zbiory Muzeum Kurlandzkiego bynajmniej nie czekały tam na mnie, elegancko wyeksponowane przy wykorzystaniu skąpego światła z małych okienek...

Znalezioną w piwnicy brezentową płachtą przykryłem harleya, ponieważ postanowiłem dać

164

mu parę dni wolnego i poruszać się bezpieczniejszymi środkami lokomocji. Przed wyjazdem wpisałem jeszcze do komputera nowe dane i wygenerowałem obraz rzutów parteru i piwnic.

Tymczasem zaczęło zmierzchać. Złapałem więc zdezelowany autobus i wyruszyłem do Sobola, a stamtąd nieco lepszym - do Wrocławia. Po godzinie już tam byłem, wsiadłem do taksówki i udałem się do hotelu, w którym zakwaterowano uczestników konferencji.

Bar wzięty

Jeszcze zanim otworzyłem drzwi do hotelowego baru, usłyszałem podniesiony głos profesor Aurelii Dziubińskiej, wyraźnie się z kimś sprzeczącej. Mówiła o ton za wysoko, co oznaczało, że pobrała już co najmniej dwa drinki. Wszedłem dyskretnie, zamówiłem szklaneczkę metaxy, przysiadłem z boku i próbowałem zorientować się, o czym mowa.

Bar zosta! całkowicie opanowany przez historyków sztuki, uczestników

konferencji. W dyskusji, której głośny fragment słyszałem za drzwiami, chodziło o architekturę zamków. Profesor Orsza z Wybrzeża, elegancki i kulturalny gej, dowodził, że „zamkowość” jako kategoria estetyczna

165

jest efektem harmonijnego dobudowywania do pierwotnej bryły tego, czego wymaga w danym czasie obronność zamku. Powstaje w ten sposób budowla na nieregularnym planie, która wszelako zawsze ma jakieś walory estetyczne. Glizda twierdziła natomiast, że końcowy efekt takich przebudów może być absolutnie koszmarny, i zachęcała wszystkich, by obejrżeli zamek w Niemodlinie na jej rodzinnej ziemi, o bryle - jak to barwnie określiła - bezsensownej, pokracznej i jednoznacznie poronionej. Utrzymywała, że spontaniczne dobudówki i przybudówki są jak polipy obrastające i zniekształcające zatopione statki, a dla pozytywnego efektu tego typu dodatki muszą zostać starannie zaplanowane. Jako przykład podała przedziwne zamczysko w Mosznej. Opisała zebrany ową budowlę szczegółowo i zaoferowała pokaz cyfrowych zdjęć przez siebie tam zrobionych.

Byłem przypuszczalnie jedynym z zebranych, który wiedział, skąd u Glizdy taka znajomość owego obiektu. W Mosznej mieściła się klinika nerwic, i to tam Glizda spędziła dwa miesiące po śmierci Bandury.

Jeździłem kiedyś po Górnym Śląsku i pamiętałem ten pałac: ciemny, ponury i przytłaczający obiekt o iście disneyowskich kształtach, zbudowany ze sto lat temu za ciężkie pieniądze jakiegoś arywisty; budowla na mocno nieregularnym

166

planie, klasyczny przykład późnej dyletanckiej architektury historyzującej, pełnej wież, wieżyczek, balkoników, tarasów i wykuszy, podanej na domiar złego w ciężkim sosie ozdób i ozdóbek.

Cała ta dyskusja moich uczonych kolegów była oczywiście bez sensu,

ponieważ jak wiadomo obiektywnych kryteriów estetycznych nie ma i zbyt wiele zależy od indywidualnych gustów adwersarzy.

Rozmowy tego typu wśród historyków sztuki były typowe dla wczesnej fazy konferencyjnych wieczorów w barze; w fazie późniejszej sztuka na ogół gdzieś zniknęła i pojawiały się motywy dużo bardziej przyziemne, takie jak polityka; faza trzecia to był już często pijacki bełkot.

Nagle Glizda spostrzegła mnie, wydała okrzyk radości i rzuciła się w moją stronę, potrącając po drodze stoliki i krzesła. Objęła mnie czule i ucałowała, krzycząc:

- Jak to dobrze, że jesteś, Karolku!

Zrobiła to ostentacyjnie, żeby zebrani w barze samcy zobaczyli, w jak bliskich stosunkach Glizda pozostaje z młodymi mężczyznami. Pomyliłem się więc; pani profesor miała w organizmie już trzy drinki, a może napoczęła czwarty.

Poczułem zażenowanie, ale przecież Glizda była z tej samej konstelacji... Więc też ją uściskałem i dałem się zaprowadzić do jej stolika.

167

Pożyczyłem od niej program konferencji, którego wskutek moich peregrynacji do miejsca śledztwa i śmierci Bandury nie zdążyłem poznać. Ledwo go otworzyłem, kiedy na stronie zawierającej rozkład drugiego dnia rzuciło mi się w oczy: Mareike van R., University of Leyden.

Poczułem znajome ściśnięcie w okolicy jąder, jeszcze zanim dotarło do mnie, że lada dzień ją zobaczę. Nie miałem pojęcia, że Mareike przyjedzie na tę konferencję. Cóż ona mogła mieć wspólnego z naszymi Ziemiemi Zachodnimi? Wyraźnie jednak miała. Referat, który zgłosiła na konferencję, nosił tytuł: *The Dutch Architects of the Sonnenburg Palace*.

Trąciłem Glizdę i pokazałem jej tę pozycję.

- A, to ta holenderska krówka Franciszka

- powiedziała z nieukrywaną niechęcią, na tym

etapie unietrzeźwienia zupełnie nie starała się kryć swoich uczuć. Dopiero teraz przypomniałem sobie, jak na sesji na temat baroku w naszym oddziale Muzeum Narodowego kilka lat temu Glizda do upadłego sprzeczała się z Mareike na temat jakiejś definicji.

O co tu chodzi? - spytałem.

- Pałac w Słońsku pod naszą zachodnią granicą - odpowiedziała. - Już go nie ma. Van Campen maczał w nim palce.

Nie miałem pojęcia, że słynny holenderski architekt, twórca ichniego klasycyzującego baroku,

168

przyczynił się do powstania czegoś na terenie Polski. Cholera, jakże mało wiedziałem.

Poczułem się nagle bardzo, bardzo zmęczony. W barze pojawił się właśnie profesor Dąbrowa. Ucieszyłem się na jego widok: w końcu on też był planetą w naszym układzie... Porozmawiałem więc z nim chwilę, pożegnałem się z Glizdą, innym powiedziałem ogólne „dobranoc” i poszedłem do swojego pokoju.

Mimo zmęczenia nie zasnąłem od razu, bo męczyło mnie wspomnienie bujnego ciała Marei-ke. Nie jest łatwo zasnąć z drewnianym kołkiem przywierającym do brzucha.

Rycząca czterdziestka

Następnego dnia rano obudziło mnie walenie do drzwi. Otworzyłem. Przedemną stała Glizda. Wyglądała strasznie. W narzuconym szlafroku, w pozycji lekko skrzyżowanej, była seledynowa na twarzy, pod oczami miała worki o dużej

pojemności, włos zmierzwiony.

- Karol, ratuj. Umieram. Za czterdzieści pięć minut mam referat i nie chcę rzygnąć zaraz na wstępie - powiedziała słabym głosem.

Wciągnąłem ją do pokoju i z hotelowej lodówki wyciągnąłem puszkę piwa, którą miałem pod

169

ręką na takie okazje. Wypiła łąpczywie i od razu poweselała. Zostawiłem ją i poszedłem do Dąbrowy, który był lekomanem. Wiedziałem, że na pewno coś ze sobą przywiózł. Nie zawiódł mnie: wróciłem do pokoju z saszetką jakiegoś witaminowego preparatu.

Glizda leżała w poprzek mojego łóżka i pochrapywała. Piwo rozpuściło alkoholowe osady w jej żołądku, ten zassał je natychmiast, procenty wdarty jej się do krwiobiegu i Glizda urznęła się jak ta lala.

Patrzyłem na nią z lekkim wstrętem, ale nie bez ciekawości. Zza poły szlafroka wychynęła jej jedna pierś, wcale pełna, jak się okazało. Nogi miała długie i - trzeba przyznać - kształtne. Ale ogólne wrażenie sprawiała dość obrzydliwe, może przez brak makijażu i włosy sterczące na wszystkie strony, jakby na jej głowie eksplodował niewielki granat zaczepny. Pozwoliłem jej chwilę pospać, a sam wziąłem prysznic i ubrałem się. Po czym wytrząsnąłem ją ze snu i protestującą, ubzdryngoloną, zaprowadziłem do łazienki. Nie zdejmując z niej niczego, wepchnąłem ją pod prysznic, odkręciłem zimną wodę i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Skuliłem się, czekając na wrzask, o którym wiedziałem, że nastąpi. Nastąpił. Po czym nastąpiła cisza, zakłócana tylko przez szum wody. W końcu Glizda wyszła, włosy miała mokre, tułów owinie-

170

ty moim ręcznikiem, pod pachą niosła zwinięty w kłębek, zupełnie mokry

szlafrok. Wzrok miała błędny. Podałem jej szklanekę z witaminami. Wypiła posłusznie. Kazałem jej stawić się na śniadaniu za piętnaście minut i wypchnąłem za drzwi, modląc się, żeby nikt nie widział, jak wychodzi z mojego pokoju.

Kiedy przyszła do kafeterii, wyglądała już jak istota ludzka, chociaż wzrok miała dalej lekko błędny. Podałem jej duży, ostudzony trochę kubek mocnej kawy, który wypiała duszkiem. Zostawiłem ją z drugim i poszedłem pogadać z Dąbrową. Pół godziny później zasiedliśmy w sali wykładowej, położonej niedaleko od hotelu, piętnaście minut na piechotę.

Glizda spóźniła się trochę, ale wyglądała już względnie normalnie. Zaczęła wykład ze zwykłą swadą, prezentację miała dobrze przygotowaną. Okazało się, że w renesansowym pałacu w Lan-genau (obecnie Czernica) zachowały się piękne heraldyczne polichromie z XVI wieku. Graniczyło to z cudem, zważywszy, że pałac przechodził różne koleje losu, a w latach osiemdziesiątych ponoć stacjonowała w nim jednostka ZOMO. Polichromie znajdowały się w trakcie restauracji, ale nawet na tych jeszcze nieruszonych widać było piękną kolorystykę i delikatny rysunek labrów na hełmach wieńczących herby dawnych śląskich rodów. Dookoła sali pod herbami biegł szlaczek, ukazujący

171

blat nakrytego do uczyty stołu, z leżącymi na nim gronami winnej latorośli i innymi owocami, stały tam też wazy z kwiatami, świeczniki, puchary, a na jednej ze ścian na owym stole umieszczono symbole zodiakalne. Nad drzwiami dość niespodziewanie widniała scena z Chrystusem na krzyżu.

Przypomniała mi się jedyna książka, którą dostałem niegdyś od Bibiany: *Pieśń o miłości i śmierci kometa Krzysztofa Rilke*. Czy ten młody kawalerzysta, którego romans z panią na zamku trwał równie krótko jak te dzisiejsze, rozpoczęte na dyskotece, nie był właśnie z Langenau?

Na potrzeby wykładu Glizda zidentyfikowała większość znajdujących się na ścianach herbów i przetłumaczyła zdobiące je inskrypcje. Referat zakończyła

słowa najwyższego uznania dla obecnego właściciela pałacu i pochwałą jego gościnności, zapewniając obecnych, że historycy sztuki zawsze zostaną przez niego życzliwie przyjęci.

Przez resztę dnia Glizda krążyła po mojej dalekiej orbicie, którą zacieśniła tylko wtedy, gdy rozmawiałem z Włodkiem Wiśniewskim z Lublina, zwanym przez kolegów Piękny Włodeo.

Włodeo był ozdobnym mężczyzną, rozwodnikiem, posturę miał słuszną i lekko gapiowaty wyraz twarzy. Liczył sobie ze trzydzieści pięć wiosen. Naukowo udzielał się nieznacznie, opublikował zaledwie kilka przyczynkarskich artykułów, wyekstrahowanych ze swojej pracy magisterskiej

172

i doktorskiej, a teraz parł prostą drogą do habilitacji. Nie naraziwszy się nikomu, mógł liczyć na to, że przejdzie ona gładko i da mu upragnione stanowisko profesora. „I wtedy będą mi mogli skoczyć”, jak się kiedyś przy wódce wyraził.

Uczonych takich jak Włodeo, którzy z w miarę bezbolesnej drogi awansu uniwersyteckiego uczynili sposób na wygodne życie, znajdziecie w każdym instytucie. Istniejący system promuje bowiem nie tyle aktywność naukową, ile raczej umiejętność opublikowania pewnego minimum z odpowiednim rozłożeniem w czasie, no i mozolnego wygenerowania Wielkiego Dzieła, będącego na ogół niestrawnym, nieczytanym przez nikogo gniotem. Włodeo miał zamiar wykorzystać tę cechę systemu. Był skądinąd znakomitym kompanem do kieliszka.

Glizda obeszła go dyskretnie i dobrze sobie obejrzała. Kiedy po południu wracaliśmy do hotelu, a ja rozglądałem się, wypatrując, czy nie przyjechała już Mareike, przyłączyła się do mnie.

- Karolku, nawet nie wiesz, jaka ci jestem wdzięczna... Uratowałeś mi życie. Byłam denatka.
- Ależ skąd, każdemu się może zdarzyć... - wymamrotałem bez przekonania. -

Pani... Twój referat bardzo mi się podobał. Dobre zdjęcia. Piękne polichromie. Wybiorę się tam kiedyś, żeby je zobaczyć.

- 173

Machnęła ręką.

- Słuchaj, ty dziś rozmawiałeś z takim młodym gościem w kraciastej marynarce... Możesz mi go wieczorem przedstawić? - Zaskoczyła mnie otwartością tej prośby.

- Oczywiście - powiedziałem.

- Karolku, usiądźmy na chwilę - poprosiła.

Spoczęliśmy na ławce przed hotelem. - Słuchaj, Karolku, jak myślisz... jako mężczyzna... Co po winnam zrobić, żeby... go mieć?

Wybałuszylem na nią oczy. Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta tak otwartym tekstem artykułowała swoje erotyczne pragnienia. I to komuś, kogo ledwo zna. Poczułem dla niej litość, ale też pewien podziw. Pożałowałem, że nigdy nie poznała Gerwazego - ten by ją dowartościował... A potem przypomniałem sobie jego przypadłość i ścierpła mi skóra. Podziękowałem więc Bogu, że nigdy nie spotkała Gerwazego.

- Zaszokowała cię moja bezpośredniość, co?

- powiedziała, patrząc na mnie znad okularów.

Nic nie odrzekłem.

- Karol, widziałeś mnie dziś rano w stanie takiego rozesrania, że jest mi już wszystko jedno

- powiedziała i uśmiechnęła się dość ujmująco.

Poczułem się za nią dziwnie odpowiedzialny. Glizda była wszak z mojej konstelacji, z układu Bandury, i czułem z nią powinowactwo. Musiałem też przyznać, że trochę ją polubiłem. Chole-

ra. Postanowiłem się nie obcyndalać. Tak **jak ona** się nie obcyndalała.

- Aurelio - powiedziałem. - Mężczyzna skonstruowany jest prosto. A Włodeo nawet prościej niż inni. Masz pewne walory, podkreśl je. Bądź wyzywająca, ale tylko dla niego. Pójdzie za tobą jak w dym. - Bałem się, że przegiąłem z tą obcesowością, ale nie. Glizda spojrzała na mnie psim wzrokiem.

- O jakich walorach mówisz, Karolku?

Zniecierpliwiłem się i postanowiłem wywalić kawę na ławę:

- Masz niezłe nogi, włóż najkrótszą kieckę, jaką masz. Pończochy, szpilki. - Tu znów pomyślałem o Gerwazym. - Pokaż mu, że to pończochy, a nie rajstopy, bo tych dziewięciu facetów na dziesięciu nie cierpi. Masz biust, pokaż go. Wzięłaś coś z ostrym dekoltem?
- Wzięłam... - powiedziała niepewnie.
 - No i makijaż. Ciut ostrzejszy. Krwista szminka. Masz?
 - No... Pożyczę od Sobańskiej - powiedziała.
 - No i... nie pij tyle. Przede wszystkim nie pij tyle - dodałem.

Wieczorem w barze zabrałem Włodea na stronę i powiedziałem mu, że chce go poznać profesor Dziubińska.

- Ta rycząca czterdziestka? - spytał z wątpiewaniem.

- Włodek, ona jest naprawdę niezła. Popatrz tylko na nią - powiedziałem z przekonaniem.

Rzeczywiście, Glizda prezentowała się nieźle. Siedziała jak telewizyjne panie redaktorki na talk--showach, z nogą założoną na nogę i łydkami złożonymi razem pod ostrym kątem do podłogi. Spódnicę miała króciutką (czyżby pożyczoną od Sobańskiej?), bluzkę z ostrym dekoltem, piersi ściśnięte razem i wypchnięte do góry przez stosowny stanik, makijaż wyrazisty, w uszach duże kolczyki, usta ostro czerwone. Złapałem się na tym, że patrzę na nią oczami samca. Do czego to doszło! Gerwazy uśmiełby się do łez.

Zaprowadziłem Włodea do niej.

- Doktor Wiśniewski, pani profesor Dziubińska

-■ przedstawiłem ich sobie i ewakuowałem się.

Tak oto zostałem rajfurem.

Czekając na Mareike, popijałem metaxę i dyskretnie obserwowałem rozwój sytuacji. Słyszałem, jak Glizda śmieje się perliście z kiepskich dowcipów Włodea. Nie piła. Taniec godowy tych dwojga trwał około godziny; kiedy wychodzili razem, spytałem Dąbrowę, z którym siedziałem przy jednym stoliku:

- Panie profesorze, czy pani profesor... czy Aurelia zawsze taka była?
- Skąd - powiedział smętnie Dąbrowa. - Zrobiła się taka po rozstaniu z Franciszkiem.

- 176

Moja Holenderka nie pojawiła się w hotelowym barze. Tej nocy znowu zasypiałem z bolesną erekcją. Bo chociaż starałem się myśleć o moim śledztwie w Suchym Dębnie, moje myśli tak czy inaczej powracały do nocy w Wiśle i bujnej nagości Mareike.

Nieszczęsny pałac w Słońsku

Nie widząc Mareike na śniadaniu, pomyślałem, że odwołała swój przyjazd. Ale

nie. O 10.45 wkroczyła na salę wykładową.

Wyglądała znakomicie. Zrzuciła parę kilogramów, dalej promieniowała spokojną pewnością kobiety, która doskonale wie, ile jest warta. Gdy zmierzała w stronę mównicy, jej ciężkie piersi kołysały się w miękkim staniku, a pośladki poruszały się w górę i w dół, przyprawiając mnie o znajomy niepokój w okolicy jąder. Zobaczyła mnie w drugim rzędzie i uśmiechnęła się w moją stronę z sympatią.

Dobłą chwilę trwało, zanim zaczęło do mnie docierać, o czym mówi. Okazało się, że należący do zakonu brandenburskich joannitów i zniszczony przez Szwedów zamek w Słońsku odbudowali w połowie XVII wieku jako pałac Holendrzy: Cornelius Ryckwaert, sławny Jacob van Campen

177

i Pieter Post. Dwaj ostatni zajmowali się jego wnętrzami. Okazało się też, że jest nawet bezpośredni związek między Lejdą a Słońskiem: Post wybudował mianowicie w rodzinnym mieście Mareike wagę miejską... Dokończył prace nad wystrojem pałacu, gdy jego mistrz, architekt dżentelmen van Campen, zmarł w trakcie budowy.

Najciekawsze jednak było to, czego dowiedzieliśmy się później. Pałac przetrwał ostatnią wojnę w stanie nienaruszonym. Przetrwał też próbę rozbiórki zainicjowaną przez miejscowych ideologów, dla których był „niemiecką bazą wypadową na wschód”. Rozszabrowany dość wcześnie, stał sobie i niszczał spokojnie, będąc solą w oku miejscowych władz, poczuwających się do opieki nad nim, a niemających na to środków. Na szczęście dla prawie wszystkich zainteresowanych pałac spłonął w 1975 i nie trzeba było go już restaurować. Według miejscowych pożar nie był przypadkowy.

Mareike ilustrowała wykład rzucanymi z projektora cyfrowymi slajdami. Pokazywała plany i rzuty pałacu, a także zachowane przedwojenne zdjęcia wnętrz. Za każdym razem, gdy zwracała się w stronę ekranu, by trzymanym w

ręku małym laserowym wskaźnikiem zwrócić naszą uwagę na jakiś detal, jej ciężkie piersi kołysały się i na moment traciłem wątek.

178

Pałac obwieszony był malowanymi na deskach tarczami herbowymi członków zakonu, a także portretami co znamienitszych joannitów. Po wojnie trafiło to wszystko, oczywiście, nie na przykład do muzeum w Gorzowie Wielkopolskim, ale do Warszawy.

Przypomniałem sobie, jak ten ksobny odruch warszawskich muzealników doprowadzał Bandurę do wściekłości za każdym razem, gdy ktoś o tym wspomniał. Najbardziej głośna była sprawa wywiezienia wyposażenia Bazyliki Mariackiej w Gdańsku.

- Wywiezienie może w tamtym momencie było uzasadnione, ale nic, nic nie usprawiedliwia tego, że przez dziesiątki lat nie chcieli tego oddać!

- pieklił się profesor, kiedy była o tym mowa.
- Tak jak na przykład mebli z Zamku Cesarskiego w Poznaniu. Wywieźli je jak z niemieckiego miasta i zadekowali, proszę sobie wyobrazić, w Sejmie!

Wiem, że profesor prowadził swoją prywatną wojnę z „warszawskimi rabusiami” - jak ich nazywał - i gdy tylko wpadł na trop takiego przedwojennego pochodzenia eksponatów muzealnych, dyskretnie zawiadamiał o tym lokalne władze i pomagał potem w rewindykacji.

Według słów Mareike, tablice herbowe ze Słońska składowano latami w piwnicach Pałacu pod Blachą, po czym zaproponowano podobno ich odkupienie niemieckim joannitom. Ci, oburzeni,

179

odmówili odkupienia swojej własności, zaskakując tym zapewne oferentów - wszak właściciele skradzionych w Polsce samochodów skutecznie pertraktują ze złodziejami - sprzedano je więc w majestacie prawa zagranicznym handlarzom. W

związku z tą transakcją Mareike wymieniła nazwisko bardzo szacownego, nieżyjącego już warszawskiego profesora, który tę sprzedaż podzyrował. Najciekawsze jednak było to, że stało się to wszystko w latach dziewięćdziesiątych, kiedy zmierzaliśmy w stronę Unii Europejskiej, w której tyle się zawsze mówiło o wspólnym dziedzictwie kulturowym... W której Ziemia Lubuska i niemiecka Brandenburgia stały się częścią jednego euroregionu... Głupia sprawa.

Zobaczyliśmy piękne, kolorowe slajdy tych tablic. Udało się je zdobyć dzięki... Szwedom, którzy przez pewien czas opiekowali się wywiezioną z Polski kolekcją, docenili jej wartość, pokazali tablice na specjalnej wystawie w Sztokholmie i nawet wydrukowali na tę okoliczność luksusowy katalog. Może chcieli w ten sposób odkupić swoje winy wobec Słońska sprzed trzystu pięćdziesięciu lat?

Niektóre z tablic wartością artystyczną z pewnością nie ustępowały herbom z Langenau.

Kolekcja portretów z pałacu w Słońsku miała mniej szczęścia, rozparcelowano ją gdzieś dyskretnie; jeden z cenniejszych obrazów udało się ostatnio wyśledzić na ścianie pewnego warszawskiego mieszkania.

180

Kiedy Mareike skończyła mocnym akcentem, pokazując stan obecny pałacu, to znaczy jego wypaloną skorupę, rozległa się burza oklasków. Tylko w ostatnim rzędzie klaskano jakby słabiej. Siedzieli tam koleżanki i koledzy ze stolicy.

Planeta Mareike

Kiedy Mareike skończyła, nagle zdałem sobie sprawę, że od dłuższego już czasu mówiła nie na temat. Że wyszła daleko, daleko poza przedmiot wykładu. Przyszło mi też do głowy, że przecież nieznająca języka i tutejszych stosunków Hohen-derka nie zdołałaby przecież do tego wszystkiego dojść sama.

Zrozumiałem, że dowiedziała się tego od Bandury i teraz, mówiąc o tym publicznie, w pewien sposób wypełniała jego testament.

Po wykładzie zczekałem na nią. Wreszcie wyszła z sali wykładowej, podeszła do mnie i uśmiechnęła się. Objąłem ją niepewnie, a ona pocałowała mnie w policzek.

Zapachniało znanymi mi perfumami. Na torsie poczułem obłość jej piersi, na brzuchu wypukłość jej brzucha. Ku memu rozczarowaniu dowiedziałem się, że zaraz wychodzi, że lunch zje z dyrektorem muzeum, że na sesji popołudniowej jej nie będzie... Obiecała, że spotkamy się wieczorem w hotelowym barze.

181

Byłem tam wcześniej, lecz inni pojawili się jeszcze wcześniej. Nieliczni weszli już w trzecią fazę imprezowania, w której historycy sztuki zdolni są tylko do pijackiego bełkotu, ale większość utrzymywała się w fazie pierwszej lub drugiej: w powietrzu krzyżowały się komentarze do dzisiejszych wykładów i utyskiwania na aktualne polityczne produkty medialne. Ani jedne, ani drugie uwagi nie były specjalnie błyskotliwe.

Wpadłem w dziwny nastrój. Patrząc na tę całą menażerię, zastanawiałem się, w jakim stopniu jestem taki jak oni. I nagle znów mi się to zdarzyło: zobaczyłem rozgrywającą się przed moimi oczyma scenę jako obraz jakiegoś rozpasanego impresjonisty, dla podkreślenia wyrazistości postaci szczerze stosującego technikę *pastoso*. Faktura tego obrazu była bardzo zgrubna, kolory wściekłe.

Dotarłem wreszcie do czoła kolejki przy barze i zamówiłem szklaneczkę metaxy, ale nie zdążyłem jeszcze usiąść, kiedy podeszła do mnie Aurelia. Na holu miała wpatzonego w nią Włodea.

- Karolku, ty spałeś z tą krówką - powiedziała cicho, wionąc na mnie alkoholem. Było to stwierdzenie oczywistego faktu. Poczulem, że się czerwienię, ale postanowiłem iść w zaparte.

- Ależ skąd, skąd ta myśl? - wyjąkałem.
- Nie ściemniaj - powiedziała Glizda. - Widziałam te wasze niepewne uśmiechy po jej wy-

- 182

kładzie. Zastanawiam się tylko kiedy... Przecież nie za jego życia? No tak, po pogrzebie... - Po czym odwróciła się i odeszła, a Włodeo podreptał za nią jak piesek. Cholerna Glizda. Była trochę zbyt przenikliwa jak na mój gust.

Obserwowałem ich przez chwilę. Glizda miała nad Włodeo pełnię władzy. Właśnie pokazała mu swoją pustą szklanekę, a on zerwał się natychmiast i z niezwykłą jak na niego żwawością pomknął do baru po nowego drinka. Kiedy wyciągnęła papierosa, rzucił się do niej z zapalniczką. W barze obowiązywał zakaz palenia, ale Glizda miała to w dupie. Zupełnie nie przypominała proszącej o radę, zagubionej „ryczącej czterdziestki” z wczoraj. Zastanawiałem się, czym go tak wzięła; postanowiłem przy okazji o to spytać.

Mareike przyszła dopiero o dziesiątej. Wyglądała znakomicie. Patrzyłem na nią łakomie, kiedy nawigując zręcznie między stolikami, zbliżała się do mojego. Usiadła.

- *Sorry for coming so late* - powiedziała. - / *got held up.*

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Czułem dziwną nieśmiałość, ona natomiast była zupełnie swobodna.

- *That story of the Sonnenburg palace... It was Bandura's legacy, wasn't it? His last will and testament, right?* - wypaliłem. Spojrzała na mnie poważnie.

183

- *Yes. I think Frans would've wanted me to sory*

all that.

Znów przez chwilę milczeliśmy.

- *I'm leaving the hotel at 6.00 tomorrow morning* - powiedziała w końcu. - *I'd better go and get some sleep.*

Wstała, cmoknęła mnie w policzek i wyszła, a ja siedziałem jak sparaliżowany i mogłem tylko odprowadzić wzrokiem te jej poruszające się niezależnie od siebie pośladki...

Dopiłem swoją trzecią metaxę i ruszyłem do drzwi. Po drodze zostałem przytrzymany przez siedzącą tam z Włodeo Aurelię, która powiedziała:

- Oj, Karolku, chyba dziś tego nie dostaniesz...

- w jej głosie nie było satysfakcji. Było tylko suche stwierdzenie faktu, chociaż wydało mi się, że usłyszałem też nutkę współczucia.

Długo w nocy leżałem, nasłuchując dźwięków dochodzących z korytarza. Wiedziałem, że Marei-ke nie przyjdzie, bo nawet nie spytała o numer mojego pokoju, a jednak uczepiłem się nadziei. Bardzo powoli docierało do mnie, że noc w Wiśle mogła się zdarzyć tylko tam, a zwłaszcza tylko wtedy. Byłem dla niej za młody, nie byłem w jej typie, nic do mnie nie czuła, użyła mnie tylko jako dość bezwolnego narzędzia.

- A ty coś sobie uroił, dupku? Że jesteś dla niej partnerem do czegokolwiek? A może, że masz prawo do

184

odziedziczenia jej po Bandurze? - powiedziałem do siebie głośno i nie bez goryczy.

Po czym nastawiłem swój telefon komórkowy na budzenie i spróbowałem zasnąć. Szło mi to równie opornie co w dwie poprzednie noce.

Wpadka

Następnego ranka wstałem o wpół do szóstej i zacząłem się przed hotelem. Parę minut po szóstej pojawiła się Mareike, ciągnąc za sobą typową kabinową walizkę na kółkach. Wcale się nie zdziwiła na mój widok. Była wyraźnie zadowolona, że nie będzie sama jechać na dworzec. W taksówce wzięła mnie za rękę i trzymała tak przez całą drogę. Nie zamieniliśmy ani słowa. Zaprowadziłem ją do berlińskiego pociągu i zlokalizowałem jej wagon. Zaczęła wsiadać, ale nagle odwróciła się, podbiegła ku mnie i przycisnęła się mocno całym swoim ciałem do mojego - jak kiedyś w Wiśle. I ucałowała mnie tak samo miękko i tak samo mokro jak wtedy.

I wtedy usłyszałem zduszony okrzyk tuż obok. Rozejrzałem się i w wylewającym się z pociągu po drugiej stronie peronu tłumie zobaczyłem wykrzywioną twarz Pawlak.

185

Przyjechała widocznie nocnym pociągiem na ostatni dzień konferencji. Przypomniałem sobie, że na popołudniowej sesji miał być jakiś referat o joannickim kościele w Strzegomiu, który mógł ją zainteresować z racji tematu pracy magisterskiej.

Oderwałem się od Mareike i ruszyłem ku niej, ale Pawlak już zniknęła w tłumie.

Zobaczyłem ją dopiero na wykładzie. Usiadłem przy niej, ale zdążyłem tylko powiedzieć:

- Lucy, wiem, że pozory przemawiają przeciwko mnie...

Pawlak wstała i przesiadła się do innego rzędu.

Czułem się idiotycznie, bo byłem przecież niewinny. Ale czy na pewno? W końcu spałem z Mareike. A tu, we Wrocławiu, czy byłem niewinny? Przecież

miałem cały czas nadzieję na powtórkę tamtej nocy i nie zawahałbym się ani przez chwilę... Byłem winny jak cholera. Mężczyzna zawsze jest winny. Gerwazy powiedziałby pewnie to, co już kiedyś powiedział: „Wyżej dupy nie podskoczysz, Charles. Masz ten ciąg, czy tego chcesz, czy nie”.

Po wykładzie czekałem na nią. Tym razem nie uciekła.

- To koniec, Karol - powiedziała. - Właściwie przyjechałam tu do ciebie. Ale już cię nie chcę.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Stałem ze spuszczoną głową. Nie mogłem powiedzieć: „Nie

186

spalem z nią”, bo nie byłaby to prawda. Gdybym powiedział: „Nie spałem z nią tu, we Wrocławiu”, przyznałbym się, że spałem z nią gdzie indziej. Wpadłem na inny pomysł:

- Owszem, kiedyś z nią spałem, Lucy. Ale to było dawno. - Jak dawno jest „dawno”? Cholerny kłamca.
- Nie wierzę ci - powiedziała. Ta duża, dorodna dziewczyna zabrzmiała nagle jak mała dziewczynka.
- Lucy, dałem ci tyle wolności, ile chciałaś... - powiedziałem niepewnie.

Spojrzała na mnie jakby z niedowierzaniem.

- A nie przyszło ci do głowy... że może ja wcale tej wolności nie potrzebowałam? - Po czym odwróciła się i odeszła. Tym razem nie poszedłem za nią. Musiałem to wszystko przemyśleć.

Straciłem nagle zainteresowanie dla dalszego ciągu konferencji. Wróciłem do hotelu, spakowałem się i pojechałem na dworzec autobusowy. Na autobus do Sobola musiałem długo czekać. Siedziałem i dumałem o Pawlak. Czy rzeczywiście gotowa była poświęcić dla mnie swoją niezależność i swoje... erotyczne fantazje? A czy ja byłem gotów taką ofiarę od niej przyjąć? Może było mi po prostu

wygodnie tak, jak było? Żałowałem, że nie ma już Gerwazego. Znał się na kobietach i wyglądało na to, że i o mnie wiedział więcej niż ja sam. Na pewno dałby mi jakąś radę.

187

Wreszcie autobus przyjechał. Godzinę później byłem już w Sobolu i maszerowałem do Suchego Dębu. Jakies dwa kilometry przed wsią minął mnie jeep grand cherokee, powożony przez cyborga. Gdy dotarło do niego, że to ja, zahamował i cofnął się. Bez słowa otworzył drzwi. Milczał całą drogę.

Julia Zięba bardzo ucieszyła się na mój widok i zaprosiła mnie na herbatę. Kiedy przyglądałem się jej delikatnym rysom, długim palcom i szczupłym nogom, zrobiło mi się trochę wstyd, że przez ostatnie parę dni tak bardzo pożałowałem tamtej masywnej holenderskiej krówki.

Panna Julia

Obudziłem się nagle z uczuciem, że nie jestem w moim pokoju sam. Zapaliłem lampę. Julia stała nieruchomo przy moim łóżku, oczy miała błyszczące, wzrok błagalny. Miała na sobie o wiele za duży frotowy płaszcz kąpielowy, który podtrzymywała na brzuszku.

- Co się stało? - spytałem.

Wtedy puściła płaszcz, który rozchylił się, a potem zsunął z jej ramion.

- Chcesz mnie... taką? - spytała głosem nagle cieńszym niż ten, który znałem.

188

Zaskoczyła mnie kompletnie. Podziwiając jej niewątpliwą urodę, nie rozpatrywałem jej przecież dotąd w kategoriach seksualnych, patrzyłem więc na nią osłupiały.

Nigdy dotąd nie widziałem nagiej ciężarnej kobiety, musiałem jednak przyznać, że wystający brzusek wpisywał się dziwnie harmonijnie w całość jej ładnego, szczupłego ciała. Jej ciąża była chyba bardziej zaawansowana, niż mi się początkowo wydawało. Julia miała mocno wystające i spiczaste piersi, brodawki i sterczące sutki barwy bordo. Przez jej brzusek szła ledwo zarysowana, ciemna, pionowa pręga. Z mojej pozycji dokładnie widziałem nieco schowane pod brzuszkiem ciemne runo.

Julia wyczuła moją konfuzję i przejęła inicjatywę.

- Wstań - powiedziała i pociągnęła mnie za rękę. Wstałem posłusznie, a ona uklękła przede mną i odgarnęła z twarzy długie włosy. Cofnąłem się, bo to, co chciała zrobić, wydawało mi się dziwnie niestosowne. Przytrzymała mnie, a po minucie zrozumiałem, że bardzo chcę jej... takiej.
- Wybacz, Lucy - szepnąłem. Julia spojrzała na mnie pytająco. - Nic, nic - powiedziałem.

Położyliśmy się i wsunąłem się w nią od tyłu, bardzo, bardzo ostrożnie.

- Nie musisz tak uważać - szepnęła. - Ono

nie wypadnie.

189

Nigdy dotychczas ten akt w moim wykonaniu nie trwał tak długo.

Wdychałem zapach jej skóry i włosów, moje ręce już to błądziły po jej karku, ramionach, obrzmiałych, spiczastych piersiach, już to delikatnie podtrzymywały jej napięty brzusek, a ona pomrukiwała z lubością.

Potem trochę rozmawialiśmy. Jak się dowiedziałem, sprawca dziecka był za granicą, dokąd wysłał go burak, pod warunkiem że nigdy nie wróci.

- Ojciec najpierw go postraszył, potem kupił - powiedziała Julia z goryczą. - Gość się w tym momencie dla mnie skończył. Nie ma go. Nigdy nie istniał.

Później tej nocy dosiadła mnie, klęcząc, odrzuciła głowę do tyłu i wzięła mnie w swoim własnym tempie. Wiedziałem, że widoku jej podnoszących się i

opadających spiczastych piersi długo nie zapomnę.

Zasnęła odwrócona plecami, wtulona w moje ramiona, a ja wyobrażałem sobie, że zostaję tu, w tym pałacu, już na zawsze, jadam z nią posiłki, wychowuję razem z nią cherubinkowatego chłopczyka o złotych włosach (z jakiegoś powodu dziewczynka nie wchodziła w grę), a w nocy kocham się z nią godzinami. Myśl o buraku w charakterze teścia trochę mnie otrzeźwiła, ale wyobraziłem sobie, że nawet takiego typu można jakoś

190

oswoić. Rojąc tak, zasnąłem w końcu, a kiedy się obudziłem, jej już nie było.

Skrytka

Zjadłem śniadanie w kuchni sam. Myślałem cały czas o panie Julii, ale nigdzie jej nie było. Nie doczekawszy się jej, zabrałem się do pracy.

Żeby nie mieć do siebie później pretensji o jakieś niedopatrzenie, wyszedłem z pałacu i wymierzyłem jeszcze zewnętrzne ściany. Przy sporządzaniu dokumentacji architektonicznej robi się to rutynowo, żeby zbadać grubość muru. W starszych budynkach zbyt gruby mur może świadczyć o wcześniejszym pochodzeniu obiektu. Tu sprawa datowania nie była istotna, ale zrobiłem to i tak.

Myśląc o Julii, jej ciele i złotowłosym chłopczyku (tym razem biegał po trawniku, grając z Julią w serso, oboje ubrani na biało, a ja przyglądałem się im z wiklinowego fotela na tarasie pałacu), włączyłem komputer, otworzyłem rzut parteru i porównałem zewnętrzną długość ściany oraz sumę długości ścian wewnętrznych. No i zauważyłem coś interesującego: różnica ta wynosiła około trzech i pół metra. Odliczywszy nawet osiemdziesiąt centymetrów na grubość ze-

wnętrznego muru i kolejnych ścian wewnątrz, nie mogłem się doliczyć około metra czterdzieści. Ki diabeł?

Odganiając od siebie obraz siedzącej na mnie pięknej dziewczyny o mocno wystającym brzuszku, zabrałem się systematycznie do rzeczy. Kiedy porównałem wymiary, wyszło mi, że pałac jest dłuższy niż znajdujące się w nim pomieszczenia plus ściany między nimi, ale tylko na parterze i w piwnicach. Wyżej wszystko się zgadzało. Różnica w długości mogła dotyczyć tylko prawego skrzydła, bo w lewym, w szczytowej ścianie na parterze, znajdowało się okno, kuchenne zresztą. Po przeciwnej stronie pałacu okna nie było, był natomiast wielki kominek.

Udałem się do sali balowej i podszedłem do kominka. To dodatkowe półtora metra musiało więc być gdzieś za nim. Pochylając się nieco, wszedłem do kominka i opukałem jego zakopconą tylną ścianę. Był to solidny kamienny blok, absolutnie nie do ruszenia. Ściany po obu stronach kominka też były solidne, w żadnej z nich nie udało mi się wypukać ukrytych drzwi. Spojrzałem w górę, ale biegu komina nie można było prześledzić.

Zszedłem do piwnic. Ściana bezpośrednio pod ścianą „kominkową” była jednolita. Ale widziałem przecież, że za nią coś jest. Tylko co? Co można

zrobić w dwupoziomowym pomieszczeniu o szerokości niespełna półtora metra?

Wszedłem na zewnątrz i spojrzałem na pałacowe kominy, a zwłaszcza te sterczące nad szczytowymi ścianami obu skrzydeł. Ten nad prawym, od kominka, był wyraźnie grubszy niż ten od paleniska kuchennego po przeciwnej stronie pałacu. Dlaczego? Wszedłem na strych. Kominy są wszak czasem czyszczone, muszą zatem być dostępne. Znalazłem przeszkloną klapę tuż za kominem w prawym skrzydle, podniosłem ją i wysunąłem się na dach. Leżała tam deska, a

na kominie oddalonym o jakieś półtora metra znajdował się rodzaj gzymsu, gdzie można było jeden jej koniec zahaczyć. A więc tak robi to kominiarz. Oparłem koniec deski o gzyms i nie patrząc w dół, zbliżyłem się do komina i zajrzałem do niego. Był podzielony na dwie komory. Ta bliżej mnie była okopcona, ta druga zaślepiona. Nie był to więc komin, ale... co? Pół metra niżej w ścianie tej części komina znajdował się duży prostokątny otwór. Nie wiem, dlaczego nie widziałem go z dołu. Co to więc było, jeśli nie komin? Szyb wentylacyjny? Wrzuciłem tam kawałek dachówki. Spadał długo, pewnie do samej piwnicy.

Zszedłem z dachu i już miałem pójść na pierwsze piętro, kiedy zauważyłem uchylone drzwi do kanciapki pana Zygmunta. Widać było przez nie prawy dolny ekran konsoli, a na nim jakieś syl-

193

wetki. Podszedłem bliżej. Na środku kuchennej podłogi stał cyborg z rękami na biodrach, przed nim klęczała Julia. Nie wyglądało to jak czarno--biały film pornograficzny tylko dlatego, że oboje byli ubrani. Bo nie było wątpliwości co do tego, co ona mu robi. Dokładnie to samo, co zrobiła mi, kiedy przyszła poprzedniej nocy.

Cyborg

Sam nie wiedząc jak, znalazłem się na dole i zacząłem spacerować po parku. Powoli wychodziłem z szoku. „Ty naiwny matołku”, wymyślałem sobie. „Ty kretynie. Romantyczny durniu. Ona obciągnie każdemu, bo to po prostu lubi. Teraz ten tęgopytek posuwa ją pewnie na kuchennym stole”. Ale nie: pan Zygmunt wyszedł z pałacu, pogwizdując, podszedł do zaparkowanego tam jeepa Zięby i odjechał. Usiadłem na trawie, dalej trochę ogłuszony. Przypomniałem sobie wizję złotowłosego cherubinka i oswojonego buraka - i roześmiałem się w

głos. Portos, który w międzyczasie przybiegł i teraz stał przede mną, machając radośnie ogonem, przekrzywił łeb z zaciekawieniem.

Żeby nie myśleć o Julii, powtórnie zmierzyłem wewnętrzne ściany parteru we wszystkich po-

194

mieszczeniach i porównałem rezultat z otrzymanym poprzednio. Był prawie identyczny. Wszystko się zgadzało. Gdzieś za kominkiem i za ścianą w piwnicy była jakaś półtorametrowa komora. Z własną wentylacją.

Julia odnalazła mnie i zaprosiła na obiad. Przebywanie z nią sam na sam sprawiało mi w tym momencie przykrość. Obiad w ogóle mi nie smakował, ale zmusiłem się do jedzenia, jednocześnie walcząc z obrazem z kuchennej kamery, który natrętnie pchał mi się przed oczy. Nie podtrzymałem rozmowy, którą próbowała bawić mnie gospodyni, zresztą niezbyt intensywnie. Była wyraźnie podenerwowana, a jej ręce lekko drżały.

- Karol, czy coś się stało? - spytała w końcu.

- Nic takiego - odpowiedziałem.

Poszedłem potem do pałacowego parku i myśląc o moich nocnych rojeniach, snułem się tam aż do zmierzchu. Uważnie rozglądałem się po krzakach po drugiej stronie ogrodzenia, zastana wiając się, czy pałac jest pod czyjąś obserwacją. Pomyślałem, że stanowię łatwy cel dla człowieka z bronią palną, i zrobiło mi się nieswojo.

Nagle zobaczyłem światła samochodu. To wracał cyborg. Poczekalem, aż wysiądzie z samochodu i otworzy bramę, i podszedłem do niego.

Lekko się cofnął, kiedy mnie zobaczył.

- Widziałem was dzisiaj w kuchni - powiedziałem.

W światłach samochodu zobaczyłem, że krzywi twarz w grymasie, który przy odrobinie dobrej woli można było zinterpretować jako uśmiech. Nie przypuszczałem, że jest do tego zdolny.

- No i co z tego? - powiedział. - Nie żałuj mi, koleś. Ty też się możesz załapać. To ćpunka. Za proszek będzie ci ciągnąć druta o każdej pełnej godzinie.

Był zawodowcem, więc uchylił się. Ale ponieważ byłem ciut szybszy, niż się spodziewałem, mój sierp musnął go, i to dosyć mocno. Muszę przyznać, że trochę mi w tym momencie ulżyło.

Cyborg wrócił do pionu i pokręcił głową z niedowierzaniem. Zobaczył, że przyjmuję postawę, i automatycznie zrobił to samo: też musiał kiedyś boksować. Zamarkowałem prawy sierp, a kiedy na moment rozłączył podwójną gardę, wyprowadziłem szybki lewy prosty. Była to dość prymitywna sztuczka, której nauczyłem się zaraz, jak tylko zacząłem treningi. Bez problemów przyjął mój cios na powtórnie złączoną gardę. Nagle zrobił szybki ruch, a w mojej głowie eksplodowała supernowa. Usiadłem gwałtownie na glebie.

- Koleś... spokojnie. Nie ma o co się sprzeczać
- powiedział.

Kiedy zobaczył, że gramolę się z ziemi i przyjmuję postawę, znów pokręcił głową z niedowierzaniem. Przez mój rozchlupotany mózg przedarła

się konstatacja, że **rozsmaruje mnie tu na drodze**, jeśli tylko zechce.

- Naprawdę nie ma o co - powtórzył miękko. - Nie zmuszaj mnie do niczego, koleś. Nie chcę ci zrobić jakiegś krzywdy. Po prostu nie wchodź mi w drogę, a ja tobie też nie wejdę, dobra?

Staliśmy tak przez moment, w głowie mi łupało, a on patrzył mi w oczy prawie z sympatią. Opuściłem w końcu ręce, on uśmiechnął się do mnie krzywo, wsiadł do jeepa, jechał, zatrzymał się i wychylił z okna.

- Zamknij bramę, dobrze? - powiedział prawie przyjaźnie. - Musimy uważać, widziałem tu wczoraj jakąś obcą... Wyglądała mi na Cygankę. Może z poprawczaka w Sobolu?

Tego wieczoru zamknąłem drzwi mojego pokoju na klucz. Około północy usłyszałem na korytarzu lekkie kroki i klamka poruszyła się kilkakrotnie. Ktoś nie odszedł od razu: po minucie klamka poruszyła się jeszcze raz. I jeszcze.

W nocy nie mogłem zasnąć. W głowie wciąż mi łupało, a poza tym byłem na siebie zły, ponieważ musiałem przed sobą samym w końcu przyznać, że Julia zrobiła na mnie dużo większe wrażenie, niż przypuszczałem. Że oczarowała mnie, trzydziestolatka, jak chłopca. Że opuściłem gardę i dałem się boleśnie trafić. Pomyślałem po raz pierwszy o Pawlak. „Dobrze ci tak”, powiedziałem sobie w duchu. „To jest kara

197

za to, co jej robisz. Ta dziewczyna to skarb. Trzymaj się jej, pacanie, nie eksperymentuj już więcej”.

Bernadeta

Kiedy obudziłem się rano z płytkiego, przerywanego snu, wiedziałem, że dłużej tam nie zostanę. Spakowanie sakw zabrało mi trzy minuty. Gdy schodziłem, na schodach natknąłem się na Julię. Wyglądała pięknie.

- Karol, co się dzieje? Co ci się stało w oko? - krzyknęła.
- Wyprowadzam się, jak widzisz.
- Ale dlaczego? - spytała z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Za tłoczno tutaj... O jednego za dużo. -

Wściekły byłem na siebie, że to powiedziałem.

Patrzyła, nie rozumiejąc.

- Widziałem cię wczoraj... w kuchni... z cyborgiem - wyjaśniłem. - Sprawilo mi to przykrość. "

Julia zrobiła się szkarłatna.

- Czekaj, Karol... Ty nic nie rozumiesz... Ja...
nie mogę inaczej.

Wyszedłem z pałacu, wrzuciłem sakwy na Harusia i odpaliłem go. Trzej muszkietierowie skakali wokół mnie wesoło. Wyjechałem za bramę

198

i zatrzymałem się. Zacząłem zbierać myśli. 1 co ja najlepszego zrobiłem? Przecież znalazłem w pałacu skrytkę. Jestem blisko wyjaśnienia tajemnicy. I zepsułem wszystko przez... ciężarną dziwkę.

Podjechałem do Daniłyczów. Obie kobiety były w domu. Spytałem, czy mogę u nich wynająć pokój, na razie na jeden dzień. Wpadły w straszny popłoch i natychmiast zaczęły się nerwowo krzątać. Matka wysłała córkę na górę, żeby posprzątała pokój, sama przygotowała mi skromne śniadanie. Tak jak mi kazały, wprowadziłem Harusia do feralnej szopy. Patrzyłem uważnie na ziemię. Oczywiście śladów krwi nie zobaczyłem.

Pokój, który mi przydzielono, był - jeśli sądzić po zdjęciach bohaterów seriali na ścianach -- sypialnią Bernadety. Położyłem się na jej panińskim łóżku i żeby nie myśleć o tym, co się stało, zacząłem układać różne warianty zakończenia mojego śledztwa. Żaden z nich mi się nie podobał. Pomyślałem o wuju Antonim. Zastanawiałem się, co by zrobił na moim miejscu... Ostatnia noc dała w końcu o sobie znać i zapadłem w długi, niespokojny sen.

Obudziłem się, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Bernadeta. Przebrała się w swoje najlepsze ciuszki. Umalowała usta jaskrawą

szminką.

- Czy mogę panu zająć chwilę czasu? - spytała.

199

- Proszę **bardzo - powiedziałem. Siadła** naprzeciw mnie.
- Wie pan co, po śmierci taty to my jesteśmy właściwie... bez środków. - Wyraziła to elegancko, tak, jak trzeba mówić do miastowego. Nie wiem, skąd znała to wyrażenie. - Tu był pegieer, ale już nie ma. I mamusia nie ma roboty. Ja szukam, ale w Sobolu też nie ma. We Wrocławiu nikogo nie znam. I pomyślałyśmy sobie... że pan może... by o czymś wiedział... - Przełknęła ślinę. - Ja mogę robić różne rzeczy. Sprzątać, gotować... - Przełknęła znów ślinę i wytrzeszczyła na mnie oczy. - Czy pan może chce... żebym... - zawiesiła głos.

Wyglądała nagle jak mała, przerażona dziewczynka.

- Żeby pani co? - spytałem, nie wiedząc, jak jej pomóc.

- Żebym... do pana w nocy przysła? - te ostatnie słowa powiedziała już szeptem.

Patrzyłem na nią osłupiały. Ta dziewczyna właśnie zaoferowała mi swoje tandetne ciało. Za wiedzą matki. Z bezrobocia, biedy, braku perspektyw. „Nie ma co, kurwa, ładnej Polski się doczekaliśmy”, pomyślałem. Wziąłem ją za rękę.

- Pani Bernadeto... nie trzeba...

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

200

- Obiecuję, że coś dla pani znajdę. - Musiałem to powiedzieć, choć nie miałem zielonego pojęcia, jak się z tej obietnicy wywiążę.

O drugiej w nocy obudził mnie dzwonek mojego telefonu. Dzwonił niejaki Slimczyński, sąsiad i kumpel Pułkownika, również emerytowany wojskowy. Dałem mu kiedyś mój numer na wszelki wypadek. Z alkoholikami nigdy nic nie wiadomo.

- Pana ojciec miał zawał. Właśnie zabrała go karetka - powiedział krótko, po wojskowemu.

Ubrałem się natychmiast i zostawiając wszystko, nie zamknąwszy nawet okna, wybiegłem z domu.

- Panie Boże, nie, proszę. Niech już nikt wokół mnie nie umiera, a zwłaszcza on - powiedziałem do Najwyższego, wytaczając Harusia z szopy.

Kiedy o szóstej rano znów zadzwonił telefon, serce stanęło mi na chwilę. Zjechałem na pobocze, zatrzymałem harleya i wyjąłem komórkę.

- Podkomisarz Żebro - usłyszałem. - Pan Karol?

- Tak, a co się stało? - wydukałem, bo gardło miałem jeszcze ściśnięte.
- Czy może pan do mnie zajrzeć? miał teraz bardzo oficjalny ton.
- Nie mogę, bo jestem już daleko od Sobola. A co się stało?
- Czy miał pan u siebie w pokoju... na górze, u Daniłyczów... jakieś materiały wybuchowe?

- 201

- Jezus Maria, nie.
- Tak myślałem - powiedział. - Ktoś tam godzinę temu wrzucił bombę. A może po prostu granat.

Name's ...ski, Karol ...ski

Gdy podjechałem pod szpital, było wczesne przedpołudnie. Z ciągle ściśniętym gardłem zacząłem szukać Pułkownika. Ku mojej ogromnej radości był tam, i to w dobrej formie. Stwierdził, że nic mu nie jest.

- Ten Ślimak niepotrzebnie narobił tyle hałasu
- powiedział dziarsko. - Poszedłem do niego, bo mnie trochę ścisnęło tu w środku, a on zaraz po pogotowie. Co ci się stało w oko?

- To było pierwsze ostrzeżenie - powiedział mi lekarz o żółtych od tytoniu palcach, które są znakiem rozpoznawczym polskich kardiologów.

- Może być jeszcze drugie, ale nie musi. Jak starszy pan nie zmieni natychmiast trybu życia, to następnym razem będzie już ostry zawał. Może pan teraz zabrać ojca do domu.

Odwiozłem Pułkownika taksówką, wróciłem po Harusia i pojechałem do siebie. Pawlak nie było. Odpaliłem komputer i sprawdziłem pocztę. Była tam między innymi odpowiedź z Niemiec, która

202

jeszcze niedawno bardzo by mnie zaskoczyła, a i teraz bardzo poruszyła:

Sehr geehrter Herr ...ski. Wir möchten Sie gerne informieren dali, unserens Wissens nach, weder in der naheren Umgebung von Sobol noch in der Stadt selber, uor dem Krieg eine Person mit diesem Namen gelebt hat..."

Wróciłem do Pułkownika.

- Tato, ja muszę tam wrócić - powiedziałem.

Pułkownik pokręcił głową. Przyszedł już do siebie na tyle, że otworzył butelkę Stocka. Na moją prośbę schował ją jednak z powrotem do szafy.

Spostrzegłem nagle, że jest u niego dużo brudniej niż w czasie mojej poprzedniej wizyty. Pułkownik się zestarzał. Potrzebuje opieki. Pomyślałem

nagle o Bernadecie.

- Tato, nie chciałbyś młodej gosposi? - spytałem. - Dziewczyna ciężko doświadczona przez życie. Będzie wdzięczna za każde pieniądze. Ugotuje coś, jak ci się nie będzie chciało, posprząta. Będzie może sprzątać u innych... Masz tu tyle miejsca... Mogłaby mieszkać w pokoju babci. - Pułkownik popatrzył na mnie uważnie.
- Kto wie, kto wie... Tylko czy ona wytrzyma ze starym pierdzielem? Niech przyjdzie, pogadam

Wielce Szanowny Panie ...ski. Chcielibyśmy Pana poinformować, że o ile nam wiadomo, nikt o takim nazwisku w najbliższym sąsiedztwie Sobola ani w samym mieście przed wojną nie mieszkał...

203

z nią. Powiedz mi lepiej, co ty tam robisz na tej wsi.

Wysłuchał sprawozdania z najnowszych wydarzeń, zadając od czasu do czasu pytania. Układał sobie to wszystko w głowie.

- Wiedziałem, że ten Bandura cię kiedyś w coś paskudnego wplącze - powiedział wreszcie. Oczywiście nie mógł sobie darować. Zapiekleń ojowska zazdrość siedziała w nim głęboko.

- Tato, to jest ogromna szansa. Wyobrażasz sobie, jaka to byłaby sensacja? - powiedziałem z entuzjazmem.
- Jeżeli to znajdziesz, zanim poderzną ci gardło jak świniakowi - odpowiedział Pułkownik, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Usłyszałem, jak otwiera swój mały sejf. Wrócił z niedużym pudełkiem.

- Weź to. Nierejestrowany. Tylko pamiętaj, nie daj się z nim złapać. A jeżeli go użyjesz... to nigdy nie był twój.

Wzięłem do ręki pudełko. Było dość ciężkie. Otworzyłem je. W środku był niewielki pistolet, dodatkowy magazynek i kilka pudełek amunicji. Walther PPK, ulubiona broń Jamesa Bonda. Ze względu na swój rozmiar nie wyglądał zbyt poważnie, ale był to bardzo poważny pistolet. I ponoć niezawodny.

- Skąd go masz? - spytałem.

Pułkownik zrobił nieokreślony ruch dłonią.

204

- Jak wracałem z placówki, dostałem od zagranicznych kolegów - powiedział.

Pojechałem do swojego mieszkania. Rzeczy Pawlak wciąż tam były, o kwiaty ktoś dbał; musiała się więc rozmyślić. Ulżyło mi, chociaż po historii z Julią wcale nie paliłem się do spotkania z Lucyną.

Następnego dnia poszliśmy z ojcem na strzelnicę. Mogliśmy pojechać, ale Pułkownik miał teraz dużo spacerować.

Kiedyś jeździliśmy tam często, żeby razem postrzelać. Lata całe Pułkownik wygrywał ze mną, ale potem to się skończyło. Może dlatego, że jego choroba alkoholowa poczyniła postępy, a może to ja poczyniłem postępy? W każdym razie przestał wtedy strzelać.

Właściciele strzelnicy, emerytowani przedwcześnie milicjanci, doskonale go znali. Poszeptał coś z nimi, po czym wyjęliśmy walthera i zacząłem strzelanie. Miałem trochę kłopotów z tak małą i stosunkowo lekką bronią, ale przy trzecim magazynku zaczęło mi niezłe iść. Pułkownik poprosił o tarczę sylwetkę. Wydawał komendy, a ja strzelałem. „Prawe ramię”. Strzał. „Lewe kolano”. Strzał. „Lewe ramię”. Strzał. „Prawe kolano”. Strzał. „Czoło”. Strzał.

W końcu wybierałem się na wojnę.

Wyzwanie

Wyjechałem z domu samochodem tak, by nad ranem być w Sobolu. Kiedy wjeżdżałem o 4.15, miasteczko spało. Zatrzymałem rovera w bocznej uliczce,

wyjąłem z bagażnika puszkę lakieru samochodowego w sprayu, znalazłem odpowiednie miejsce i wysikałem wielki ciemnozielony napis: ES IST SCHON ZEIT, STIEFKE.

W tym miejscu nie mógł tego napisu nie zauważyć.

-Tak oto zostałeś grafficiarzem, nieszczęsny historyku sztuki - powiedziałem do siebie.

Pojechałem następnie w kierunku Suchego Dębu. W odpowiednim miejscu skręciłem w las, zatrzymałem samochód w największej gęstwinie i wyjąłem z bagażnika łopatę. Przygotowanie scenografii zabrało mi dobrą godzinę i nieźle wykończyło. Byłem przecież koszmarnie niewyspany. Na szczęście miałem dużo czasu, więc spenetrowawszy dla pewności okolicę w promieniu stu metrów, wsiadłem do samochodu i się zdrzemnąłem.

Kiedy rozglądając się uważnie dookoła, podszedłem pod dom Daniłyczów, stało południe. Bernadeta była w domu, wciąż ciężko przerażona. Jej matka źle się po tym wszystkim poczuła i leżała w izbie obok kuchni.

206

- A motor gdzie? - spytała.
- Zepsuł się. Bardzo przepraszam za to, co się stało - powiedziałem do niej. - Proszę się nie martwić. Pokryję wszelkie straty.
- Ja tam jeszcze nie sprzątałam, bo chciałam, żeby pan to zobaczył - powiedziała.

Poszliśmy na górę. Pokój na stryszku został solidnie pokiereszowany. Podłoga pokryta była odłamkami szkła z żyrandola, strzępami papieru i kawałkami drewna. Pościel na moim łóżku była poszarpana przez wybuch i dziurawa od odłamków. Zasłony spaliły się, pod oknem było wciąż mokro; widocznie wybuch spowodował pożar, szybko przez kogoś ugaszony. Ku mojej radości solidne sakwy motocyklowe nie ucierpiały zbytnio - poza tym stół, za którym leżały, osłonił je od odłamków. Z jednej z nich wyjąłem nienaruszony komputer.

- Pan komisarz też do nich zaglądał - po wiedziała Bernadeta. - I komputer włączył. Ale niczego nie zabrał.

Ciekawa sprawa. Po próbie zamachu na mnie na leśnej drodze byłem wytracony z równowagi. Ale teraz czułem już tylko rosnącą wściekłość. To była coraz bardziej sprawa tylko między nim a mną.

- Być może będzie dla pani praca w naszym mieście - powiedziałem.
- Naprawdę? - ucieszyła się.

- 207

- Tak. Ale proszę, żeby pani mi teraz pomogła. Nie chcę, żeby ktoś wiedział, że tu jestem. Więc nie będę wychodził. Proszę mi dać coś do jedzenia. Potem chciałbym pobyć w tym pokoju od drugiej strony, ale nie będę zapalał światła.

Chodziło mi o to, że z drugiego pokoju na poddaszu widoczny był pałac.

Bernadeta o nic nie pytała. Z moją pomocą uprzątnęła zdemolowany pokój i zrobiła obiad. Z przyjemnością zauważyłem, że i w jednym, i w drugim była sprawna. Następnie wziąłem stos jej kolorowych magazynów i zagłębiłem się w lekturze, odkrywając nieznanym mi dotychczas świat, dopóki pozwalało na to światło. Czasopisma te miały dwusylabowe, obco brzmiące tytuły i stanowiły wkład bogatych koncernów wydawniczych zza zachodniej granicy w edukowanie biednych postkomunistycznych społeczeństw. Różnorodność tytułów (aczkolwiek nie treści) świadczyła o jak najpoważniejszym traktowaniu tej misji cywilizacyjnej przez rzeczony koncerny.

Gdy zapadł zmrok, zaciągnęliśmy w kuchni zasłony, zjedliśmy kolację i rozpocząłem w pokoiku na piętrze moje czuwanie myśliwego na ambonie.
Pierwsza krew

Światła w pałacu zgasły około 23.00. Snułem jałowe rozważania o tym, czy cyborg śpi z Julią, czy gardząc jej ciężarnym ciałem, zadowala się pomniejszych

usługami seksualnymi. Na samą myśl o nim i o niej zaciskały mi się pięści. „To ćpunka”. Zastanawiałem się, jaki to proszek cyborg jej przywozi i jaki ma to wpływ na płód. Zastanawiałem się też, co ją do tego doprowadziło i czy aby naprawdę z powodu dziecka Zięba ją tam uwięził.

Zastanawiałem się poza tym nad swoimi reakcjami. Awantura z cyborgiem była sposobem na danie upustu nagromadzonej agresji. To byłem ten drugi ja, o którym mówił mi kiedyś Gerwazy. Niepokoiła mnie jednak ta agresja, a właściwie jej powody. Czy to sprawiła scena w pałacowej kuchni, czy agresja zaczęła się gromadzić we mnie już wtedy, gdy zginął Bandura? Czulem, że noszę jej w sobie jeszcze dużo.

Okolo drugiej w nocy wydało mi się, że w oknach sali balowej widzę błysk światła. Przeładowałem broń, spuściłem ostrożnie kurek i schowałem walthera za pasek dżinsów. „Podstawowa zasada: jak myślisz, że *może* dojść do użycia broni, wprowadź nabój do komory i spuść kurek. Jak przyjdzie co do czego, możesz nie zdążyć przeładować albo nie mieć dwóch wolnych rąk. Zapomnij o tym efekciarstwie, które widzisz

209

w amerykańskich filmach. Kurek zawsze zdążysz odciągnąć, potrzebujesz wtedy tylko jednej ręki. Nawet kciuk jest zbędny, bo jeżeli trzeba, zawsze o coś kurek zahaczysz”, tłumaczył mi Pułkownik już dawno temu.

Ruszyłem w stronę pałacu, starając się trzymać ciemności. Nie bez trudności przeleżałem przez płot. Nagle potknąłem się o coś dużego i miękkiego. Ale to nie był człowiek. Był to jeden z trzech muszkieterów; po odstającym dziwnie uchu poznałem, że Aramis. Bardzo martwy. Wokół jego pyska zobaczyłem kałużę wymiocin. Drugi, Atos, leżał kilkanaście metrów dalej. I on strasznie wymiotował, zanim zdechł. Portosa nigdzie nie zobaczyłem. Biedne psy. Ruszyłem w stronę lewego skrzydła pałacu i doszedłem do kuchennego okna. Miałem szczęście, było szeroko otwarte. Wlałem przez nie i przeszedłem cicho przez jadalnię. W holu

pod ścianą zobaczyłem na podłodze niewyraźny kształt. Myślałem przez moment, że to może Portos, ale tym razem był to człowiek. Drżącą ręką wyjąłem mojego magnalite'a i zapaliłem. Twarz cyborga była białą twarzą umrzyka. W niewielkim krążku światła zobaczyłem jego zakrwawioną szyję i wielką, ciemną plamę na podłodze.

Kolacja podjechała mi do gardła. Nie był to pierwszy trup, jakiego widziałem w życiu, ale pierwszy oglądany z tak bliska. Czułem, że cały się trzęsę, ale może była to pompowana do or-

210

ganizmu adrenalina. Uczucie wściekłości, które ogarnęło mnie po zamachu, jeszcze wzrosło. Bardzo już chciałem dopaść skurwysyna.

Jeżeli cyborg, zawodowiec, dał się tak podejść, jakie szanse miał podstarzały profesor historii sztuki? Jakie szanse miałem ja sam, o tym nawet nie pomyślałem. Byłem rozjuszony.

Gdzie jest Julia? Już chciałem iść na górę i sprawdzić, kiedy otworzyły się drzwi do sali balowej. No tak, spóźniłem się. Usunąłem się w głęboki cień. Mężczyzna podszedł bezszelestnie do drzwi wejściowych. Miał miękki krok i przez chwilę zwątpiłem, czy tak może poruszać się osiemdziesięcioletek. Ale to przecież musiał być on. Stary zgred był żyjącym zaprzeczeniem praw natury, które nakazują takiemu dziadkowi garbić się, szurać nogami i pokastywać. Dzięki zachowanej zdolności do skradania się jak kot ten dziadek był wciąż w stanie zabijać.

Pojedynek

Miałem nad nim przewagę. Ja widziałem nieuchwytnego mordercę, a on mnie nie. Po raz pierwszy to jego ktoś zaskoczy.

- *Kehrt euch, Stiefkel* - krzyknąłem władczo, z moim najlepszym niemieckim akcentem. Znie-

211

ruchomiał i zaczął się powoli odwracać. Po czym zrobił coś nieoczekiwanego: sięgnął do umieszczonego przy drzwiach kontaktu i za chwilę hol zalało światło dużego żyrandola. Spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma, potem skierował wzrok na podniesiony pistolet. Nie spojrzął ani razu na leżącego, przyznając się niejako tym samym do zbrodni. Przez chwilę, która trwała bardzo, bardzo długo, nie działo się nic.

I wtedy otworzyły się drzwi wejściowe. Julia. Nawet w tej sytuacji nie mogłem nie zauważyć, jaka jest piękna. Skąd ona się tu wzięła? Kiedy zobaczyła nas, odwróciła się i chciała wybiec z powrotem. Ale Stieike *vel* Vogel nagle obudził się do życia. Przysunął się do niej jednym szybkim ruchem, objął ją lewą ręką, w prawej trzymał krótki, wąski nóż. Ten nóż. Przyłożył jej do gardła.

Ja jednak byłem już zupełnie spokojny A nawet ucieszyłem się. Przesunąłem walthera w górę i w lewo. Ręka mi nie drżała. Wydawało mi się, że słyszę głos Pułkownika: „Prawe ramię”. Strzał.

Uderzenie pocisku odrzuciło go do tyłu, ręka mu opadła, nóż uderzył o podłogę. W tym samym momencie Julia wykonała wdzięczny półobrót, odsuwając się od niego. Stiefke patrzył osłupiały na swoje ramię, na którym wyrosła ciemnoczerwona plama. Próbował je podnieść,

212

ale zgruchotany staw, w którym być może tkwiła kula, na to nie pozwolił. Stiefke wykonywał teraz bezładne ruchy lewą ręką.

Czułem się coraz lepiej. Opuściłem broń. Uśmiechnąłem się do niego.

- Boli? - spytałem. - Będzie bolało jeszcze bardziej. Daj mi swoją chustkę - powiedziałem

do Julii. Śmiertelnie blada, patrzyła na mnie w osłupieniu. - To morderca - powiedziałem.
- Zabił Daniłyczka, tego tu... i kilka innych osób.
Pospiesz się. - Julia zdjęła chustkę z szyi.

Podszedłem do Stiefkego, który wciąż był w szoku po postrzale. Schylił się niezdarnie i próbował podnieść nóż lewą ręką. Żeby tego gościa kopnąć, musiałem przełamać wewnętrzny opór, który normalnemu człowiekowi nie pozwoliłby uderzyć starca. Bo nagle Stiefke zaczął wyglądać na swoje lata. Ale to był przecież zabójca Bandury.

Kopniak w pierś odrzucił go na ścianę, w którą trafił prawym ramieniem. Zawył z bólu. Odwróciłem Stiefkego, wsunąłem walthera za pasek i związałem esesmanowi z tyłu ręce chustką Julii. Jęknął głośno, kiedy wykręcałem mu do tyłu prawą rękę.

Julia podbiegła do cyborga i klęknęła przy nim. Usłyszałem, jak walczy z torsjami.

- Sprawdź, czy ma kluczyki od samochodu
- powiedziałem.

213

Wytarła usta, sięgnęła posłusznie do jego kieszeni i wyłowiła kluczyki.

- Poprowadzisz - powiedziałem tonem nie-
znoszącym sprzeciwu.

Było mi to na rękę. Bo już myślałem, że będę musiał pędzić Stiefkego dwa kilometry przez las. Wepchnąłem byłego esesmana na tylne siedzenie jeepa i siadłem obok.

- Co chcesz zrobić? - spytał. Było to pierwsze zdanie, które wypowiedział tego wieczoru.
- Zobaczysz - powiedziałem.

- Na policje? - spytał.
- Po co? Żebyś zdechł komfortowo w więzieniu? - Patrzył na mnie, nie rozumiejąc. Poleciałem Julii jechać do miejsca pamięci.

Kiedy dotarliśmy na polanę, kazałem jej stanąć naprzeciw wykopanego dołu i nie gasić świateł. Wypchnąłem Stiefkego z samochodu i skierowałem w stronę dołu. Był przestraszony i ogólnie żałosny. Spodziewałem się więcej po byłym spadochroniarzu, ale on był teraz tylko staruchem, który pewnie zesrał się ze strachu. Musiałem sobie ciągle powtarzać, że jest niebezpieczny.

- Klękaj.

Klęknął posłusznie, ale odwrócił do mnie głowę. Usta mu drżały. I dobrze.

- Ci więźniowie musieli klękać?

Przełknął ślinę i pokręcił głową.

214

- To ty **zastrzelileś tu tych trzech żołnierzy?** - spytałem.
- Nie. To tfaj ini - powiedział. - Oni najperf roszczelali tych... - zabrakło mu słowa. - *Haft-linge*.
- A gdzie ci dwaj inni? - Nie odpowiedział. W końcu spytał słabym głosem:
- Zaszczelisz mnie?
- Nie, zakopię żywcem. Żebyś zdążył pomyśleć o Danilyczu, Profesorze, Masłowskim i... Zygmuncie. - Wybałuszył już i tak wybałuszone oczy.
- Nje chcesz, szebim cie zaprofaczil do ma-gasin?
- Magazyn. Nareszcie.
- Tam za kominkiem? Sam wejdę - powiedziałem.
- Nje wejdiesz beze mnje - wystękał.

Kominek

Podjechaliśmy do mojego rovera i przepakowałem Stiefkego do niego. Julia miała jechać za nami terenówką ojca.

W czasie drogi milczeliśmy. Stiefke jęczał cicho, zgruchotane ramię musiało go boleć. Odezwał się tylko raz:

215

- Umofa. Ty bioresz obraski, ja biorę kszysz.

Krzyż? Jaki krzyż?

Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem:

- Ile ty masz lat, staruchu? Osiemdziesiąt?

Jeszcze myślisz o wzbogaceniu się? Po co ci więcej? Żle się tu w Polsce urządziłeś?

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu. W końcu znów nie wytrzymałem.

- Tego Daniłczya jeszcze mogę zrozumieć. Ale co ci zrobił Bandura? Dlaczego on? - Nie odpowiedział.

Nie próbował też już niczego dalej negocjować, co wydało mi się podejrzane. Było oczywiste, że na coś liczy.

Zajechaliśmy pod pałac, poczekaliśmy na Julię, a następnie weszliśmy do środka. Skierowaliśmy się od razu do sali balowej. Stiefke podszedł do stojaka koło kominka.

- *Der Feuerhaken* - powiedział. Zdjąłem pogrzebacz ze statywu.
- Tu, f ta ciura.

Zrozumiałem. Pogrzebacz zaklinowany w otworze w górnej części stojaka stawał się ramieniem kołowrotu, którego sam stojak stanowił oś.

- Jak u zegarek - wyjaśnił były esesman.

Zrozumiałem. Zaparłem się i zacząłem ciągnąć

za uchwyt pogrzebacza. Stojak nie ruszył się od razu, ale po chwili coś zgrzytnęło i powoli się poddał, wolniutko obracając się wokół własnej osi

216

razem z marmurowym postumentem. Jednocześnie rozległ się dźwięk kamienia szorującego o kamień i tylna ściana kominka zaczęła się uchylać. Po chwili widać było za nią łańcuch i zawieszoną na nim metalową kulę, stanowiącą grawitacyjne wspomaganie tego prostego, ale skutecznego mechanizmu. Obracałem dalej kołowrót, a szczelina między tylną ścianą kominka a bokiem paleniska miała już z osiemdziesiąt centymetrów.

- Starczy - powiedziałem. Stiefke przysunął się do paleniska.
- Fchocz - wychrypiął.
- Nie, ty pierwszy - powiedziałem.
- Nje mogę, wpadnę tam bes latarka.

- Poświecę ci - powiedziałem i popchnąłem go do przodu.
- Nje! - wrzasnął w panice.

- Dlaczego?

Milczał przez chwilę.

- Drut. Trzeba sdjoncz. Nisko.

Poświeciłem w otwór. Były tam od razu schody wiodące w dół, tak jak myślałem. Nie dostrzegłem żadnego drutu.

Podąłem Julii walthera i kazałem zastrzelić starucha, jeżeli się tylko ruszy.

- Biorę to na siebie - powiedziałem do niej.

Posłusznie wzięła broń do ręki, odsunęła się i wycelowała w Stiefkego.

217

Zszedłem ostrożnie. Na dole, na wysokości znajdującej się za ścianą piwnicy,

ale po jej przeciwnej stronie, były stalowe drzwi z dwoma obrotowymi blokadami, typowe dla schronów. Kiedy je lekko uchyliłem, zobaczyłem jakieś dziesięć centymetrów od podłogi rozciągnięty drut. Zakończony był pętlą, założoną na wystający zza framugi nieduży hak. Otwarcie drzwi spowodowałoby naciągnięcie drutu i przypuszczalnie wyciągnięcie zawlecзки granatu, który eksplodowałby tuż koło nóg wchodzącego. Pochyliłem się i zdjąłem drut z haczyka. Ale przecież Daniłycz wszedł tam jakoś! Musiał być niezwykle ostrożny... Zastanawiałem się, czy to on sam założył potem drut na haczyk? Doszedłem do wniosku, że musiał to zrobić Stiefke. A może wtedy jeszcze tego drutu nie było? Wróciłem na górę.

- Jeżeli masz tam jeszcze jakąś niespodziankę, to jesteś sam sobie winien - powiedziałem do byłego esesmana i wepchnąłem go do kominka. Chyba nie miał, bo ruszył w dół.
- Zostań tu - powiedziałem do Julii, a sam ruszyłem za staruchem. Serce mi łomotało. Miałem oto zobaczyć skarby sztuki europejskiej, ukryte od prawie sześćdziesięciu lat i już pewnie odżałowane. Iluż historyków sztuki oddałoby pół życia za taki moment... Pomyślałem o Bandurze.

Za drzwiami przymocowany nisko do ściany był nie jeden granat, ale cały ich pęczek.

218

- Ładnie to tak? - powiedziałem **do Stiefkego**.

- A ja ci, bydlaku, darowałem życie.

Korytarz miał jakieś pięć metrów długości i był ceglany, ale od góry nie przeciekał - pewnie zalano go betonem. Górą biegła żeliwna rura o dużej średnicy - domyśliłem się, że jeden jej wylot umieszczony jest w fałszywym kominie, drugi w „magazynie”. Przypomniała mi też o rurze w pniu starego dębu, oddalonego stąd o jakieś dwadzieścia metrów. Ciekaw byłem, czy przewodów wentylacyjnych jest więcej.

Na końcu korytarza były jeszcze jedne metalowe drzwi, takie jak poprzednie.

- Moszna otfoszycz - powiedział Stiefke.

Więc otworzyłem blokady i puściłem go przodem. Pchnął drzwi zdrowym, lewym ramieniem.

- Cofnij się - powiedziałem i zajrzałem do środka.

Magazyn

Komora miała około ośmiu metrów długości, pięciu szerokości, może dwóch i pół wysokości. Ściany były gładkie, więźniowie z obozu Bunzlau III wykonali dobrą robotę. Ciekawe, czy domyślali się, że po skończonej pracy będą musieli zginąć? Czy dlatego tak gładzili te ściany? Pod sufitem

219

w przeciwnym końcu zobaczyłem wylot przewodu wentylacyjnego, który zaczynał się pewnie w pniu starego dębu. Co za pomysł, swoją drogą. Wylot zasłonięty był gęstą siatką, co tłumaczyło brak pajęczyn w pomieszczeniu: żaden pająk by się tu nie pożywił, bo nie wleciałaby tu żadna mucha.

Światło mojej latarki błędziło po drewnianych, pomalowanych szarawą farbą skrzyniach z groźnymi czarnymi napisami, ustawionych pod ścianami bez ładu i składu. O prawą ścianę oparte były płaskie skrzynie, mieszczące zapewne obrazy. Wszystko pokrywała warstewka kurzu.

Drzwi nie chciały otworzyć się do końca, ponieważ zablokowało je coś, co znajdowało się za nimi. Wepchnąłem Stiefkego do środka i wszedłem za nim. Powietrze było nieco stęchłe, ale szyby wentylacyjne działały. W każdym razie leżące za drzwiami zwłoki wyschły na wiór, a smród, który od nich musiał swego czasu bić, wywietrzał.

Byli to niegdyś dwaj wojskowi w długich, grubych płaszczach. Musiały to być potężne chłopi-ska, ale teraz te płaszcze były na nich sporo za duże, a czarne pasy z kaburami dużo za luźne. Na ziemi, kopnięte tam zapewne przez tego, kto ich zastrzelił i zaciągnął zwłoki za drzwi, leżały dwie siodłowate czapki z trupimi główkami. Ich

220

własne trupie głowy szczyrzyły zęby w koszmarnym grymasie. W odróżnieniu od świeżego trupa, którego widziałem trzy kwadranse wcześniej, te zwłoki nie budziły już takiej grozy.

- A kolegom co się stało? - spytałem, siląc się na ironię. - Mieli jakiś wypadek?

Stiefke milczał.

On też na pewno nosił taki mundur. Patrząc na niego, próbowałem go sobie wyobrazić w siodło-watej czapce z trupa-główką, ale nie bardzo mi to wychodziło. Pomimo wszystkiego, co o nim wiedziałem, nie potrafiłem zobaczyć w nim postaci... filmowej. Bo przecież moje wyobrażenia na temat hitlerowców pochodziły z telewizyjnych seriali.

Stiefke stał przy drzwiach i patrzył w jeden punkt. W rogu komory stało coś, co musiało kiedyś znajdować się w wielkiej, otwartej skrzyni, stojącej obok. Wokół porzrzucone były jakieś pakuły i resztki tkanin. Na przedmiot zarzucona była szmata. Podeszedłem do niego i zdjąłem ją. Błysnęło stare złoto.

Relikwiarz Godfryda von Rogge. Klęknąłem przy nim. Istotnie, miał kształt krzyża. Robota była toporna; w tamtych czasach rzemieślnicy w tej części Europy nie znali techniki wykonywania filigranu. W litych, złotych ramionach znajdowało się wiele prostokątnych zagłębień na odłamki kości świętych, szczapy z Drzewa Krzy-

221

za i tym podobne relikwie. Otwory zasłonięte były szybkami z górskiego kryształu. Dźwignąłem krzyż. Był cholernie ciężki.

Niektóre z płaskich skrzyń były otwarte. Sięgnąłem do jednej i wyłowilem znajdujący się tam obraz, opatulony w wełniane pakuły. W świetle latarki ukazał się fragment ułożonej w kunsztowne fałdy zielono-purpurowej szaty jakiejś postaci.

Nagle usłyszałem za sobą jakiś szurgot i zdałem sobie sprawę, że na chwilę zapomniałem o byłym spadochroniarzu. A on miał już wolne ręce. Nie pomyślałem o tym, żeby chustkę Julii zastąpić czymś mocniejszym - i Stiefke właśnie się jej pozbył. Światło mojej latarki wyłowiło z mroku jego suchą, pokrytą wątrobowymi plamami lewą rękę, odpinającą kaburę na pasie jednego z umrzyków. Niezdarnie, ale dość szybko wyszarpnął z niej broń i odwiódł kciukiem kurek.

Przez moją głowę przegalopował tabun myśli.

Mój walther / Jezus Maria / Został u Julii / Ale ten pistolet / on przecież nie wystrzeli / Ta broń tu leży prawie sześćdziesiąt lat / Może nie ma naboju w komorze / Jak trzeba będzie przeładować, on sobie z tą drugą ręką nie poradzi / A jak strzeli, z lewej ręki nie trafi, chyba że to ćwiczył...

Byłem już w połowie drogi do niego, kiedy padł strzał.

222

Kiedyś w dzieciństwie kuzyn nadział mnie podczas zabawy na miotłę. Nic mi się wtedy nie stało, ale teraz ostry ból w splocie słonecznym przywołał obraz z dzieciństwa, przechowany widać w zakamarkach pamięci. Poczulem potężne pchnięcie do tyłu. Nogi nagle załamały się pode mną i runąłem między skrzynie. Siedziałem tam ogłupiały i patrzyłem, jak staruch szamocze się z pistoletem, w którym pokrywa zamka zablokowała się w pozycji tylnej. Więc albo był tam tylko jeden nabój, albo zablokował się mechanizm wyrzutnika. W świetle leżącej na ziemi latarki zobaczyłem, jak Stiefke ciska broń i klęka przy

wyschniętych trupach jeszcze raz. Nagle to, co widziałem, znacznie zwolniło tempo. Zarejestrowałem bardzo wyraźnie, jak mamrocząc coś po niemiecku, Stiefke otwiera drugą kaburę i wyciąga drugi pistolet. Odwiódł kurek i skierował broń w moją stronę.

Leżałem bez ruchu i czekałem na strzał. Ale nie nastąpił. Suche kliknięcie świadczyło o braku przezorności ze strony drugiego esesmana: nie wprowadził naboju do komory. Stiefke próbował przeładować broń, ale jego prawa ręka była bezużyteczna. Zaklął i spojrzał na mnie czujnie. Leżałem tam i patrzyłem na niego. Nagle staruch przestał się mną interesować, rzucił broń, pozbierał się z ziemi i przeszedł obok mnie, podnosząc

223

po drodze latarkę. Zaczął coś majstrować przy relikwiarzu.

Czy tak wygląda śmierć? Czy ja już nie żyję? Czy dlatego minął mnie obojętnie? Widział w młodości tyle trupów... Może wyzionąłem ducha minutę temu, a te moje myśli to ostatnie prądy, które błakają się po martwiejącym mózgu?

Spojrzałem w dół: zobaczyłem, że to, co wypłynęło mi z brzucha, uformowało obok mnie już sporą kałużę. Zauważyłem też, że przy upadku zgięta w kolanie lewa noga dziwnie skrzyżowała mi się z prawą. Próbowałem ją wyprostować, ściągnąć z drugiej nogi - bezskutecznie. Ręce też nie odpowiadały na sygnały płynące z mózgu.

Kiedy tak patrzyłem na swoje dziwnie skrzyżowane nogi, przypomniała mi się nagle płyta nagrobna któregoś z Wedlów, której zdjęcie pokazał mi niedawno Szuster. Poczułem, że chce mi się płakać.

Ty też chyba umrzesz bezpotomnie, nieszczęsny historyku sztuki, detektywie amatorze zaszary. Chciałeś wykiwać zawodowego zabójcę? Ty głupi palancie...

Stiefke znów pojawił się w moim polu widzenia. Stękając, włókł coś po ziemi

w wielkim szarym worku z groźnym czarnym napisem. Nawet nie spojrzał w moją stronę. Prawa ręka kiwała

224

mu się bezwładnie. Ledwo przeszedł ze swoim łupem przez drzwi. Po chwili nastąpiła całkowita ciemność. Usłyszałem, jak zamyka za sobą, łomocze czymś po schodach, po chwili stuknęły drugie drzwi. Wydało mi się nagle, że słyszę strzał i zduszony krzyk Julii. Potem hurgot trących o siebie kamiennych bloków. Nastąpiła cisza.

Stwierdziłem, że jest mi właściwie całkiem wygodnie w pozycji półleżącej. Zrobiło mi się nagle ciepło i sennie. Pomyślałem, że koniecznie muszę się przespać. Potem sobie wstanę i stąd wyjdę. Ale najpierw się dobrze wyśpię. W tej przytulnej piwnicy między tymi przytulnymi skrzyniami. Co to w nich było? Zapomniałem. Pewnie nic ważnego.

Przebudzenia

Obudziłem się, bo bardzo mnie bolało. Leżałem na boku i nie mogłem się ruszyć. Było bardzo jasno. Nad sobą słyszałem jakieś szepty. Skierowałem oczy w górę i zobaczyłem jakieś niewyraźne, zielone postaci. Ufoludki?

- Panie Karolu? - usłyszałem.

Jęknąłem.

225

- Zaraz, zaraz przestanie boleć. - Poczujęm ukłucie w przedramię i rzeczywiście przestało. Po chwili osunąłem się w niebyt.

Obudziłem się znów wskutek nieznośnego bólu. Leżałem na drugim boku. W pomieszczeniu było ciemno. Jęknąłem.

- Panie Karolu? - usłyszałem za sobą. Głos dobiegał z mojego poziomu. - Siostró, siostró!

Po chwili było koło mnie parę postaci, tym razem na białym. Anioły? Dostałem zastrzyk i przestało boleć. Zasnąłem.

Tym razem obudziłem się, bo coś dziwnego działo się z moją twarzą. Nie od razu zrozumiałem, co to jest. Dopiero gdy domyśliłem się, że mnie gołą, otworzyłem oczy. Nie bolało już tak bardzo. Zobaczyłem nad sobą miłą damską buzię.

- Czy ktoś mi powie... co się stało? - Buzia zniknęła. Pojawiły się natomiast anielice i spacyfikowały mnie. - Ja już nie chcę spać - powiedziałem, ale nic to nie pomogło.

Dostałem zastrzyk i odpłynąłem. Śniło mi się, że stoję ukryty za dużym weneckim lustrem w moim mieszkaniu i że jest tam też Pawlak, która przed tym lustrem się czesze, maluje i sposobi do wyjścia, żeby się z kimś spotkać. A ja nadaremnie walę w to lustro z drugiej strony i krzyczę do niej, żeby nie wychodziła, żeby już nigdy z nikim innym się nie spotykała.

226

Kiedy obudziłem się po raz kolejny, pozwolono mi zostać na powierzchni. Poprosiłem o rozmowę z lekarzem. Przyszedł chudy, wyleniały śledziennik w nieświeżym fartuchu.

- Co mi jest, panie doktorze? - spytałem.
- Wrócił pan z dalekiej podróży. Dostał pan kulkę w brzuch i ona utkwiała w kręgosłupie. Stracił pan masę krwi. Operowaliśmy od razu, ale potem długo walczyliśmy z zakażeniem otrzewnej. Parę razy był pan już jedną nogą po tamtej stronie. A w kręgosłupie będzie pan teraz nosił kawałek platyny.

Przetrawiłem te informacje.

- Kiedy to się stało?

- Jakież trzy tygodnie temu.
- Czyli jest już... lipiec? -Tak.
- Kto mnie postrzelił?
 - Jakiś muzealny złodziej czy ktoś taki. Dokładnie nie wiemy. Policja nie chciała nam nic powiedzieć. Pojutrze przyjdzie pana ojciec i panu opowie, o ile coś wie.
- W jakim mieście jestem?
- We Wrocławiu.
 - Zastanowiłem się przez chwilę. Kula w kręgosłupie.
- Czy będę chodził?
 - Tak. Miał pan dużo szczęścia. Pół centymetra w lewo i jeździłby pan na wózku przez resztę

- 227

życia. Od razu nie będzie pan chodził jak stary, ale szybko się pan nauczy... Niech pan podziękuje temu lekarzowi z Sobola, to przypuszczalnie on uratował pana kręgosłup. Pobił pielęgniarzy, którzy chcieli pana rozciągnąć na noszach.

Z Sobola. Dopiero ta nazwa pozwoliła mi się z powrotem zakotwiczyć w tamtej rzeczywistości. Powoli moja pamięć przywoływała wydarzenia tamtego wieczoru. Początkowo mgliste, potem coraz wyraźniejsze.

- Panie doktorze, panie doktorze! - zawołałem, bo śledziennik był już w drzwiach. Zatrzymał się.
- Słucham?
 - Czy tam... tej nocy... ktoś zginął? - Spojrzał na mnie z wahaniem.
- Podobno tak... dwie osoby.
 - Dwie osoby. Czyli cyborg i... Przełknąłem ślinę.

- Czy kobieta? W ciąży? - Uśmiechnął się.
- Panna Zięba? Nie. Też leżała u nas, już ją wypisaliśmy, prawie tydzień temu. Doznała wstrząś-nienia mózgu. Ale z ciążą wszystko w porządku.
- To... kim byta ta druga osoba? - Rozłożył ręce.
- Tego nie wiem.

- Portos

Ale Pułkownik wiedział. Siedział przede mną z zatroskaną miną.

- Policja nic nie chce mówić, ale ja się dowiedziałem sporo od miejscowych.
- Byłeś tam?
- Tak, zadzwoniła do mnie ta twoja młoda gospodyni, pani Bernadeta. Zostawiłaś w domu komórkę i znalazła tam mój numer. Najpierw cię znalazłem w szpitalu, ale byłeś zupełnie... *incommunicado*. Do panny Zięby też mnie nie chcieli dopuścić. Więc pojechałem do tego Suchego Dębu. Potem dopiero rozmawiałem z tą Julią. Miałem też nieprzyjemność poznać jej ojca. Co za palant. - Zamilkł i pokręcił głową.
- Tato, opowiadaj.
- To ta Julia uratowała ci życie. Ona próbowała tego skurwysyna zatrzymać. Nawet strzeliła, ale nie trafiła. On jej zabrał pistolet, pchnął ją na ścianę, ona uderzyła o nią głową i straciła przytomność. Wtedy zjawił się ten Freitag i ją ocucił.
- Jaki znów Freitag? - przerwałem mu.
- Taki jeden... on się tu do ciebie wybiera. Gdyby nie on... Jak Julia przyszła do siebie, wysłała go samochodem do miasteczka po lekarza. Sama nie była w stanie jechać. On wyciągnął z domu tamtejszego lekarza...
- Nowaczyka - powiedziałem.

- 229

- Właśnie. Przyjechali, ona im pokazała, jak otworzyć skrytkę, i znów straciła przytomność. Ten Nowaczyk zajmował się wami obojgiem, dopóki nie przyjechały karetki. No i policja. Dziwna sprawa, nikt nie wie, kto ich wszystkich wezwał... Ten Nowaczyk pojechał z tobą, bo bał się o twój kręgosłup.
- Wiem, słyszałem o tym - powiedziałem niecierpliwie.
- Byłem już u niego z koniaczkiem.
- Super, tato. Dzięki. A co z tym draniem?
- Voglem? - Pułkownik zawahał się przez moment. - Wiesz, Julia go w ogóle nie widziała. Na szczęście... ten Freitag już tego dopilnował. Dokładnie nie wiadomo, jak to się stało. Wiesz, tam były trzy psy...
- Wiem, on je otruł.
- Tak, ale nie do końca. Przynajmniej jednego. Ten właśnie go dopadł, w krzakach koło dębu. Ten Szkop był dwukrotnie postrzelony w nogi, pewnie dlatego tylko go dopadł.
- Postrzelony w nogi? Przez kogo, na Boga? - zdziwiłem się. - Tego... Freitaga?
- Ależ skąd! - zachnął się Pułkownik. - Sęk w tym, że nie bardzo wiadomo... Policja coś kręci. Trudno odtworzyć przebieg tego wszystkiego. Milczeliśmy przez chwilę.
- Co mu zrobił pies? - spytałem w końcu.

230

- Policja nie pozwalała podejść, ale Berna deta była z drugiej strony ogrodzenia i widziała zwłoki... On mu rozszarpał gardło... To był ponoć paskudny widok.

Portos. Kochane psisko. Bo ranny czy nie, ten drań był gotów uciec.

- Co z nim?

- Psem? Zdechł. Obok niego.

Znów milczeliśmy przez chwilę. **Żal mi było** psa. Zawsze jest mi żal psów.

- Ten Stiefke... to znaczy Vogel... miał coś przy sobie?
- Nie wiadomo. Policja nabrała wody w usta.
- Co pisze prasa?
- Nic. Ani słowa.

To było dziwne. Dlaczego utajnili tę sprawę?

- Julia już składała zeznania?
 - Tak, i to nie raz. Wzywali ją chyba trzykrotnie. Wiesz, oni mieli na nią jakiegoś haka. Kazali jej popodpisywać różne rzeczy. Błagała, żeby cię za to przeprosić. Powiedziała, że nie mogła inaczej.
- Wiem, znam ten jej argument. Gdzie jest teraz?
- Ojciec wysłał ją za granicę, do jakiejś rodziny.
- Czy on wie, że ona się narkotyzuje?
- Myślę, że tak.
 - Tato, byłeś może ostatnio w moim mieszkaniu? - spytałem z biciem serca.

- 231

- Tak, a dlaczego pytasz?
- Czy moje rośliny pozdychały?
 - Nie, skądże. Były świeżo podlane. Wyglądały normalnie - powiedział z jakimś zdziwieniem. Co za ulga. Więc Pawlak nie odeszła całkowicie. Do pokoju wsadziła głowę pielęgniarka.
 - Panowie, koniec wizyty. Pan musi iść, pan musi spać - powiedziała, kiwając najpierw na Pułkownika, potem na mnie.
- Jeszcze dwie minutki - poprosiłem. Wyszła.

- Wiesz, pani Bernadeta już u mnie była. Domyśliłem się, że to o niej mówiłeś.

Zaczyna pracę od pierwszego. Aha, zabrałem stamtąd twój samochód.

Ale ja byłem myślami gdzie indziej.

- Tato, możesz podzwonić i sprawdzić, kto sprowadził karetki i policję?

- Nie ma sprawy - powiedział Pułkownik.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Tato, dałem ciała - powiedziałem w końcu. - Gdybym był czujniejszy, nie doszłoby do tego.

- Karol, zrobiłeś wszystko jak trzeba. Julia mi opowiedziała. Nie wiem, co się stało w tej piwnicy, ale przecież osiągnąłeś swój cel. Zdemaskowałeś skurwysyna. Aha, wiesz, że on ciągle miał esesmański tatuaż? Nowaczyk skądś się dowiedział. Karol, naprawdę byłeś dobry. Przecież odnalazłeś te... skarby - ojciec starał się brzmieć bardzo przekonywająco.

- 232

- Tak, ale w końcu dałem **dupy. Zrobił mnie na szaro.** Cholerny obciach.

Pułkownik pokręcił głową.

- Karol, to był fachowiec. Może i stary zgred, ale wciąż zawodowy morderca.

Ale ja wiedziałem swoje.

Kusy

Wsunął się do mojego pokoju z przepaszającym uśmiechem dwa dni później. Wcale nie wyglądał demonicznie. Nie przypominał specjalnie ani Mefista, ani Goebbelsa, ani Aznavoura, ale mimo wszystko żadne z tych skojarzeń nie było bezzasadne.

Wyciągnął rękę.

- John Freitag - powiedział, po czym przysiadł na brzegu krzesła.
- *Alias* redaktor Piątek, *alias* profesor Piątkowski - powiedziałem ja. Znów uśmiechnął się przepraszająco.
- Nie miałem wyboru. Co miałem mówić, że jestem farmaceutą, który po prostu... interesuje się nie swoimi sprawami? Chociaż akurat ta sprawa była jak najbardziej moja. Tylko czy miałem tłumaczyć wszystkim po kolei dlaczego? - W jego słowach słychać było cień obcego akcentu. Ale tylko cień.

- 233

- A mnie pan wytłumaczy? - spytałem.
 - Panu wytłumaczę. - Patrzył teraz w podłogę.
 - Choćby dlatego, że... gdybym ja tej sprawy nie ruszył, to ten pana profesor by dzisiaj żył. Jak zresztą wszyscy inni. Ale skąd miałem wiedzieć?
 - Zamilkł na chwilę, a ja czekałem cierpliwie. -Skąd mogłem wiedzieć, że ten cholerny schron... że ta cholerna skrytka... ma swojego strażnika?
 - Znów milczał przez chwilę, bawiąc się elegancką czarną laską ze srebrną rączką. - Ludzie od Wiesenthala stracili jego ślad. Myśleli, że nie żyje. A ten... wściekły pies, schował się tutaj. Na miejscu zbrodni! Wyobrażasz pan sobie? - Nie przerywałem mu. Wiedziałem, że powie mi wszystko, bo bardzo chce to komuś opowiedzieć. Dobrze się składało, bo ja chciałem tę historię usłyszeć.
- Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby opowiedzieć o skrytce temu nieszczęsnemu Daniłyczowi.
- Może dlatego, że ja się z nim właściwie... zaprzyjaźniłem. A on potem szukał, szukał, aż znalazł.
- Wie pan, on napisał do mnie. Poprosił, żebym

przyjechał, bo potrzebuje fachowej pomocy. Że znalazł gdzieś taki obrazek, że musi pokazać go jakiemuś specjalście i że nikogo takiego nie zna.

To nie było z jego strony zbyt inteligentne wytłumaczenie... Domyśliłem się od razu, że wszedł tam i że tam było to, co podejrzewałem. Nie mogłem przyjechać od razu, a jak przyjechałem, właśnie go chowali... Próbowałem znaleźć ten

234

obrazek, myślałem, że zawiózł go do muzeum we Wrocławiu, ale nie. Pytałem też w największych sklepach z antykami we Wrocławiu. Nie wiem, jak trafił do tego pańskiego profesora.

- Przez pewnego antykwariusza. Obraz był u niego, kiedy pan go odwiedził. Stiefke odnalazł obraz i przy okazji zabił tego antykwariusza

- powiedziałem. Freitag zamknął na dłuższą chwilę oczy. - Chociaż jemu nie chodziło o żaden obraz - dodałem. - Chodziło mu o utrzymanie tajemnicy. Ze względu na zupełnie inny eksponat

- wyjaśniłem.

- Wiem, widziałem go przy nim - powiedział Freitag. - Słyszał pan, że tego drania ktoś postrze lił w nogi? Policja chciała to przypiąć mnie, ale im się nie udało. Nie znaleźli u mnie pistoletu.

U nikogo nie znaleźli.

Czekałem na dalszy ciąg, ale nie następował. Postanowiłem pomóc Freitzgowi:

- Nie powiedział mi pan jeszcze, skąd pan wiedział o skrytce.

Spojrzał na mnie, jakby się nagle obudził.

- O, to akurat jest proste. Mój ojciec mi opowiedział.
 - A on, skąd wiedział? - spytałem.
 - To jest jeszcze prostsze - powiedział Freitag.
- Mój ojciec ten schron zbudował.

Haftling Freitag

- Ale przecież tych więźniów...
 - Wykończyli? - dokończył Kusy. - Nie wszystkich. Jak pan zapewne pamięta, rozwalili dziewiętnastu. Ale z podobozu Bunzlau zabrali dwudziestu dwóch. Jeden zmarł, został pochowany gdzieś w pałacowym parku. Dwóch uciekło. Skrytka była gotowa, zasypywali ją już. Niektórzy się łudzili, ale oni wiedzieli, że ich wykończą, więc zaryzykowali. Jednego esesmani dopadli, drugi uciekł. To był właśnie mój ojciec.

Słuchałem z niedowierzaniem. Jak to, ocalał świadek? I mimo wszystko użyli skrytki? Musieli być bardzo pewni, że ten świadek nie przeżyje. Albo im się paliła ziemia pod nogami.

Kusy opowiadał dalej. Jak jego ojciec przedostał się do Rosjan, jak służył im za tłumacza, jak oblegał *Festung Breslau*, jak poszedł z nimi dalej na zachód, jak był w Berlinie, jak spotkał jego matkę, też Polkę... jak przeszli potem do amerykańskiego sektora, jak wyjechali do Stanów. Jak ojciec tęsknił za Polską, ale nie mógł do niej pojechać, bo pracował dla obronności i nie pozwolono mu. Jak dowiedział się o znalezieniu jakichś grobów nieopodal Wrocławia i jak płakał. To akurat Kusy zapamiętał dobrze, bo widział swojego ojca płaczącego wtedy po raz pierwszy i zarazem ostatni. Jak zaczął na własną rękę tropić tamtych

236

esesmanów Jak trafił na **ślad pobytu Stiefkego** w amerykańskim obozie.

- Szukał jeszcze dwóch, ale niepotrzebnie. Bo

to chyba oni leżeli cały czas na dole za drzwiami

- powiedział.

I opowiadał dalej. Jak jego ojciec zachorował i opowiedział swojemu synowi, urodzonemu w Stanach, o swoich wojennych przeżyciach. Jak zobowiązał go, żeby szukał tych esesmanów, aż się upewni, że nie żyją.

- No i upewniłem się w końcu, widziałem ich wszystkich martwych - uśmiechnął się w tym momencie krzywo Kusy.

Ojciec zobowiązał go też do sprawdzenia, czy skrytka została znaleziona. Nie wiedział, co w niej chcieli ukryć, ale podejrzewał, że to, co cały czas trzymali pod strażą na pałacowym strychu.

- Domyśliłem się, co to było, jak trafiłem na wzmiankę o konwoju specjalnym pod komendą Stiefkego - powiedział.

Tak więc Freitag dotarł do kurlandzkich zbiorów poprzez Stiefkego, a ja odwrotnie. Ale obu nas dociekliwość doprowadziła w końcu w to samo miejsce.

- Mnie to wszystko zabrało dużo więcej czasu niż panu, bo prowadziłem moje śledztwo w czasach... przedinternetowych - powiedział. - No i pracowałem dużo. Dopiero teraz mogę sobie pozwolić na przyjeżdżanie do Polski.

237

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, które w pewnym momencie zrobiło się trochę niezręczne.

- Pięknie pan mówi po polsku - powiedziałem, żeby je przerwać.
- Naprawdę? - ucieszył się. - Bo wie pan, ja czuję się Polakiem.

Sprawa honoru

Profesor Dziubińska zjawiała się razem z poczciwym profesorem Dąbrową. Przytaszczyli wielką bombonierę. Wzruszyło mnie, że pofatygowali się aż do Wrocławia. Wyraz ich twarzy, kiedy mnie zobaczyli, uświadomił mi, że nie wyglądam najlepiej.

- Coś ty za numer wykreślił, Karolku? - spytała Glizda. Prezentowała się nieźle, zaczęła chyba bardziej dbać o siebie. - Jak jesteś historykiem sztuki, to się, kurde, zachowuj jak historyk sztuki, a nie jak Indiana Jones - powiedziała. - Przyniosłeś nam wszystkim wstyd.
- Niech pan Aurelii nie słucha - włączył się poczciwy Dąbrowa. - Udajemy, że sława nas nie interesuje, ale każde z nas chętnie trafiłoby na pierwsze strony gazet...

- 238

- Tego akurat to nauczył się od Franciszka - powiedziała Glizda złośliwie.
- Jakie pierwsze strony? Skąd o tym wszystkim wiecie? - spytałem, mocno zdziwiony.
- No... w gazetach tego jeszcze nie było, ale na pewno będzie. Już widzę te tytuły: MŁODY HISTORYK SZTUKI ODKRYWA TAJEMNICĘ ZA-POMNIANEGO SKARBU... - powiedziała Glizda.
- No to skąd wiecie?
 - Jacyś oficjele byli u rektora, zasięgaliby informacji o tobie. Ten wezwał dziekana, dziekan przekablował później wszystko naszemu szefowi. Normalne, chłopcy nie utrzymują przecież żadnej tajemnicy - powiedziała z satysfakcją Glizda.

Posiedzieli jeszcze z pół godziny; w tym czasie Glizdzie nie zamykały się usta, Dąbrowa zaś siedział cicho i uśmiechał się poczciwie.

Planety z układu Bandury nie były tego dnia jedynymi moimi gośćmi.

- Karolu, dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - spytał wuj Antoni, który pojawił się po południu tego samego dnia. Jego wejście do mojego pokoju poprzedzone było krótką wizytą Anais, która powiedziała, co prawda, „serwus”, ale nawet na mnie nie spojrzała. Obrzuciła spojrzeniem wszystkie kąty. Przypomniałem sobie ją udrapowaną na skale w wujowej oranżerii i powiedziałem:

- Jak się masz, Kalipso.

- 239

Wtedy dopiero spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. Zanim wyszła, zajrzała jeszcze do pomieszczenia obok oraz pod łóżko i podeszła na chwilę do okna. Jak zawsze miała na sobie krótką kurtkę, ale tym razem wiedziałem dlaczego.

Pytanie wuja zbiło mnie nieco z tropu, nie bardzo wiedziałem, jak mu się wytłumaczyć.

- Ja... musiałem to załatwić sam - powiedziałem.

Pokiwał głową.

- To ty mi kiedyś powiedziałeś, że swoją powinność... trzeba doczytać do końca. A jeśli chodzi o Bandurę, że muszę... wykonać jego testament. Że wymaga tego honor - dodałem.

Znów pokiwał głową. Patrzył na mnie z troską.

- Tak... My, Dębickcy, załatwiamy nasze sprawy do końca - powiedział wreszcie, ociupinkę patetycznie. Nie chciałem mu mówić, że nie jestem Dębicki, co przecież wiedział.

- Wuju, zabiłeś kogoś w życiu... osobiście? - spytałem ni stąd, ni zowąd, ku własnemu zdziwieniu. Popatrzył w okno.

- Tak, nie raz. - odpowiedział po dłuższej chwili. - Dawno temu. Ale zawsze w obronie. Własnej albo czyjejś. I oni do dziś mi się śnią.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Zawiadomiliśmy już łotewski rząd o odnalezieniu kolekcji - zmienił temat wuj.

240

- Jak to? Przecież podobno cała sprawa została utajniona - zdziwiłem się.
- To są jakieś gry policyjne - odpowiedział wuj niefrasobliwie. - Cóż one mogą mnie obchodzić. Aha, rząd Łotwy wie o twojej roli w całej tej sprawie. Możesz się chyba spodziewać... jakiegoś dowodu wdzięczności.
- Chciałbym tylko móc tę kolekcję i jej dzieje porządnie opisać - powiedziałem.
- To masz jak w banku - odpowiedział pogodnie wuj.
- Wuju, to wejście Anais dzisiaj... Skąd takie środki ostrożności? - spytałem.

Wuj Antoni westchnął.

- Pewnie niepotrzebne... Ale ostatnio się o mnie jacyś ludzie dopytywali.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Cholera, on mógł cię zabić - powiedział wuj nagle i pokręcił głową.

Znowu zamilkliśmy.

- Wuju, jeżeli lekarze pozwolą mi jeździć konno, to przyjadę do ciebie na instruktaż - powiedziałem.

- Lepiej do Anais - odparł. - Ona jest lepsza ode mnie. We wszystkim zresztą. Bywaj.

- Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

Chwilę później zadzwonił Pułkownik.

- Słuchaj, nie sposób dojść, kto sprowadził karetki i policję. Wiadomo tylko, że dzwoniła

241

kobieta. I gliny, i **dyspozytor twierdzą, że** mówiła jak cudzoziemka.

Przypomniałem sobie nagle słowa Cyborga o kręcącej się koło pałacu domniemanej Cygance...

Pawlak

Następnego dnia przyszła Pawlak. Kochana dziewczyna. Niby wiedziałem, że jednak nie odeszła, ale dopiero jej widok w drzwiach dał mi co do tego pewność. Musiałem wciąż wyglądać nietęgo, bo rozplakała się na mój widok.

Przyniosła mi gazety i ostatnie cztery numery ulubionego tygodnika, udało mi się też namówić ją do złego: poprosiłem mianowicie o powtórzenie numeru sprzed roku, kiedy to siadła przede mną na wykładzie *sans dessous*, co też chętnie zrobiła.

Miała niejaki opory przed posunięciem się dalej, bo mój stan nie pozwalał na wiele; przekonałem ją jednak, że szybkie, zupełnie nieartystyczne rękodzieło w jej wykonaniu pod osłoną kołdry znakomicie poprawi mi nastrój i przyczyni się do mojego szybszego powrotu do zdrowia. Zastanawiałem się tylko, jak plamy na pościeli wytłumaczę niższemu personelowi medycznemu...

242

Po jej wyjściu zadumałem się nad moim do niej stosunkiem. Przypomniałem sobie na wpół zapomniany sen sprzed... no właśnie. Tygodnia? Dwóch? Sen, w którym wybierała się na spotkanie z innym. Czyżbym był o nią naprawdę zazdrosny? Czy miałem powód?

Przypomniałem sobie jej słowa we Wrocławiu: „A nie przyszło ci do głowy, że ja wcale tej wolności nie potrzebowałam?” Czyżby była mi cały czas wierna? Czyżby mnie... kochała?

A ja, gdybym ją kochał, czy myślałbym dalej o Bibianie? Zainteresowania mieliśmy z Pawlak wspólne, ale czy było między nami pokrewieństwo dusz? Czyż nie tego, w głupocie swojej, szukałem u Julii? Nie, tam chodziło o... no właśnie, o co? Piękno? Skąd te idiotyczne myśli o wychowaniu z nią dziecka?

Męska szowinistyczna świnia Gerwazy powiedział kiedyś: „Wspólne zainteresowania to oczywiście znakomita sprawa, duchowe pokrewieństwo jak najbardziej, ale decydująca u kobiety jest i tak smykałka do wałka. Romansujemy z tymi, z którymi nas łączy pokrewieństwo dusz, ale na dłużej i tak zostajemy z tymi, które mają dryg właśnie do tego”.

Czy ten domorosły psycholog miał rację? Czy dlatego trzymałem się Pawlak, że było mi z nią dobrze w łóżku? Ale jeżeli tak, czego zatem szu-

243

kałem w ramionach Mareike czy bliźniaczek? Dlaczego ciągnęło mnie do Mirosłavy?

Od tych myśli, których nijak nie potrafiłem uporządkować, rozboleła mnie głowa.

- Pogódź się z tym, Karolku, żeś w tych sprawach głupi jak but - powiedziałem do siebie. I zasnąłem.

Blask złota

Ci dwaj zjawili się po południu tego samego dnia. Weszli bez pukania. Byli to podkomisarz Żebro, który wpłynął do pokoju swoim tanecznym krokiem, oraz wbity w przyciasny garnitur ponury gość o gabarytach niedużej szafy na

ubrania i takiejż aparycji. Stanowili dość komiczną parę.

- Pan prokurator Borowiak - powiedział Żebro i zatrzepotał rżęsami.

- Przesłuchanie? - spytałem.

- Skądże znowu, panie Karolu. Towarzyska

rozmowa. Pana przesłuchanie już było.

Nie zrozumiałem.

- Moje przesłuchanie? v

- Tak, tu jest protokół. - Był z bieżącą datą. Przeczytałem protokół ze zdumieniem. Wynikało z niego, że wykonując dokumentację architektoniczną pałacu w Suchym Dębie, stałem się mimo-

- 244

wolną ofiarą skomplikowanej rozgrywki między Augustem Stiefkem *vel* Josephem Voglem a dzielną policją. Rozgrywki mającej na celu odzyskanie zagrabionych w czasie wojny dzieł sztuki. Działania Stiefkego *vel* Vogla, aczkolwiek cały czas monitorowane, wymknęły się w pewnym momencie spod kontroli policji, i tylko nieszczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczałem swoje postrzelenie. Ot, historyk sztuki, który wyłącznie z własnej głupoty znalazł się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu. Według tego opisu zdarzeń, ucieczkę Stiefkego udaremniła policja, strzelając mu w nogi. Prokurator podał mi zeznanie Julii, które całkowicie potwierdzało taką właśnie wersję.

Byłem wstrząśnięty. Ale oni to sobie pięknie ułożyli! Jak im się wszystko zgadzało. Zazębiało. Uzupełniało. Majstersztyk!

- Mogę nie podpisać? - spytałem.

- Oczywiście, może pan. Jesteśmy na to przygotowani - powiedział prokurator basem. - Mamy też zupełnie inne zeznanie panny Zięby. Będziemy, oczywiście, musieli wtedy pana oskarżyć o utrudnianie śledztwa, nielegalne posiadanie broni, jej użycie i tym podobne drobiazgi, ale mówi

się trudno.

- Jakiej broni? - spytałem obłudnie. Człowiek szafa spojrział na mnie sceptycznie.

- 245

- A co, Vogel postrzelił się może w ramię sam? Pan wie i my wiemy - powiedział. - Było by szkoda, taka ładnie zapowiadająca się kariera naukowa - dorzucił słodkim głosem Żebro. Owa słodycz przychodziła mu prawie naturalnie.

Więc dlatego wsunęli całą sprawę pod dywan. Nie wiedzieli, jak zareaguję.

- Poproszę o inwentarz tego, co znaleziono

- powiedziałem. Zaskoczyłem ich.

Spojrzeli natychmiast na siebie.

- Nie mamy ze sobą - powiedział pospiesznie Żebro.
- Ależ mamy, mamy, Maurycy - powiedział spokojnie prokurator, patrząc na niego twardo. Maurycy. Jezus Maria. - Przecież tu wszystko jest. - I wyjął z teczki dokument.

Z niejakim wzruszeniem czytałem spis eksponatów Muzeum Kurlandzkiego. Nawet *Śmiejący się pasterz* tam był, z adnotacją, że „znaleziono go podczas czynności śledczych w mieszkaniu Vogla Józefa, zam. Soból". Było tam istotnie wszystko, jeżeli nie liczyć drobiazgów takich jak gwiazdy orderowe, ale te można było łatwo wywieźć i Stiefke mógł je przecież przehandlować zaraz po wojnie, tak jak złote jajko. Nie miałem zamiaru się o nie handryczyć. Brakowało tylko jednego przedmiotu, ale za to dość dużego.

- Panowie, Stiefke... *alias* Vogel wyniósł coś ze skrytki w worku. - Obaj spojrzeli na siebie.

246

- Nic przy nim nie znaleziono - odparł Żebro.
- Szkoda, trzeba zatem tego szukać, panowie. To nie był drobiażdżek, ale dwunastokilogramowy kłamoto - powiedziałem. - W kształcie krzyża. Jak znajdziecie, dopiszcie do protokołu i wróćcie tu. Może wtedy podpiszę. A teraz panowie wybaczą, jestem zmęczony. - I odwróciłem się do ściany.
- Chwileczkę - powiedział człowiek szafa. - Musimy się naradzić. - Wyszli na korytarz i nie było ich kilka minut. Wrócili.
- Nie kupujemy tego - powiedział Maurycy i zatrzepotał rękami. - Nie było żadnego worka. Jak będzie trzeba, panna Zięba zezna, że pan go wcześniej wyniósł.
- Gównu zezna - powiedziałem. - Ona nigdy nie wróci do Polski. A jak się dowiem, że na nią naciskacie, następnego dnia ta sprawa będzie we wszystkich gazetach. Łącznie ze zdjęciem relikwiarza. Gównu będziecie z tego mieli. Komu uwierzą: historykowi sztuki z uniwersytetu czy sprzedajnym glinom? - Patrzyli na mnie przez chwilę z nienawiścią, po czym wyszli, trzaskając drzwiami.

Wiedziałem, że wrócą. Bardzo chcieli mieć ten sukces na koncie. I jeszcze osiągnięty tak tanim kosztem.

Myślałem o relikwiarzu. Co to jest z tym kruszcem, że jego blask ludzi oślepia i odbiera im rozum? Mogłem jeszcze zrozumieć Stiefkego, dla jego pokolenia złoto miało szczególny powab.

247

Ale dla tych dwóch? W dzisiejszych czasach kilkanaście kilo złota nie jest znów tak wiele warte. Atawizm jakiś czy co?

Ogarnęła mnie złość. Cholera, co za chciwość. Nie, nie mogłem im na ten numer pozwolić. Byłem to winny Profesorowi. I Masłowskiemu. I

nieszczęsnemu Daniłyczowi. I nawet biednemu cyborgowi. No i temu dzielnemu psu.

Spis rzeczy

Niektóre <i>dramatis personae</i>	5
Grom z jasnego nieba	11
List z zaświatów	15
Pogrzeb	18
Glizda	22
Stypa	26
Mareike	31
Wuj Antoni	33
Starszyce	36
Pola i Tola	42
Anais	45
Bliźniaczy dublet	50
Ciotka Matylda	54
Breslau, Wrocław	58
Soból	61
Mefisto	67
Muzeum Kurlandzkie	69
Mirolava	73
Sowa i <i>Pasterz</i>	76
<i>Sondertransport</i> numer 36	83
Święta	85
Ostateczna likwidacja	89
Zdobycze	91
Wesele	94

Szperanie po krzakach	98
Soból po raz drugi	101
Suchy Dąb	103
Zbrodnia w lesie	108
Pałac	110
Pani Zosia	113
Planeta Glizda	116
Połów	119
Teczka	122
Przekupny kapitan	124
Esesman	126
Znowu Starszyce	128
Nimfa	132
Smętny koniec Sowy Przemądrzałej	134
Dowody zbrodni	136
Soból po raz trzeci	139
Córka buraka	142
Uschnięty dąb	145
Pałac po raz drugi	148
Burak	150
Pałac po raz trzeci	154
Przeprowadzka	158
Bar wzięty	164
Rycząca czterdziestka	168
Nieszczęsny pałac w Słońsku	176
Planeta Mareike	180
Wpadka	184
Panna Julia	187

Skrytka	190
Cyborg	193
Bernadeta	197
<i>Name's ...ski, Karol ...ski</i>	201
Wyzwanie	205
Pierwsza krew	208
Pojedynek	210
Kominek	214
Magazyn	218
Przebudzenia	224
Portos	228
Kusy	232
<i>Haftling</i> Freitag	235
Sprawa honoru	237
Pawlak	241
Blask złota	243